

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Rosja Putina śni się Ordo
Iuris • Z jakim zwierzęciem
kojarzy się Kaczyński? • Raper
Małpa: Umiemy się zachować
przyzwocie • Terapia Botticellim



WYSOKIE OBCASY
Tubylewicz:
Jak kochają w Szwecji
Epigenetyka
Gniew babci we mnie



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Życie po linczu

Sinéad O'Connor, Monica Lewinsky, Britney Spears

► 12

BRITNEY SPEARS FOT. RONALD ASADORIAN/EAST NEWS
MONICA LEWINSKY FOT. KEN MCKAY/ITV/REX/SHUTTERSTOCK
SINEAD O'CONNOR FOT. MICHAEL PUTLAND/AP

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Koniec dynastii,
koniec epoki**

450 lat temu zmarł ostatni
Jagiellon na polskim tronie



79. rocznica zbrodni wołyńskiej

Dostaliśmy od Putina nieoczekiwaną szansę,
by polsko-ukraińskie waśnie odłożyć
na półkę z napisem „historia” ► 3 i „Ale Historia”

Wojciech Sadurski

Trybunał do wyzerowania

Rewelacje o mailu Dworczyka potwierdzającym służalczość Julii P. wobec ośrodka władzy są tylko zwieńczeniem kariery znaczonej nieudolnością i oszustwem.

Na początku był wybór na prezesa TK w grudniu 2016 r., gdy Julia P. zastosowała manipulację składem wybierającym prezesa, a przy okazji wykazała zaskakującą nieudolność, nie dopełniając formalności związanych z przedstawieniem propozycji trybunalskich prezydentowi.

Jej dalsza kadencja była punktowana epizodami wskazującymi na pełną dyspozycyjność wobec zleceniodawców z PiS. W pewnym momencie nawet sami sędziowie TK się zezłościли: w maju 2018 r. OKO.press opublikowało list ośmiorga sędziów przeciw bezprawnemu kombinowaniu przy składach.

Nie chodzi o groteskowe tytuły, jakimi Julia P. jest nagradzana na salonach „dobrej zmiany”, ani o to, że dała się szarman-towi z Żoliborza nazwać „odkryciem towarzyskim” i stworzyła asumpt do żartów kucharskich. To kwestia estetyki. Ale kwestią ustrojową jest skarlenie instytucji polskiej demokracji do roli pomagiera autorytarnej władzy.

Julia P. odwróciła wektory: z instytucji ograniczającej władzę wykonawczą w imię konstytucji przekształciła Trybunał w organ gorliwie ułatwiający władzy kolejne antykonstytucyjne przedsięwzięcia, m.in. łamiąc niezależność sądów, ograniczając prawo do aborcji zgodnie z żądaniami Kościoła i wyprowadzając Polskę z europejskiego porządku prawnego, by ochronić ziołrowe ustawy.

Nie wynaleziono jeszcze lepszej ochrony demokracji przed autorytarnym przejściem niż rozczłonkowanie władzy, czyli słynny trójpodział. O ile niezależność władzy ustawodawczej od wykonawczej często jest problematyczna (w systemie parlamentarnym ta sama partia lub koalicja kontroluje rząd i parlament), o tyle niezależność sądownictwa jest absolutnie niezbędna. Po to, by niezawisli sędziowie kontrolowali ustawodawcę i egzekutywę, ograniczając ich antykonstytucyjne zakusy.

Dziś Julia P. boi się iść do Senatu i zgodnie ze swym obowiązkiem zaprezentować dorobek Trybunału. Jest mierny: spraw jest katastroficznie mało, bo prestiż Trybunału wyparował – po co tam chodzić? Te wyroki zaś, które zostały wydane – często w bezprawnym składzie – długimi miesiącami czekają na pisemne uzasadnienia.

Dlatego usłużność Julii P. zrelacjonowana premierowi przez jego totumfackiego nie powinna nikogo dziwić. To naturalna trajektoria rozpoczęta w grudniu 2016 r. Na jej końcu powinno być skazanie przez niezależny sąd za przestępstwo ciągłe z art. 231 kk (pozbawienie wolności do lat trzech). I wyzerowanie Trybunału: jest obecnie niereformowalny. ●

• **Wojciech Sadurski** – profesor filozofii prawa Uniwersytetu w Sydney i Centrum Europejskiego UW, autor książki „Polski kryzys konstytucyjny”

Aukcja w Sotheby's Z kim zamieszka kuzyn tyranozaura?



Skamieniały szkielet gorgozaura (3 m wysokości i 6,7 m długości), który wędrował po Ziemi około 76 mln lat temu, zostanie wystawiony na aukcję w Nowym Jorku 28 lipca. Cenę szacuje się na 5 do 8 mln dolarów.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

FOT. JULIA NIKINSON/AP

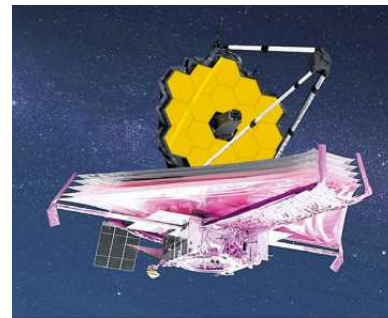
Kod dostępu do Wyborcza.pl



Zdjęcia z kosmosu Piękno Wszechświata doprowadza do łez

We wtorek kosmiczny teleskop Webb, następca teleskopu Hubble'a, ma pokazać pierwsze zdjęcia dalekiego kosmosu – prawdopodobnie najdalszych galaktyk, planet z obcych układów gwiazdowych, obłoków molekularnych, w których rodzą się nowe gwiazdy. Można tylko zgadywać. NASA zwykle wcześniej udostępnia dziennikarzom zdjęcia, które ma pokazać publicznie. Tym razem do ostatniej chwili chce utrzymać je w tajemnicy.

Nigdy jeszcze nie dysponowaliśmy lepszym instrumentem. Hubble miał zwierciadło o średnicy 2,4 m. Webb jest niemal trzy razy większy. Jego 6,5-metrowe zwierciadło składa się z 18 sześciokątnych segmentów wykonanych z berylu i pokrytych złotem. W czasie startu były złożone jak origami. Ułożyły się w kształt idealnego zwierciadła dopiero w kosmosie, gdy teleskop zmierzał do docelowego punktu – 1,5 mln km od Ziemi – z którego prowadzi obserwacje. Jego optyczna sprawność przewyższa najopty-



FOT. NASA

mistyczniejsze przewidywania – po-dała NASA.

Webb ma pokazać nam Wszechświat, jakiego jeszcze nie widzieliśmy. Naukowcy, którzy już oglądali pierwsze zdjęcia, mówią, że są tak wstrząsająco piękne, że mieli lzy w oczach. – Te obrazy głęboko zmieniły sposób, w jaki postrzegam Wszechświat. Otacza nas symfonia stworzenia; wszędzie galaktyki! Mam nadzieję, że wszyscy na świecie będą mogli je zobaczyć – mówił zachwycony Scott Acton z Ball Aerospace, który kierował ostatnią fazą przygotowań. ●

Piotr Cieśliński

Andrzej rysuje



Czy ludzkość głupiej?



Dobór naturalny teraz lubi tych gorzej wykształconych i z ADHD. Ludzie dobrze wykształceni mają mniej dzieci i rzadziej przekazują swoje zdolności poznawcze kolejnym pokoleniom – zbadali naukowcy z Wielkiej Brytanii i Holandii ► Wyborcza.pl

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Kościół zabił mi matkę

Nigdy nie poznała szczegółów. Że najpierw były grzyby na maśle, wino, porno, dotykane. Że położył się na nim nagi. Dowiedziała się tylko, że ksiądz go molestował. A ona myślała, że księża są nadludźmi.

**Reportaż
Marcina Wójcika**



RYS. PIOTR CHAIKOWSKI

Ekonomia+

Porażka może być pożyteczna

Zespół menedżerów powinien stworzyć taki model, w którym mówienie o niepowodzeniach czy błędach nie będzie się wiązało z nieprzyjemnymi konsekwencjami.

Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Konfederaci
w trasie

1 Idąc śladem innych partii, letnią ofensywę ogłosił politycy Konfederacji. Do 28 lipca zamierzają objechać 16 miast wojewódzkich. Głosić będą m.in. sprzeciw wobec Krajowego Planu Odbudowy i ograniczania prawa do użytkowania pojazdów spalinowych. 9 lipca organizują w tej sprawie protest przed Przedstawicielstwem Komisji Europejskiej w Warszawie. Konrad Berkowicz wyraził nadzieję, że przybędą nie tylko zmotoryzowani.



FOT. PIOTR SKÓRNIKI, SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, MINW

Wtorek

Czy Lewandowski
kopnie?

2 Na pierwszym treningu po letniej przerwie urlopowej spotkają się piłkarze Bayernu Monachium. Zwykle takie wydarzenia nie budzą wielkich emocji, ale teraz jest inaczej, bo kibice w całej Europie zadają sobie pytanie, czy piłkę kopnie na tym treningu Robert Lewandowski. Polak chce odejść do Barcelony, Bayern nie chce go sprzedać, transferowa saga trwa od kilku tygodni. I końca na razie nie widać.



Czwartek

Od KSU do Mery Spolsky,
czyli Jarocin 2022

3 Aż trzy zespoły będą w tym roku w Jarocinie obchodzić swoje jubileusze. 35-lecie świętować będą Pidżama Porno, IRA oraz Włochaty. Poza tym wystąpią artyści o stażu dłuższym, czyli Kult, KSU i Kobranocka, oraz krótszym, ale zdecydowanie wartym zastuchania, w tym The Stubs, Hańba!, Mery Spolsky czy Kaśka Sochacka. **Jarocin Festival. 14-17 lipca, Jarocin. Bilety jednodniowe 139 zł, karnety 199 zł.**



Piątek

Witkacy w awangardowym
towarzystwie

4 Na nowej wystawie Witkego jego dzieła spotkają się z wizjami awangardy – Kandinskiego, Ernsta, Schlichtera, Boccioniego i Duchampa. W miejsce chronologicznej narracji – od pejzażu, poprzez Czystą Formę, do Firmy Portretowej – przegląd tematów ważnych dla samego artysty i w sztuce nowoczesnej, m.in.: kosmos, ciało, historia, ruch, refleksja socjologiczna. **Muzeum Narodowe w Warszawie, 8 lipca – 9 października**



Liczba dnia

30

PROC.
O tyle spadła sprzedaż mieszkań w porównaniu z ubiegłym rokiem.
Podwyżki stóp procentowych spowodowały, że Polacy sukcesywnie tracą zdolność kredytową. Z Barometru Metrohouse i Credi-pass wynika, że rodzina z dwójką dzieci mogła wziąć w I kwartale 2022 r. o 56 proc. mniejszy kredyt niż w tym samym czasie rok temu.

79. rocznica zbrodni wołyńskiej

Uporajmy się z tą zadrą

Dostaliśmy od Putina nieoczekiwaną szansę, by polsko-ukraińskie właśnie odłożyć tam, gdzie ich miejsce – na półkę z napisem „historia”

Smoleński



Lata temu można było żywić nadzieję, że sprawa załatwi się sama. Naturalną kolejną rzeczą odejść ludzie, których obojętność dotyczy – nieważne, czy ich pamięć przechowywała fakty czy legendy. Ich wnuki zaś będą patrzeć w przód zamiast za plecy. Od dekad obiecujący przykład płynął z Zachodu. Po dziś dzień są wprowadzić u nas politycy i publicyści, którzy próbują Polakom obrzydzić współczesne Niemcy – dobrego, bezproblemowego sąsiada, sojusznika w NATO i Unii Europejskiej. Choć nie odnoszą przesadnych sukcesów, to psują atmosferę.
Lecz na polu zrozumienia i demitologizowania wspólnych dziejów Polski i Ukrainy – klęska! Mimo że byliśmy pierwszym krajem, który uznał niepodległość Kijowa i przez lata był europejskim adwokatem Ukrainy. Jan Paweł II zalecał pojednanie z Ukraińcami. Poległ. Nadaremno wzywali do wzajemnego wybaczenia krzywd niektórzy polscy purpuraci oraz wielu ukraińskich hierarchów greckokatolickich i prawosławnych. Nad grobami poległych w bratobójczych starciach ściskali sobie ręce prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma. I nic. Kość niezgody to Wołyń, gdzie latem 1943 r. rozpoczęła się antypolska czystka etniczna. Nie jest to sprawa błaha, skoro do dzisiaj rozpalą złe emocje.

W epoce słusznie minionej Wołyń przykryto szmatą fałszywego milczenia, choć nie milczano o Ukraińcach – faszystowskich rezunach, upowcach. Na takiej propagandzie chowało się kilka pokoleń Polaków. Ale w III RP odbyło się w końcu wiele solidnych konferencji naukowych, powoływano zespoły eksperckie, dyskutowali historycy, Wołyń był i jest obecny w mediach. Na książki dotyczące tej tragedii poszły tony papieru. Działo się niby tak dobrze, że gorzej być nie mogło.
Co z tego, skoro pozycje rzetelne, na dodatek pisane z jak najbardziej polskiego punktu widzenia (np. „Cień Kłyma Sawura. Polsko-ukraiński konflikt pamięci” czy nominowany do Nagrody Kazimierza Moczarskiego „Wołyń ’43”, obie autorstwa prof. Grzegorza Motyki) przykrył nacjonalistyczny i propagandowy chłam. Antyukraińskie teksty otwierały drogę do doktoratów i habilitacji na wielu uczelniach. Antyukraińskie przemówienia głośzono z najważniejszych państwowych trybun. Przemysław Czarnek, jeszcze jako wojewoda lubelski, maszerował pod ramię z neofaszystowskim, nacjonalistycznym ONR i rugał ukraińskiego prezydenta Petra Poroszenkę. Nie mówiąc o tolerowaniu przez władze centralne i lokalne antyukraińskich prowokacji, jak niszczenie upamiętnień i mogił.
Nieważne, że pogłoski o rzekomej „banderyzacji” i faszyzacji Ukrainy okazywały się zwykłą propagandą. Wystarczyło popatrzeć na rezultaty kolejnych ukraińskich wyborów wykluczające nacjonalistów, lecz mało komu się chciało. To u nas piastują wysokie funkcje antyukraińscy politycy, w Ukrainie antypolskich nie uświadczysz. Ukraińcy nie stawiają

pomników żołnierzom UPA, by zgnać Polaków, ale by podkreślić sprzeciw wobec rosyjskiego imperializmu i sowieckiego komunizmu, który zafundował im choćby Wielki Głód. Skoro takie są fakty, tym gorzej dla faktów. Zawsze dotąd znajdowali się ludzie, którzy uważali, że Ukraińcy przepraszają za mało, a nad polskimi grobami kłęczą za krótko.
Życie zbyt często przynosiło Ukraincom i Polakom zdarzenia nadzwyczaj barbarzyńskie i okrutne. Wiele z nich fundowali sobie nawzajem. Lecz dzisiaj to nie interpretacja historii sprzed niemal 80 lat jest najważniejsza, ale rosyjska napaść na Ukrainę, dziejące się tam ludobójstwo i zbrodnie wojenne. Przyszł czas, że żaden uczciwy Polak nie powinien mówić o Ukrainie, stosując obraźliwe kłamstwa Kremla.
W epoce słusznie minionej Wołyń przykryto szmatą fałszywego milczenia, choć nie milczano o Ukraińcach – faszystowskich rezunach, upowcach
Paradoksalnie – moskiewscy agresorzy ofiarowali obu naszym narodom nieoczekiwany prezent. Putin zapewne pluje sobie w brodę, bo sprawił, że słowa Iwana Franki, wybitnego pisarza i myśliciela, nabierają na nowo głębokiej treści, ale ich puente nareszcie można uznać za fałszywą. Franko napisał: „W całej Sło-

wiańszczyźnie nie ma dwóch takich narodów, które by pod względem życia politycznego i duchowego tak ściśle zrosły się ze sobą, tak licznymi były powiązane więzami, a mimo to tak ciągle stroniły jeden od drugiego, jak Polacy i Ukraińcy”.
Miliony zaopiekowanych uchodźców oraz liczona również w ciężkich milionach złotych pomoc wojskowa i humanitarna wskazują, że Polacy i Ukraińcy nie tylko nie stronią od siebie, lecz zrosli się ze sobą, zbratali. I to w najważniejszym, bo społecznym i narodowym wymiarze. A to, że władza psoci, jak w przypadku podreęcznika do historii przygotowanego dla ukraińskich uczniów przez resort ministra Czarnka, nie ma na razie wielkiego znaczenia.
Być może więc dostaliśmy nieoczekiwaną szansę, by polsko-ukraińskie właśnie odłożyć tam, gdzie ich miejsce, czyli na półkę z napisem „historia”. Ukraińcy muszą obronić swój kraj przed rosyjską agresją. Polacy powinni rozplątać gordyjski węzeł Wołyń, ale to zajęcie dla historyków, a nie polityków.
Ukraina nie jest antypolskim jądrem ciemności. Polak z Ukraińcem mogą się pojednać i kwita. Zwłaszcza w lipcu, gdy przypada rocznica etnicznej czystki wołyńskiej, od kilku lat honorowana Narodowym Dniem Pamięci, jakby nie można było pamiętać polskich Wołyniaków bez nacjonalistycznych wrzasków, nienarodowo, przy cmentarnych zniczach, w należytym zmarłym ciszy i powadze. Dzisiaj szansa na to jest większa niż kiedykolwiek. ●
Paweł Smoleński
• Jak dziś rozmawiać o Wołyniu ► czytaj w „Ale Historia”

Koniec PiS. Blżej niż dalej

TO NIE JEST FA

Polacy już wiedzą, jak jest w Szwecji, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Szwajcarii

**Z PRZEMYSŁAWEM SADURĄ ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK**

Zakończyliście kolejny etap badań Polaków. Jakie problemy są dziś dla nich najważniejsze?
– Zaskoczenia nie ma: inflacja, drożyzna, już nie wojna. Jeszcze kilka tygodni temu rosyjska agresja była tematem numer jeden, ale obawy związane z coraz mniej kontrolowanym wzrostem cen przysłoniły wszystko. I choć u nas upały, to ludzie już lękają się o to, co będzie, gdy zrobi się zimno, bo ceny opału rosną.

Utrata poczucia bezpieczeństwa w związku z nieprzewidywalną przyszłością...
– Żyjemy w czasach serii katastrof: COVID, seria lockdownów nie zawsze zapowiadanych z większym wyprzedzeniem, zaraz po pandemii wojna. Wiele uczestników badań mówiło, że pandemia skończyła się 24 lutego, wtedy temat wojny zdominował wszystko. Pojawił się kryzys uchodźczy, to też niesłychane obciążenie systemu usług publicznych. I wreszcie inflacja.

To powoduje, że sytuacja stała się nieprzewidywalna. Ludzie często przestali planować cokolwiek. A jak nie wiemy, jaka będzie sytuacja, to żyjemy lękami. Stąd już teraz obawy o to, jak wysokie mogą być zimą ceny opału, energii.

Czego Polacy oczekują od państwa?
– Że państwo wdroży politykę, która uspokoi inflację, ukróci rozdawnictwo, powstrzyma spiralę roszczeń. Że zaangażuje się w poprawę funkcjonowania usług publicznych, transportu, służby zdrowia. Że poradzi sobie z falą uchodźców, bo ludzie są zaniepokojeni napływem tylu osób. Boją się, że państwo nie da rady utrzymać usług publicznych, dostępu do edukacji, do przedszkola, do żłobków na tym poziomie, który był. A przecież on i tak nie był satysfakcjonujący.

Generalnie już wcześniej Polacy oczekiwali od władzy poprawy praktycznie wszystkiego, a teraz jest lęk, że nie da się zachować nawet tego, co było.

Polacy oczekują też wzmocnienia polityki obronnej. Bo choć wojna została wyparta ze świadomości, to świadomość zagrożenia rosyjskim imperializmem – nie.

Są gotowi za to więcej płacić?

– Właśnie nie. Badani szczegółowo opowiadają, jak Polska powinna się zbroić, ale nie są gotowi na jakikolwiek dodatkowy podatek obronny. I to wcale nie dziwi, bo Polacy nie wierzą, że rząd jest w stanie dobrze wydać te pieniądze.

Nie ufają tej władzy?

– Nie ufają tej władzy i po prostu nie ufają państwu. Tą władzą po raz kolejny się rozczarowali, bo PiS wygrało wybory, mając dobrą diagnozę odpowiadającą nastrojom, że Polacy nie są zadowoleni z tego, na jakim poziomie działa nasze państwo.

Polacy już dobrze wiedzą, jak powinno funkcjonować, bo wielu wyjechało do krajów Unii, często na długi czas, popracować, i mieli kontakt z tamtejszymi systemami usług publicznych. I mają już pojęcie, jak państwo funkcjonuje w Szwecji, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Szwajcarii – nasi badani wymieniali mnóstwo przykładów.

Jest trochę taki efekt jak w PRL, w latach 70., kiedy Polacy zaczęli wyjeżdżać na Zachód i zaczęli życie tam porównywać z tym w Polsce.

Aspiracje narosły i nie zostały zaspokojone?

– PiS na to rozczarowanie odpowiedziało programem naprawy państwa, a pierwszym etapem miał być program 500 plus. Ale za nim miały iść kolejne, które odpowiadałyby na takie problemy jak wykluczenie transportowe, zadbały o funk-

cjonowanie usług publicznych, a okazało się, że 500 plus było jedynym programem, jaki udało się wdrożyć.

A teraz, po siedmiu latach, Polacy obserwują, jak to 500 plus jest zjadane przez inflację, a innych obiecanych programów nie widać. I są po raz kolejny rozczarowani. Ale nie są rozczarowani tylko i wyłącznie PiS, tylko państwem jako całością.

GUS rok temu raportował, że mimo 500 plus wzrosło skrajne ubóstwo dzieci, w 2020 r. z 4,5 do 5,9 proc.

– Gołym okiem widać, że 500 plus nie jest już tym, czym było na początku.

Poprzednią turę badań zatytułowaliście „Koniec hegemonii 500 plus”. To koniec?

– Już wtedy przewidywaliśmy to, co teraz widzimy – samym 500 plus nie da się już wygrać. A PiS dwa razy zwyciężyło właśnie tym programem. Za pierwszym razem obiecując jego wprowadzenie, za drugim razem strasząc, że opozycja go odbierze. A teraz nawet straszenie tym, że opozycja może zabrać 500 plus, nie działa, bo inflacja zabiera te pieniądze.

Dlatego może będzie 700 plus?

– Polacy już się trzeci raz na to nie nabiorą, nie tędy droga. Mamy do czynienia z rozdarciem, bo każdy z badanych chętnie przyjąłby taką podwyżkę, ale nie widzi w tym sposobu na poprawę sytuacji w kraju.

I zawiść, że sąsiad dostanie więcej?

– Ostatnio tym sąsiadem okazuje się Ukrainiec. Widać wyraźnie, że pojawiły się mocne antyukraińskie nastroje, nie mają charakteru nacjonalistycznego, jest po prostu niepokój o miejsce w kolejce po socjal.

Powtarzane są historie zasłyszane od sąsiadów, jakoby uchodźczynie z Ukrainy były uprzywilejowane w dostępie do szkół, przedszkoli, żłobków, lekarza... Obawy te są bezpodstawne, ale w sensie socjologicznym są prawdziwe, bo generują realne lęki.

JNE PAŃSTWO

Gdy pytaliśmy, z jakim zwierzęciem się kojarzy Kaczyński, ludzie mówili „szakal”

Co ciekawe, utrata zaufania do obecnej władzy, nie przekłada się na sytuację opozycji, bo ta nie przebija się z programem. Mimo rozczarowania rządami PiS nie widać wzrostu nadziei na to, że opozycja ma właściwe rozwiązania. I to jest zagrożenie.

Że ludzie nie pójdą na wybory?
– W tej chwili i wyborcy PiS, i wyborcy opozycji są zdemobilizowani. Jakbym miał prognozować frekwencję wyborczą, to spodziewałbym się niższej frekwencji, niż była.

W wyborach parlamentarnych w 2019 r. wyniosła 61,7 proc., ale w 2015 r. – tylko 50,9 proc.
– Teraz prognozuję koniec trendu wzrostu frekwencji. To może się zmienić, bo wiadomo, że jak rozkręci się kampania, zostaną wrzucone gorące tematy, a emocje rozpalone do białości, to obywatele mogą chcieć iść na głosowanie.

Większość uczestników naszych wywiadów deklarowała, że nie zagłosuje na PiS, zagłosuje na opozycję albo się zastanawia, czy w ogóle brać udział w wyborach. Ale mieliśmy wrażenie, że to nie było szczere, że ludzie znowu przestali przyznawać się, że głosują na PiS. Byli w stanie powiedzieć, że głosowali na partię Jarosława Kaczyńskiego w ostatnich wyborach, ale trudno im przychodziło powiedzieć, że dalej mają gotowość do wspierania PiS po tym, jak przez dwie godziny dyskutowali o drożyznie, o inflacji. Mało osób przyznawało, że chce głosować na PiS, dużo więcej mieliśmy sympatyków opozycji. Ale kiedy pytaliśmy, kto wygra najbliższe wybory, to wszystkie grupy twierdziły, że partia Kaczyńskiego.

I wyborcy opozycji, i zwolennicy PiS?

– No właśnie to przede wszystkim zwolennicy opozycji uważają, że wygra PiS. I to jest niepokojące, że obóz władzy przestał być już atrakcyjny, nie przyciąga nowych sympatyków, wyborcy wstydzą się przyznać, że są gotowi znowu głosować na partię Kaczyńskiego, ale to wszystko nie przekłada się na wiarę w obalenie jego rządów. Rośnie śmiałość sympatyków opozycji, ale bez nadziei na zwycięstwo. I to jest chyba podstawowy problem po stronie opozycji.

Mamy rozczarowanie państwem PiS, ale i rozczarowaniem stanem opozycji?
– Tak, ale podkreślam: to nie jest rozczarowanie tylko państwem PiS, to rozczarowanie państwem w ogóle, w tym państwem PiS. To rozczarowanie zaczęło dotykać również wyborców obozu władzy, ale wpędza wszystkich Polaków w marazm, w brak nadziei. Dzisiaj tak to wygląda.

Chodzi też o brak zaufania wobec szaleńczego upartyjnionego państwa?
– Tylko innego państwa tak naprawdę nie znamy.

Znamy mniej upartyjnione.
– Od dawna panuje u nas duża niechęć wobec partii, polityków w ogóle. Zawód polityka nie cieszy się zaufaniem, mógłby służyć jako wzór niskiego prestiżu społecznego. Więc jak zaczynamy z badanymi rozmawiać o politykach, o partiach, to natychmiast pojawia się niechęć. Zapytaliśmy, jak zachowaliby się politycy, gdyby w Polsce wybuchła wojna. Nasi rozmówcy – niezależnie, czy głosują na PiS, czy na opozycję – byli przekonani, że politycy natychmiast uciekliby z kraju. Nie tyl-

ko rząd, ale i opozycja. Nie ma kogoś, kto mógłby być polskim Zelenskim.

Czyli polscy politycy to tchórze? Nawet w obozie „patriotycznym”, „proposkim”, jak media pisowskie nazywają obóz władzy?
– Nasi badani najbardziej nie ufają liderom: Kaczyńskiemu i Tuskowi. Na pewno nie oni mogliby być naszym Zelenskim. Chodzi o to, że musiałaby być to osoba, która jest w stanie zjednać sobie ludzi. A ani Kaczyński, ani Tusk z przeciwnikami politycznymi dogadać się nie byliby w stanie. Prezydent Duda pojawia się jako osoba, która jest w stanie odzyskać zaufanie wyborców PiS i nawet wykroczyć poza grupę zwolenników tej partii. Efekt aureoli silnie działa, sam fakt, że sprawuje się urząd prezydenta, podnosi notowania. Ale to pewnie też efekt sporej ostatnio aktywności Dudy. Na pewno żadnymi autorytetami na czas wojny nie są inni politycy PiS, w tym premier Morawiecki. Po stronie opozycji pojawia się Rafał Trzaskowski i w mniejszym stopniu Szymon Hołownia. Jemu, jeśli chodzi o szanse bycia liderem na czas wojny, zaszkodziło to, że płakał nad konstytucją. Przynajmniej wśród mężczyzn.

Ciągle mu to pamiętają, choć było to ponad dwa lata temu?
– Czasami ktoś to w mediach społecznościowych przypomina...

Czasami TVP...
– Ale już wcześniej, podczas poprzedniej tury badań, przed wojną, zdarzały się krytyczne wypowiedzi pod adresem Hołowni, że jest teatralny. A to płkanie... Lider na czas wojny, w opinii badanych, po-

winien reprezentować tradycyjny wzorzec męskości.

Wróćmy do Kaczyńskiego. Dlaczego wyborcy PiS mu nie wierzą?
– Nie tylko mu nie wierzą, oni go po prostu nie lubią. To nas uderzyło już w trakcie poprzednich badań. Gdy pytaliśmy, z jakim zwierzęciem się kojarzy, ludzie mówili „szakal”, bo choć nie widzieli, by się kierował własnym interesem, to kieruje się negatywnymi emocjami.

A w „Wiadomościach” TVP wyborcy Kaczyńskiego kochają, bo nigdy nie było im tak dobrze jak za PiS.
– Nawet wyborcy PiS – a może zwłaszcza wyborcy PiS – są dość sceptyczni wobec tego przekazu. Jeśli na nich działa, to nie wprost. Wyborcy PiS widzą, że telewizja publiczna stała się tubą propagandową obozu władzy. Widzą, że to w mniejszym stopniu jest informacja, w większym stopniu propaganda. Kolokwialnie mówiąc: nie łykają tak łatwo wszystkiego, co poda telewizja publiczna.

To za co nie lubią Kaczyńskiego?
– Potrafi być bardzo agresywny, często to on daje hasła do rozpoczęcia kolejnej kampanii nienawiści. Dla wyborców PiS odejście z polityki Kaczyńskiego nie jest problemem. Optymalna sytuacja pewnie byłaby taka, żeby kierował partią z ukrycia, a na frontmana wystawił kogoś, kto jest bardziej akceptowalny. Taką funkcję miał pełnić Morawiecki, ale premier bankier na czas inflacji, kiedy coraz większa grupa Polaków ma poczucie, że banki łupią ich poprzez wysokie raty kredytów – to chyba się nie uda.

➤ **Jego też nie lubią wyborcy PiS?**

– Tak, wcześniej był postrzegany neutralnie, ale teraz wyraźnie inflacja mu zaszkodziła. I oczywiście wątpliwości dotyczące jego oświadczenia majątkowego, kwestia zakupu obligacji. Bo wyborcy PiS śledzą również przekaz mediów innych niż media rządowe.

Ziobro? Jak jest postrzegany?

– Tym razem badani o nim nie wspomnieli.

To dla niego musi być upokarzające.

– Zobaczymy, jaką politykę będzie chciał prowadzić. Ziobro miał być przez Kaczyńskiego sterowany i kontrolowany, ale nie jest. Może chcieć zawałczyć o bardziej radykalnego wyborcę z Konfederacją, bo PiS nie tylko zмага się z opozycją centrową, ale ma też opozycję na skrajnej prawicy.

Sama polityka antyunijna, kiedy Polacy poczuli, że lepiej być częścią UE i NATO, to za mało. Antyunijna retoryka teraz Ziobrze raczej wyborców dostarczać nie będzie. Na razie, mimo rosnącego sceptycyzmu wobec obecności uchodźców w Polsce, poza Konfederacją nikt nie zdecydował się zagrać tą kartą. Zobaczymy, czego będzie się Ziobro chwycił bliżej wyborów.

Tuska za co nie lubią?

– Tuska badani kojarzyli z lisem. Wielu nie może mu zapomnieć ucieczki do Brukseli dla własnej kariery, bo tak to jest przez rozmówców w trakcie badań zapamiętane...

...a nie jak europejski awans Polaka i prestiż dla Polski?

– Łatwiej byłoby docenić ten awans, gdyby w większym stopniu Tusk zadbał o sukcesję w partii. A pozostało wrażenie, że ewakuował się, kiedy groziło mu, że nie utrzyma się przy władzy.

Myślę, że to najbardziej osłabia pozycję Tuska. W dodatku w polityce jest od bardzo dawna i młodszych wyborców nie przekona, jest jednak zbyt odległy pokoleniowo.

Najmłodsze pokolenie nie zna Tuska jako premiera, byli za młodzi.

– Bez przesady. Pamiętają, że był już premierem, kiedy chodzili do przedszkola czy podstawówki.

I jako przedszkolacy wyrobili sobie opinię?

– Nie opinię, a przekonanie, że w polityce niewiele się zmienia, ciągle te same twarze, mija 20 lat i ci sami politycy się pojawiają. I to nie przemawia na jego korzyść.

Ileż razy spotykałem aktywnych lokalnie młodych ludzi zderzających się z politykami, którzy byli burmistrzami od czasu, kiedy ci młodzi przyszli na świat. To rodzi ogromną frustrację, która zniechęca do polityki głównego nurtu.

I do Kaczyńskiego?

– Do nich obu, wśród młodych tracą na rzecz lewicy i Konfederacji.

Czego teraz Polacy oczekują od opozycji?

– Wiarygodnego programu odbudowy państwa w rozumieniu usług publicznych. Bez tego opozycji zostaje liczyć na kompletne zużycie się PiS.

Edukacja, służba zdrowia, transport...

– Generalnie chodzi o to, że państwo w najważniejszych funkcjach musi zacząć działać, bo Polacy jeszcze przed serią kryzysów oczekiwali, że wreszcie zacznie podnosić jakość życia obywateli.

Partia, która wymyśli, jak w prosty, a zarazem przekonujący sposób opowiedzieć o tym, że jest w stanie to zrobić, i zdobędzie zaufanie, że da radę to przeprowadzić, wygra wybory.

To w ogóle możliwe? Wymyślić do przyszłych wyborów taki program i zdobyć zaufanie?

– To nie musi być szczegółowy program. Chodzi o to, aby pokazać jakąś nową wizję.

To może być jakiś miks rozwiązań. Może propozycja budowy welfare state [państwa opiekuńczego] częściowo na poziomie unijnym – np. płaca minimalna – przez polityków będących członkami najsilniejszych frakcji europarlamentu? Może prze-myślenie na poziom ogólnopolski rozwiązań sprawdzonych lokalnie przez doświadczonych samorządowców? Jeśli Polacy nie ufają państwu i nie wierzą, że rząd – jakikolwiek by on był – da radę, to zasobów zaufania trzeba szukać gdzie indziej. Poziom europejski i lokalny to takie możliwe kierunki.

Tyle afer w PiS, a partia ma nadal poparcie ok. 30 proc.

– Chodzi o teflonowość populistów. Te partie dochodzą zwykle do władzy, oskarżając poprzedników o wszystko, co najgorsze, i eksponując ich afery i skandale. Populiści najpierw bazują na tym, co robili ich przeciwnicy, po czym dochodzą do władzy z obietnicą, że teraz to już polityka będzie sferą krystalicznie czystą.

Ale wyborcy już się na to nie nabierają. Przy pierwszych rządach PiS oczekiwanie moralnej odnowy było ogromne, przy drugich – już nie. Część wyborców zachowuje się cynicznie: głosowała na obóz władzy nie dlatego, że wierzy, iż są to ludzie kompetentni i krystalicznie uczciwi, tylko uznala, że mimo że nie są uczciwi, że idą na pa-

Kto z kim?

– Koalicja Obywatelska z Lewicą, Polsce 2050 łatwiej będzie się dogadać z PSL.

Wedle ostrożnych szacunków to dałoby opozycji ok. 265 mandatów.

– KO na razie robi wszystko, żeby pójść z lewicowymi postulatami i wyborcami. Zobaczymy, czy będzie chciała też iść z lewicowymi politykami.

Platforma i Polska 2050 mają najbardziej podobne elektoraty.

– Wiemy od dawna, że podobieństwa w polityce się nie przyciągają, tylko odpychają. Dlatego Hołowni łatwiej będzie się dogadać z PSL niż z jego głównym rywalem na opozycji, czyli KO.

Z punktu widzenia PSL – które tyle razy miało z polityki wypaść, a nie wypadło – dużo łatwiej iść do wyborów z Hołownią niż w ramach zjednoczonej opozycji z Lewicą, a nawet z KO, gdzie jest Trzaskowski. Przy poprzednich wyborach było widać, jak bardzo zniechęciło elektorat ludowców i wystraszyło polityków PSL wyciągnięcie przez PiS tematu LGBT. Ludzie na fokusach wyciągali smartfony i pokazywali memy z tęczowym Kosiniakiem-Kamyszem.

A sami zwolennicy opozycji oczekują jednej listy czy dwóch?

– Trudne pytanie. Czasami nasi rozmówcy

Pojawiły się mocne antyukraińskie nastroje, nie mają charakteru nacjonalistycznego, jest po prostu niepokój o miejsce w kolejce po socjal

sku Kościoła, że to „tłuste koty” na państwowych posadach, dbający o swój interes banksterzy lub kompletni nieudacznicy, to dotrzymają słowa chociażby w sferze transferów socjalnych.

Trzeba bardzo dużo zrobić, żeby stracić takich wyborców, którzy od początku spodziewali się, że PiS nie będzie uczciwsze od poprzedników. Afery to za mało. To taka ludowa mądrość: kradną jak wszyscy, dzielą się jak nikt inny. Ci cyniczni wyborcy PiS nie stanowią wcale większości, ale to właśnie oni decydowali o tym, że partia Kaczyńskiego uzyskała większość mandatów.

To wszystko źle wróży przed wyborami, bo albo mało kto na nie pójdzie, albo pójdą nieorientowani obywatele...

– Wyborcy partii rządzącej są bliscy demobilizacji, choć jeszcze nie widzą alternatywy. Są w sytuacji autostopowicza, który nie może złapać okazji. Długo próbował, utknął, w zasadzie powinien zrezygnować i znaleźć lepsze miejsce. Ale to oznaczałoby, że zmarnował dwie godziny, więc jeszcze jest w stanie wykrzesać trochę cierpliwości i machać ręką w tym samym miejscu.

W którymś momencie następuje jednak zniechęcenie i wyborcy PiS chyba są bliscy tego momentu. Opozycja musi ostatecznie zapowiedzieć, w jakim składzie pójdzie do wyborów. Najpewniej dojdzie do jakiegoś zjednoczenia, bo nie wyobrażam sobie, że każdy pójdzie osobno. To byłaby katastrofa w świetle wyników sondaży, chociażby badań Kantara. Pewnie będą dwie listy, jakbym miał na dzisiaj typować.

twierdzą, że głosują na Konfederację, a ich ulubionym przedstawicielem jest Adrian Zandberg. Słuchają go w radiu i zgadzają się ze wszystkim, co mówi. Taki jest ten poziom wiedzy o polityce. Fatalny.

Młodzi są jeszcze polityką zainteresowani? Ostatnio w badaniach widoczna była demobilizacja po ogromnym wzroście zainteresowania polityką po antyaborcyjnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przylebskiej z jesieni 2020 r.

– Zmiany opinii wśród najmłodszych wyborców są duże. Od lat utrzymuje się tendencja do wybierania skrajności, stąd zawsze wysokie notowania Korwin-Mikkego.

Jak wiadomo, z tego się wyrasta.

– To prawda. I, niestety, może się okazać, że wyższe poparcie Lewicy w tej grupie jest takim samym fenomenem, i nie będzie tak, że ten młody elektorat zostanie z Lewicą na zawsze. Poglębione badania dotyczące światopoglądu najmłodszych pokazały, że ta ich lewicowość to przede wszystkim kwestia ich światopoglądu, a nie deklarowanych sympatii politycznych.

Mamy do czynienia z młodymi, którzy głównie w kwestiach światopoglądowych, kulturowych są coraz bardziej odlegli od polskiego mainstreamu. Nie odnajdują się w konserwatyzmie, który proponuje PiS, ale i nie w tym, co proponuje opozycja. Pomysły Koalicji Obywatelskiej czy Polski 2050 to nie jest ta liberalna agenda, której oczekiwaliby młodzi.

Czego oczekują?

– Żeby się od nich odczepić, delikatnie to ujmując. Są nastawieni wolnościowo, liberal-

nie w tradycyjnym sensie tego słowa. Nie chcą, żeby im dziadersi objaśniali świat. Chcą, żeby tu było normalnie. Żeby ich ktoś nie ścigał za gram marihuany, nie zaga- niał do kościoła. Mają dosyć zakazów, obostrzeń, ograniczeń i restrykcji.

W zależności od płci, klasy i miejsca zamieszkania wyrażają to inaczej. Kiedy robiliśmy fokusy w trakcie protestów po wyroku Trybunału Przylebskiej ws. aborcji, to się okazało, że w dużych miastach na ulice wychodzili ludzie głosujący na Lewicę, a w małych często byli to zwolennicy Konfederacji. Czy dla nich to, co proponuje Tusk lub Hołownia, to mniejsze zło? Nie wiem. Rozbieżność oczekiwań może ich zniechęcić do udziału w wyborach albo zachęcić do głosowania przeciw establishmentowi.

Jeżeli oni wyrastają z tych skrajności, po prawej i po lewej, to do czego potem dorastają? Uciekają od polityki?

– Większość uczestników – tych, którzy się interesują polityką, śledzą wydarzenia, i tych, którzy nie interesują się tym, co się dzieje w Polsce czy w świecie – miała problem, żeby się określić w kategoriach lewicy, prawicy. Ich wiedza o polityce jest dość skąpa. To potwierdzenie tego, co od lat wiemy o polskim społeczeństwie: że nie mamy obywateli dobrej jakości.

To pojęcie wprowadził prof. Jacek Raciborski. Uznał, że problemem naszego społeczeństwa, naszej sfery publicznej jest nawet nie poziom instytucji demokratycznych, nie poziom przeciętnego obywatela, ale wyjątkowo mała grupa osób, które można uznać za obywateli dobrej jakości.

A prof. Raciborski nie miał jakichś szczególnie rozbudowanych oczekiwań. Za obywatela dobrej jakości uważał kogoś, kto rozumie, jak podejmuje się decyzje wyborcze. Czyli wie, jak wziąć udział w wyborach, bierze w nich regularnie udział, a dodatkowo jest nastawiony prodemokratycznie, czyli odpowiada negatywnie na takie pytania jak np. to, czy nie wystarczyłyby rządy jednej silnej partii zamiast systemu wielopartyjnego.

Czyli kogoś, kto odrzuca autorytarne wzorce i bierze regularnie udział w wyborach, już uważamy za obywatela dobrej jakości. I tych ludzi jest oczywiście mało.

Jak mało?

– Raciborski szacował tę grupę na kilkanaście procent. Wśród głosujących nie brakuje zaś takich, którzy kierują się atrakcyjnością fizyczną kandydata lub głosują zgodnie z podpowiedzią małżonka lub małżonki. Są tacy, którzy głosują na pierwszą kobietę na liście – to akurat szanuję. Mamy też dużą grupę wyborców wściekłych, którzy głosują co pewien czas, ale zawsze na negatywnych emocjach, zawsze na jakieś partie antyestablishmentowe: na Leppera, na Kukiza, ale też na Palikota lub Petru. I niespecjalnie odróżniają programy tych partii od siebie. ●

Przemysław Sadura

• jest doktorem habilitowanym, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, kuratorem instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”. Zajmuje się socjologią publiczną, jest autorem m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy” oraz współautorem (z Sylwią Urbańską) cyklu reportaży socjologicznych z granicy białoruskiej „Obcy w naszym kraju”.

• Ze Sławomirem Sierakowskim prowadzi badania opisywane m.in. w raportach „Polityczny cynizm Polaków” i „Koniec hegemonii 500 plus”. Najnowsze badania dotyczące wpływu pandemii i wojny na społeczeństwo obejmują m.in. serię wywiadów fokusowych realizowanych w pierwszej połowie czerwca wśród wielkomiejskiej klasy średniej oraz klas ludowych małych miejscowości. W wywiadach brali udział wyborcy sił opozycji, PiS, jak i osoby niepopierające żadnej partii.

PO PRAWDZIE

Rząd się wyleczy



Dzieje się to, przed czym naukowcy z PAN przestrzegali Niedzielskiego i Morawieckiego.

Agnieszka Kublik

24 marca minister zdrowia Adam Niedzielski obwieścił zniesienie od 1 kwietnia kwarantanny i izolacji oraz koniec darmowych testów. Czyli ogłosił nie tylko koniec pandemii, ale – w konsekwencji – i koniec śledzenia jej przebiegu.

– To jest demontaż systemu monitorowania epidemii, który i tak u nas kulał. Teraz przestanie działać. Oby nie zemściło się to na nas jesienią – ostrzegał wtedy prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych.

A zespół doradczy ds. COVID-19 działający w PAN w kwietniu przestrzegał rząd: „Brak monitoringu jest jak odłą-



Ponieważ decyzją rządu nie ma szerokiego testowania, skala pandemii nie jest znana

czenie czujników pożaru – może spowodować, że przy kolejnej fali zakażeń będziemy poruszać się ponownie po omacku, a dopiero pełne oddziały intensywnej terapii powiedzą nam, że zareagowaliśmy zbyt późno. Warto byłoby pomyśleć o strategiach, które pozwolą temu zaradzić. W szczególności potrzebna jest spójna strategia monitoringu nie tylko częstości nowych zachorowań, ale też śledzenia ewentualnego pojawiania się nowych wariantów wirusa, szczególnie takich, które mogą powodować cięższy przebieg COVID-19. Do przeprowadzania takiego monitoringu konieczne jest pozyskiwanie zintegrowanych danych genetycznych, klinicznych i epidemiologicznych”.

Już wtedy naukowcy z PAN wiedzieli, że „w związku z ciągłym intensywnym krążeniem wirusa w najbliższych miesiącach możemy spodziewać się nowych jego wariantów. Mogą one być „potomkami” łagodniejszego wariantu omikron, ale mogą również wywodzić się z bardziej

„agresywnych” szczepów, takich jak beta czy delta. Nie wiemy, jak ciężką chorobę będą te warianty ewentualnie powodowały”.

I to się właśnie dzieje – pandemia znowu przyspiesza, a rząd nie monitoruje sytuacji. Jest wobec niej jak ślepiec.

Austria, Niemcy, Hiszpania, Portugalia, Francja, Grecja – wysokie wzrosty zakażeń. Czyli wirus wcale nie jest sezonowy, zalewa nas kolejna fala, związana z nowymi wariantami mutacji omikron.

WHO spodziewa się w Europie wysokiego poziomu zakażeń tego lata. Szacuje się, że w Europie mamy około 500 zgonów dziennie – to tyle co latem 2020.

W Hiszpanii koronawirus tak bardzo się zmutował, że mówią o COVID-22. Ma być mniej groźny od poprzednika, ale przenosi się równie skutecznie. To siódma fala pandemii.

W Niemczech tylko w ciągu dwóch tygodni pojawiło się ponad milion nowych zakażeń, już są problemy w szpitalach z lekarzami i pielęgniarkami.

A w Polsce? Lekarze alarmują, że jest mnóstwo chorych z zakażeniem dróg oddechowych. Ale ponieważ decyzją rządu nie ma szerokiego testowania, skala pandemii nie jest znana. Niestety, nie da się oszacować skali COVID-19.

Nie wiemy, ile jest przypadków zdiagnozowanych w domu, ile nie zostało wykrytych, jakie to warianty i jak szybko się rozprzestrzeniają.

Oto, do czego dochodzi, gdy rząd nie słucha rad naukowców.

Zresztą rząd jest z siebie zadowolony. Adam Niedzielski niedawno mówił, że w sprawie przebiegu pandemii w Polsce nie ma sobie nic do zarzucenia, bo „na bieżąco zarządzaliśmy wydolnością systemu”, „wykonaliśmy dobrą pracę, często w przeciwieństwie do innych państw, a „biorąc więc pod uwagę aspekt logistyczno-organizacyjny, myśłę, że tutaj po stronie zespołu Ministerstwa Zdrowia została po prostu wykonana dobra praca”.

Dlatego proszę kupić maski z filtrem FFP2, środek do dezynfekcji rąk oraz dwa testy antygenowe (test najlepiej powtórzyć po mniej więcej trzech dniach). Maski proponuję nosić w miejscach publicznych. A jeśli czujemy się źle, radzę szybko zgłosić się do lekarza.

Rząd nam nie pomaga, my pomożemy sobie i innym. ●

Robi się naprawdę niefajnie

Coraz trudniej spinający się budżet będzie wymagał coraz większej troski, żeby wyroki sądów nie szkodziły rządowi.



Marcin Matczak*

Są jednak wśród nas prorocy. Kiedy w roku 1994 James Bovard pisał książkę „Utracone prawa. Destrukcja amerykańskiej wolności”, nie mógł wiedzieć o intymnym spotkaniu, które miało się odbyć 28 lat później w smutnej styczniowej Warszawie. My także o tym spotkaniu nie wiedzielibyśmy, gdyby nie ostatni wyciek ze skrzynki Michała Dworczyka. Nie zmienia to faktu, że czytelnikiem wstrząsa przenikliwość Bovarda, gdy czyta: „Na demokrację musi składać się coś więcej niż dwa wilki i owca głosujące nad tym, co zjeść na obiad”.

Jak każda przepowiednia i ta żywi się ogólnością słów, które można przypisać różnym zdarzeniom. Trochę niejasne jest, kto tu jest wilkiem: czy Morawiecki, który spotkanie Dworczyka z Julią P. kwituje krótkim „OK” (ta mruklliwość ma w sobie coś zwierzęcego), czy sam Kaczyński, który takie sytuacje obserwuje zazwyczaj z oddali (do niego bardziej pasuje szarża nadwilka). Dworczyk raczej nie – on tu pełni funkcję zająca. Nie jest także do końca jasne, kto jest owcą. Za to oczywiste jest proroctwo, że w czasie tego spotkania, jak i wielu innych, decydowano o tym, co będzie na obiad. Sprawy państwowe sprawami państwowymi, ale towarzyskie odkrycia podtrzymywać przecież trzeba.

Można zinterpretować słowa Bovarda bardziej metaforycznie i wtedy też pasują. Sąd konstytucyjny, którego prezesem usiłuje być Przyłębska, to owo „coś więcej”, co składa się na demokrację. Wilki to rządząca większość, owca to aktualna mniejszość – jeśli nie ma tamy dla woli większości, to mniejszość nie ma żadnych szans: wilk będzie syty, ale owca w kawałkach. Właśnie po to, aby silna większość nie zniszczyła słabej mniejszości, wymyślono sąd konstytucyjny – niewybialne powszechnie ciało, które ma moce równe całom wybieralnym. Tak jak parlament reprezentujący aktualną większość może uchwalić ustawę, tak sąd konstytucyjny, jeśli stwierdzi, że ustawa ta narusza prawa aktualnej mniejszości, może ją uchylić. No, chyba że ta sama większość, która kontroluje parlament, kontroluje ten sąd. Wtedy słabsi nie mają szans w starciu z silniejszymi.

To jest najbardziej w tej sprawie oburzające. Potężny rząd, utworzony przez kontrolującą wszystkie agendy państwa większość, wyrządza szkodę słabym – emerytom, opiekunom osób z niepełnosprawnością, zwyczajnym ludziom, przez których ziemię biegną instalacje energetycznych gigantów. Słabi idą do sądu konstytucyjnego z prośbą o ochronę, z wiarą, że on ich sprawę rozstrzygnie uczciwie. Nie mogą wiedzieć, że ten, kto ma ich obronić, kontaktuje się potajemnie z wysłannikiem tego po-

tężnego rządu, a z e-maila wynika, że rozmowa dotyczy tego, jak zrobić, aby potężnemu nie stało się zło, nawet jeśli słaby na tym straci.

Rendez-vous Przyłębskiej z Dworczykiem jest jak potajemne spotkanie sędziego sądu karnego z oskarżonym, na którym dyskutuje się, jak zrobić, aby kara nie była zbyt dotkliwa, a zadośćuczynienie niezbyt wysokie. Nieprawdą jest, że była to rozmowa o „terminach” czy o „skutkach finansowych” wyroków. Dworczyk pisze wyraźnie, że rozmawiali o „tematach” – o sprawie emerytów, świadczeń pielęgnacyjnych, służebności przesylu. A jeśli TK jest zatroskany o wpływ swoich wyroków na budżet, może z pytaniami do rządu w tej sprawie wystąpić oficjalną drogą – po to właśnie umieszczono w konstytucji art. 190 ust. 3 (zdanie ostatnie).

To spotkanie ma także potencjał kryminalny. Jak napisał dawno temu „Dziennik Gazeta Prawna”, w jednej ze spraw, której dotyczyło, „Trybunał analizował sprawę za długo i w efekcie minął czas na występowanie do ZUS z wnioskami o zmianę decyzji”. Oznacza to, że rząd miał interes w przedłużaniu tej sprawy – jak i w innych, stąd Dworczyk skrupulatnie podaje Morawiekiemu w e-mailu kwoty „oszczędności”. Nie twierdząc, że doszło tu do przestępstwa, ale chciałbym być pewien, że nie. Bo okoliczności są bardzo niesprzyjające

Otóż prezes TK może wpływać na przedłużenie postępowania w danej sprawie. Może na przykład zmienić skład orzekający, a nowy sędzia musi się wdrożyć. Wiemy z listów oburzonych sędziów TK, że Przyłębska nadużywa tej kompetencji do tego stopnia, że może to wpływać na treść orzeczeń. Bo czymże jest powołanie sędziego do składu, poznanie jego wstępnej opinii co do rozstrzygnięcia i zastąpienie go innym sędzią?

Nawet twardy elektorat PiS, który spisek widzi wszędzie, tylko nie w swojej partii, musi zauważyć tu problem. Co najważniejsze, z nieznanych (albo teraz już znanych) powodów TK strzeże jak żrenicy oka informacji publicznej na temat spraw, w których taką zmianę składu zarządzono. Ostatnio Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która bada ten wątek, wygrała w sądzie administracyjnym sprawę przeciwko Trybunałowi – sąd nakazał ujawnienie sygnatur tych spraw. Nadal ich nie znamy, bo TK się odwołał, tak bardzo mu nie w smak przejrzystość własnego działania. Gdy połączyć tę niechęć z e-mailem Dworczyka, robi się naprawdę niefajnie.

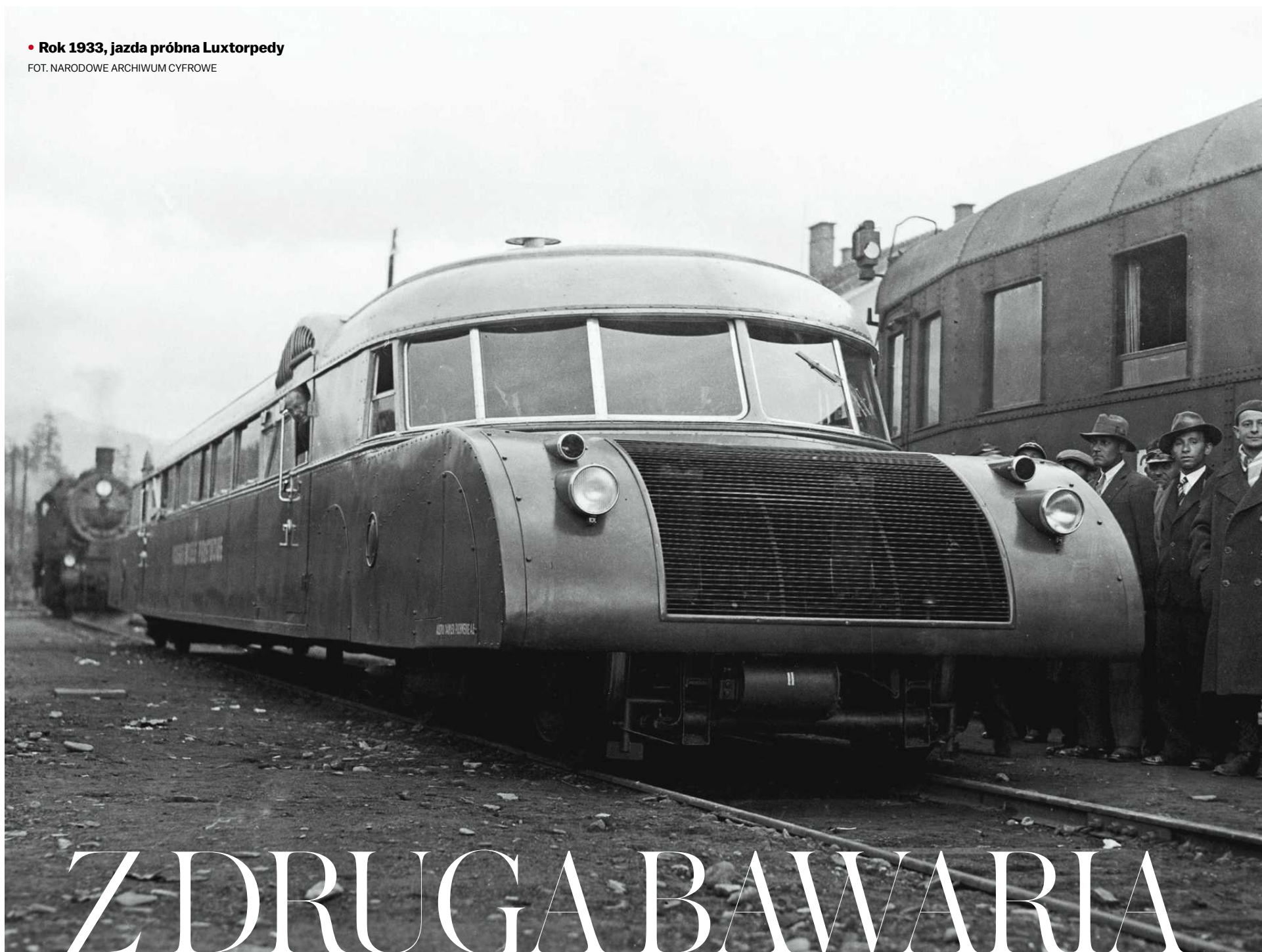
Całą sprawę można by skomentować tak, jak komentuje się zazwyczaj mecze polskiej reprezentacji: niby człowiek wiedział, ale jednak trochę się ludził. Że ta władza nie jest tak arogancka, że może nie oszukuje nas aż tak bezczelnie.

Lecz wszystko wskazuje, że z biegiem czasu będzie tylko gorzej – coraz trudniej spinający się budżet będzie wymagał coraz większej troski, żeby wyroki sądów nie szkodziły rządowi. Jednocześnie potencjalni inwestorzy, widzący, że w Polsce rząd może negocjować z sądami skutki ich wyroków, będą omijać Polskę z inwestycjami jeszcze bardziej niż dotąd. Kto zaryzykuje spór z władzą, której nie można skutecznie pozwać do sądu, bo sąd jest jej? Tym samym kryzys będzie głębszy i coraz większa stanie się pokusa, żeby wilki głośowały przeciwko owcom. A menu na kolejne obiady będzie pełne coraz chudszej jagłownicy.

Przepowiednia Bovarda nie przestaje mnie zadziwiać. I choć nie jest do końca jasne, kto w niej jest wilkiem, kto owcą i co będzie na obiad, dość łatwo domyślić się, że baranem jesteśmy my, Naród polski. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

• Rok 1933, jazda próbna Luxtorpedy
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



ZDRUGĄ BAWARIĄ COŚ NIE PYKŁO

Izera, „Batory”, „Luxtorpeda”, „Żwirko i Wigura”, „Telemedycyna”, „Polskie meble”,
„Cyberpark Enigma”, „Inteligentna kopalnia”...
Co poszło nie tak?

WITOLD GADOMSKI

K

Kilka tygodni po nominacji na wicepremiera w świeżo powołanym po zwycięstwie PiS rządzie Beaty Szydło Mateusz Morawiecki zapowiedział zmiany polityki gospodarczej, które przyspieszą wzrost inwestycji i płać, odbudowę przemysłu, uczynią go innowacyjnym i konkurencyjnym. Rozwój miał się opierać na polskich zasobach, a nie na kapitale zagranicznym.

Pomysły wicepremiera w formie slajdów rząd nagrodził oklaskami, a prezes Kaczyński oświadczył, że to najlepszy plan gospodarczy w „ostatnich 26 latach” – czyli lepszy niż plan Balcerowicza.

Prezes zapewne nie wiedział, że slajdy pomogli Morawieckiemu przygotować eksperci z globalnej firmy doradczej Boston Consulting Group, z którymi współpracował w BZ WBK.

Ostateczny dokument o nazwie „Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”, popularnie nazywany „planem Morawieckiego”, został przyjęty przez rząd kilka miesięcy później. Był poważnie dyskutowany przez ekonomistów i działaczy gospodarczych z różnych opcji i na kilka miesięcy stał się propagandowym wehikulem PiS.

Poważni politycy zajmujący się gospodarką, tacy jak Marek Borowski, Jerzy Hausner czy Ryszard Bugaj, choć krytykowali konkretne propozycje, to podkreślali, że diagnoza zawarta w „planie Morawieckiego” jest zasadniczo słuszna: polska gospodarka jest zbyt mało innowacyjna, zbyt mało inwestuje, zwłaszcza w produkcję o zaawansowanej technologii, polskie instytucje wymagają wzmocnienia, a rządową administrację, od lat podzieloną na resorty, trzeba przebudować tak, by poszczególne części współpracowały.

Diagnoza ta nie była żadnym odkryciem, raczej zestawem powtarzanych od lat stwierdzeń, ale

stwarzała możliwość ponadpartyjnej dyskusji o polskiej modernizacji.

Morawiecki przekonał do siebie prezesa PiS. Kaczyński nie ma rozeznania w sprawach gospodarczych, nie rozumie wpływu rynków finansowych i globalizacji na narodowe gospodarki. Poglądy Morawieckiego to mieszanka gospodarczego nacjonalizmu i marzeń o wielkich projektach realizowanych przez państwo, na miarę przedwojennej Gdyni. To jest dla Kaczyńskiego zrozumiałe i bliskie.

S OR liczy 418 stron. 62 razy pojawia się tam słowo „modernizacja”, 113 razy „innowacje”, 296 razy „technologie”, 399 razy „rozwój”. „Strategia” zapowiadała reindustrializację, czyli zwiększenie udziału przemysłu w wytwarzanym dochodzie narodowym, tworzenie „dolin przemysłowych”, rozwój innowacyjnych przedsiębiorstw, stworzenie przyjaznego otoczenia prawnego dla przedsiębiorczości, podniesienie stopy oszczędności i inwestycji, ekspansję zagraniczną, a także rozwój społeczny z naciskiem na edukację.

Stopa inwestycji, czyli relacja nakładów brutto na środki trwałe do PKB, miała w roku 2020 osiągnąć 22-25 proc. i do roku 2030 utrzymać się na poziomie 25 proc.

Bez większych nakładów nie ma mowy o modernizacji gospodarki. Ale w 2016 r., pierwszym rządów PiS, inwestycje spadły – z 20,1 proc. w 2015 do 18 proc. W kolejnych latach wyniosły w relacji do PKB 18,2 i 18,3 proc., a to, co się zdarzyło później, było katastrofą. W pandemicznym roku 2020 stopa inwestycji wyniosła 16,7 proc. PKB, a w 2021 r., gdy gospodarka odbiła po pandemii, jeszcze mniej – 16,6 proc. – poziom nienotowany od początku lat 90. Morawieckiemu i machinie propagandowej PiS tę ewidentną porażkę udawało się tuszować. Niby wszyscy komentatorzy opisują od siedmiu lat inwestycyjną zapaść, ale duża część wyborców tego nie zauważa lub po prostu lekceważy.

Do opinii publicznej przebiły się za to konkretne pomysły zapisane w „Strategii”, czyli tak zwane „flagowe projekty”. Niektóre opatrzone były romantyczną nazwą pokazującą, w którą stronę biegną myśli Morawieckiego i Kaczyńskiego.

Projekt „Batory”, który miał odrodzić polski przemysł stoczniowy, nawiązywał do nazwy przedwojennego transatlantyku MS „Batory”, który został zwodowany w 1936 r. i pływał pod polską banderą do 1969. Polskie stocznie miały budować innowacyjne obiekty pływające. „Będą to jednostki o wysokiej wartości dodanej, kilkakrotnie przewyższające średnią wartość dodaną polskiego eksportu” – mówił Morawiecki w lipcu 2016 r.

W ramach projektu „Żwirko i Wigura” planowano rozwijać produkcję dronów i szerzej – „integrowanych systemów zarządzających pozyskujących dane z bezzalagowych statków powietrznych”. Żwirko był lotnikiem, a Wigura inżynierem lotnictwa. Wspólnie w 1932 r. w międzynarodowych zawodach „Challenge” zajęli pierwsze miejsce i zdobyli puchar międzynarodowy. Kilka tygodni później zginęli w katastrofie, stając się bohaterami zbiorowej wyobraźni.

Program „Elektromobilność” zakładał rozwój przemysłu motoryzacyjnego, który budowałby rozmaite pojazdy o napędzie elektrycznym, od autobusów i tramwajów do samochodów osobowych. Morawiecki wielokrotnie zapewniał, że po polskich drogach do roku 2025 będzie jeździł milion samochodów elektrycznych.

W ramach projektu „Luxtorpeda 2.0” zamierzano budować nowoczesne pojazdy transportu szynowego. To kolejne nawiązanie do przedwojennych sukcesów. Pociągi typu luxtorpeda produkowane były od połowy lat 30. w fabryce Fablok w Chrzanowie. Na podstawie licencji Daimlera wyprodukowano kilka takich pociągów, wyposażonych w dieslowskie silniki, lepsze od stosowanych w pierwowzorze. Miały dużą jak na owe czasy prędkość – do 115 km/godz.

Nazwa „Cyberpark Enigma” nawiązywała rzecz jasna do niemieckiej maszyny szyfrującej, której pierwszą wersję rozgryźli polscy kryptolodzy. Według rządowego projektu ośrodek ten miał dysponować potencjałem pozwalającym konkurować na europejskim rynku specjalistycznych usług IT.

Inne „flagowe projekty” SOR to:

Projekt „Telemedycyna” – miał dostarczać nowoczesne usługi i produkty medyczne, wykorzystując innowacyjne technologie komunikacyjne.

Nowoczesne leki miały powstawać w Centrum Rozwoju Biotechnologii. Polska miała stać się europejskim centrum zaawansowanych leków generycznych.

Projekt „Polskie meble” miał stymulować rozwój wzornictwa przemysłowego i tworzenia silnych polskich marek, wykorzystujących nowoczesne technologie.

W ramach programu „Inteligentna kopalnia” miały powstawać zakłady produkujące maszyny górnicze i budowlane. Autory „Strategii na rzecz Odpowiedzialnego

Rozwoju” uznali, że Polska, będąca ostatnim w Unii krajem eksploatującym węgiel kamienny z głębokich kopalń, a także mającym kilka kopalń miedzi i odkrywki węgla brunatnego, ma odpowiednie zasoby kadrowe i kompetencje, by konstruować i eksportować skomplikowane kombajny górnicze. Ale postęp, który w tej dziedzinie nastąpił w ostatniej dekadzie w świecie, wynika z wprowadzenia robotów, umożliwiających ekonomicznie uzasadnioną eksploatację złóż wcześniej uznanych za wyczerpane. Polskie firmy konstruujące maszyny górnicze w tej lidze nie grają.

O dziwo, w planie nie było niemal nic o naprawie branż przynoszących straty, zatrudniających tysiące ludzi, których wydajność jest bardzo niska – o górnictwie, energetyce, rolnictwie, drobnym handlu.

Z dokumentu wylaniał się wizerunek Morawieckiego marzącego o Wielkiej Polsce, na którego biurku stoi popiersie Marszałka. Jego marzenia były anachroniczne i nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Przypominały dokumenty z innej epoki – plany 5-letnie, które też zawierały listę inwestycji na najbliższe lata.

Nadanie „flagowym projektom” nazw nawiązujących do dawnych sukcesów polskiej gospodarki nie byłoby złym pomysłem, gdyby za nimi szły konkretne działania i choć część doczekałaby się realizacji. Lecz od opublikowania „planu Morawieckiego” minęło prawie siedem lat, a efekt jest praktycznie żaden.

Jeśli Morawiecki miałby zdać sprawozdanie z jego realizacji, mógłby wymieć wyłącznie prywatne firmy, które nie potrzebowały rządowego wsparcia i rządowych dokumentów, by się rozwijać. Co nie znaczy, że nie miały kłopotów, jak wszystkie firmy działające na rynku.

Tak się stało z bydgoską spółką Pesa, która w 2017 r. straciła płynność i potrzebowała nowego inwestora. Pesa, dawniej Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Bydgoszczy, została sprywatyzowana w końcu lat 90. przez wykup menedżerski. Unowocześniła technologię i przez kilka lat odnosiła sukcesy, sprzedając tramwaje i inne pojazdy szynowe do kilkudziesięciu państw. Pasowała do projektu „Luxtorpeda 2”, więc rząd skorzystał z okazji i przebił oferty innych inwestorów, przejmując w 2018 r. kontrolę za pośrednictwem Polskiego Funduszu Rozwoju. Pesa w dalszym ciągu sprzedaje nowoczesne pojazdy, ogłasza, że pracuje nad lokomotywą na wodór.

Ostatnia urzędowa informacja z „Cyberparku Enigma” pochodzi z 2018 r., gdy wiceminister Marcin Ociepa odpowiadał na interpelację posła Pawła Pudłowskiego. „W ramach Programu Flagowego SOR »Cyberpark Enigma«, w okresie grudzień 2017 r. – czerwiec 2018 r. w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii funkcjonowała grupa robocza powołana do zdefiniowania potrzeb technologicznych i projektowych RP w zakresie mikroelektroniki, jak i wstępnych założeń projektu uruchomienia produkcji wyrobów z dziedziny półprzewodników. Grupa opracowała raport na potrzeby MPiT, który aktualnie poddawany jest dalszej analizie. Członkowie grupy, eksperci wywodzący się ze szkół wyższych, instytutów badawczych, instytucji państwowych, etc., zrealizowali zadanie opracowania raportu w ramach statutowych obowiązków rodzinnych instytucji, bez kosztów po stronie MPiT”.

W sumie realizacja „wizjonerskiego” pomysłu polegała na sporządzeniu biurokratycznego raportu.

A mimo to cyfryzacja polskiej gospodarki znacznie przyspieszyła, tyle że ma to niewiele wspólnego z rządowymi dokumentami. Polska staje się jednym z głównych ośrodków infrastruktury data center w Europie, po Frankfurtu i Paryżu, Amsterdamie i Londynie. Przedsiębiorstwa coraz częściej zamiast budować własne centra danych, co wiąże się z dużymi nakładami, koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa i zabezpieczenia

się przed awariami dostaw energii elektrycznej, korzystają z usług zewnętrznych. Na świecie trend ten trwa od dawna, w Polsce zaczął nasilać się w ostatnich latach m.in. w związku z inwestycjami Google i Microsoftu, które zadeklarowały wielomiliardowe nakłady na tzw. lokalne strefy dostępności.

Polska jest też liderem w eksporcie autobusów elektrycznych w Unii. Ale co w tym przypadku znaczy „Polska”? Eksportują trzy firmy: Solaris, Volvo i Man. Pierwsza została założona przez polskich biznesmenów, małżeństwo Solange i Krzysztofa Olszewskich, którzy w 2018 r. sprzedali spółkę hiszpańskiej firmie CAF. Do transakcji miał się dołączyć Polski Fundusz Rozwoju, który chciał kupić od Hiszpanów 35 proc., ale transakcja nie doszła do skutku. Nie wiadomo zresztą, jaki byłby jej cel. Hiszpanie nie potrzebowali wsparcia kapitałowego. Dziś są w Europie liderami sprzedaży elektrycznych pojazdów, ale byłiby i bez „planu Morawieckiego”.

Zwija się, zamiast rozwijać

16,6

• proc. wyniosły inwestycje w relacji do PKB w 2021 r. To poziom nienotowany od początku lat 90. – a przecież gospodarka odbiła po pandemii

Konkurenci Solarisa to międzynarodowe korporacje – niemiecki Man i szwedzko-chińskie Volvo. Produkują w Polsce nie dlatego, że przeczytali „plan Morawieckiego”. Po prostu uznali, że znajdą tu wystarczająco wielu wykwalifikowanych pracowników gotowych pracować za niższe wynagrodzenie niż w Niemczech czy Szwecji.

Morawiecki mógłby też chwalić się projektem „Polskie meble”, tyle że polskie firmy meblarskie, także z rodzimym kapitałem, polską technologią i wzornictwem, od lat mają silną pozycję na światowych rynkach. Nie zawdzięczają jej rządowi PiS.

O produkcji dronów dowiedzieliśmy się co nieco z ujawnionego maila Michała Dworczyka. Szef kancelarii premiera pisał o „wywalaniu dziesiątek milionów w błoto” lub wręcz przyzwoleniu na „rozkradanie środków budżetowych” w kontekście zamówienia na drony wojskowe w państwowej spółce PGZ Electronics. „Okazało się, że drony PGZ istnieją wyłącznie w fazie wstępnych prototypów. Najpierw trzeba było czekać, aby skonstruowali 3 sztuki, a potem okazało się to totalną klęską. Podczas testów na poligonie w Zielonce nie mogły trafić w cel lub nie wybuchaly. Natomiast testy Warmatows wyszły świetnie (...) Warmaty kupują m.in. Turcy, Ukraińcy i Arabowie, tzn. kraje, które prowadzą wojnę, oceniając, że jest to lepszy produkt niż odpowiedniki izraelskie czy amerykańskie”.

Ich zakup dla polskiej armii blokował Antoni Macierewicz, gdyż ich producentem jest WB Electronics z Ożarowa Mazowieckiego – prywatna polska firma będąca częścią WB Group.

Dwie najbardziej spektakularne porażki „flagowych projektów” dotyczą przemysłu stoczniowego i elektrycznych samochodów osobowych.

Nie ma sensu przypominać nieszczęsnej rdzewiejącej stępki w szczecińskiej stoczni. Zastanówmy się raczej, dlaczego projekt poniósł fiasko, a właściwie dlaczego był z góry skazany na przegraną.

Budowę promów miała zająć się Morska Stocznia Remontowa „Gryfia”, która w tym celu wykorzystwała infrastrukturę dawnej Stoczni Szczecińskiej, w tym pochylnię. Pochylnią zarządzał Szczeciński Park Przemysłowy, też spółka państwowa.

Zgodnie z szacunkami koszt budowy promu to około 450 mln złotych. Minister gospodarki morskiej Marek Gróbarczyk zapewniał, że ma zapewnione finansowanie. Pieniądze miały pochodzić z państwowych banków oraz Polskiego Funduszu Rozwoju. Odradzanie przemysłu stoczniowego miało się zatem dokonać poza mechanizmem rynkowym. Stroną zamawiającą była państwowa spółka Polska Żegluga Bałtycka, wykonawcami państwowe stocznie, a finansowania miały dostarczyć państwowe banki i fundusze.

Jeśli nie ma reguł rynkowych, to nie ma twardych ograniczeń finansowych, konkurencji, podnoszenia wydajności, ograniczania kosztów. Według takiego modelu budowany był przemysł w PRL. Nie liczone się z kosztami i rachunkiem ekonomicznym, więc przedsiębiorstwa funkcjonowały i nie bankrutowały, nawet gdy były bardzo niewydajne. Aż zbankrutowała cała gospodarka.

Założona w 2002 r. przez skarb państwa Stocznia Szczecińska Nowa zbankrutowała już po siedmiu latach. Każdy rok kończyła stratą, mimo że gdy powstawała, nie była obciążona długami. Tym razem od tego nie doszło, gdyż... budowa promów nie ruszyła z miejsca.

Stocznia Gryfia nie miała żadnego doświadczenia w produkcji zaawansowanych technicznie statków. Nie bardzo więc wiadomo, dlaczego premier wierzył, że jej produkty będą zawierały więcej wartości dodanej niż tradycyjne produkty polskich stoczni. Od 2010 r., gdy największe stocznie zostały zamknięte, wielu pracowników wyjechało za granicę, zlikwidowano biura projektowe. Wreszcie – menedżerowie potrafiący zarządzać stoczniami znaleźli sobie inne zajęcia lub też przeszli na emeryturę.

A zarządzanie stocznia jest skomplikowane. Negocjacje z armatorem zamawiającym statek powinni prowadzić doświadczeni specjaliści, którzy rozumieją, że pewnych prac w ogóle nie da się w Polsce wykonać, inne wymagają zagranicznych zakupów, więc uwzględnić trzeba ryzyko kursowe. Umowę trzeba sporządzić tak, by – gdy zajdą nieprzewidziane zjawiska – stocznia nie poniosła straty. A to dopiero początek. Trzeba zamówić odpowiedni projekt, skompletować kadry, pilnować rozliczeń z podwykonawcami.

Tymczasem PiS potraktował zarządy stoczni jak normalne synekury, które należą się działaczom. W Gryfi prezesi zmieniali się średnio co rok. Obecny, Krzysztof Zaremba, jest prezesem od stycznia 2020 r. Z wykształcenia jest politologiem, był czynnym politykiem najpierw PO, potem PiS. Przed objęciem stanowiska z przemysłem stoczniowym nie miał nic wspólnego. Przegrał w sądzie proces z dziennikarzem, który na Facebooku zarzucił mu brak znajomości profesjonalnego języka angielskiego. Sąd w uzasadnieniu napisał: „Cechą wielce pożądaną w przypadku strony powodowej byłaby wszak przynajmniej znajomość języka branżowego. I to nie tylko angielskiego, ale również branżowego języka polskiego. A przypomnieć w tym miejscu należy, iż Krzysztof Zaremba nie legitymuje się stosownym wykształceniem, mogącym potwierdzić, iż jest faktycznie fachowcem w tej dziedzinie, ale co więcej, brak jest po jego stronie również jakiegokolwiek doświadczenia zawodowego w branży stoczniowej”. Z takimi fachowcami Morawiecki marzył o innowacyjnych promach przemierzających morza.

„Nie będę tłumaczył się holocie i popaprańcom” – skwitował Joachim Brudziński klęskę rządowego programu odbudowy przemysłu stoczniowego.

W listopadzie 2020 r. NIK ujawnił raport z kontroli innego sztandarowego projektu Morawieckiego – produkcji elektrycznych samochodów. Według kontrolerów w końcu 2019 r. po polskich drogach jeździło łącznie 8637 elektrycznych samochodów osobowych, a przybyło zaledwie 4003 sztuk nowych „elektryków”.

Według raportu „opóźnione są prace nad wszystkimi projektami budowy pojazdów elektrycznych, a błędne decyzje skutkowały nieefektywnym wydaniem co najmniej 7 mln zł”.

Konstrukcją i masową produkcją miała się zająć państwowa firma ElectroMobility Poland SA, wyposażona w kapitał 70 mln zł przez państwowe spółki energetyczne. Zrzuciły się na ElectroMobility nie dlatego, że uznały to za dobrą inwestycję, tylko taki dostały nakaz od ministra. Przed kilku tygodniami pojawiła się informacja, że podpisano umowę między skarbem państwa a ElectroMobility Poland (EMP). Państwo obejmie nowe akcje EMP o wartości 250 mln zł. Ich zakup zostanie w całości pokryty z Funduszu Reprywatyzacji. Dotychczasowi udziałowcy EMP – Enea, Tauron, Energa oraz PGE – zachowają swoje pakiety akcji. 250 mln zł to całkiem dużo dla budżetu, który ma coraz większe kłopoty z finansowaniem długu publicznego, ale o wiele za mało na budowę fabryki, konstrukcję samochodu i promocję jego marki.

Prezesem spółki został Piotr Zaremba (zbieżność nazwisk z prezesem Gryfii przypadkowa). W CV podaje, że jest ekspertem rynku elektromobilności, zarówno od strony infrastrukturalnej, jak i nowych modeli biznesowych. Wielokrotnie uczestniczył w negocjacjach klimatycznych na forum UE.

Czy są to odpowiednie kwalifikacje, by kierować wielką (w przyszłości) firmą, konkurującą z globalnymi korporacjami? Każdy wielki koncern motoryzacyjny od kilku lat produkuje samochody elektryczne i konkurencja na tym rynku jest równie zawzięta jak na rynku aut spalinowych. Korporacje wydają dziesiątki miliardów dolarów, euro, funtów i jenów na nowe technologie, ale także na marketing i promowanie swoich marek. Czy klient, mając do wyboru elektryczną toyotę, teslę, volkswagena, zdecyduje się na produkt ElectroMobility Poland SA?

W TOK FM w 2020 r. prezes Zaremba zapowiadał, że spółka na początku będzie produkowała trzy modele samochodu Izera, wielkości Opla Astry, i zapewniał, że zbyt będzie ogromny, gdyż będą tańsze od samochodów spalinowych – uwzględniając koszt zakupu i eksploatacji. Pytany o przewagi konkurencyjne nad samochodami zagranicznymi odparł, że polskie będą ładniejsze i nastawione na polski rynek, który dla zagranicznych firm jest mało interesujący. Nie wyjaśnił, dlaczego kilka z nich ma w Polsce zakłady samochodowe, skoro nasz rynek jest dla nich nieinteresujący.

Pierwotne plany mówiły, że fabryka miała powstać w 2021 r. na terenie Jaworzna lub Rudy Śląskiej. Ostatecznie wybrano Jaworzno, a seryjną produkcję planowano na rok 2023. Mamy już rok 2022, a fabryka nawet nie zaczęła powstawać. Grunty nie zostały zakupione, a w ostatnich dniach pojawiła się informacja, że projekt zostanie wygaszony. Całe przedsięwzięcie posłużyło do wydania kilkudziesięciu milionów złotych, za które kupiono m.in. sponsorowane artykuły w mediach.

Znów, tak jak w przypadku stoczni – nie doszło do większego nieszczęścia. Na absurdalny projekt wydano miliony, ale nie miliardy, które zostałyby utopione, gdyby projekt kontynuowano.

Kaczyński zaakceptował także drugi programowy dokument, który formalnie przygotował zespół kierowany przez Morawieckiego: „Polski ład”. Trudno powiedzieć, jaki był wkład samego premiera. Były minister finansów Tadeusz Kościński, współautor programu, mówił w „Rzeczpospolitej”: „Ja wykonywałem to, co nam kazano. Nie mnie oceniać, czy to był błąd. Na-

szym zleceńodawcą był głównie pan premier. A on zbierał wszystkie pomysły, które wychodziły z Nowogrodzkiej, z innych ministerstw i z różnych instytucji, na przykład Polskiego Instytutu Ekonomicznego”.

„Polski ład” miał być lokomotywą, która zawiezie PiS do trzeciego wyborczego zwycięstwa. Rząd wydał miliony złotych na jego propagandę. Ostatecznie okazał się porażką, gdyż zmiany podatkowe nikogo nie satysfakcjonowały i wprowadzały chaos. Ale poza obniżką podatków „Polski ład” przewidywał rozmaite projekty inwestycyjne o wartości 72,4 mld zł rocznie, a łącznie do roku 2030 – 651 mld zł.

„Fundusz Polski Ład da nie tylko impuls rozwojowy, ale także realnie zmieni jakość życia mieszkańców zarówno dużych, jak też średnich i małych miast” – zapowiada dokument, który wymienia dziesiątki zadań finansowanych z funduszu. Obiecuje m.in.:

- ponad 2 tys. km nowych dróg ekspresowych i autostrad;
- ponad 100 mostów i obwodnic;
- przebudowa 50 tys. km dróg, wielu kilometrów chodników lub ścieżek rowerowych, remont miejscowych mostów, tysiące bezpiecznych przejść dla pieszych.
- 5,9 tys. km zmodernizowanych dróg kolejowych.
- wsparcie dla modernizacji 3,6 tys. boisk, centrów sportowych czy ogólnodostępnej infrastruktury fitness;
- zwiększenie do 80 proc. dofinansowania na budowę blisko 300 sal gimnastycznych i 100 basenów w gminach, które nie mają takich obiektów;
- ponad 300 inwestycji muzealnych w całym kraju;
- wielkie programy infrastrukturalne, takie jak Via Carpatia, Via Baltica, Rail Baltica, rozbudowa Portu Gdańskiego, przekop Mierzei Wiślanej, Centralny Port Komunikacyjny;
- odbudowę Pałacu Saskiego w Warszawie.

„Polski ład” nie jest tożsamy z Krajowym Planem Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO), który ramowo został zaakceptowany przez Komisję Europejską, ale wiele zapowiedzi z obu dokumentów się pokrywa. KPO przewiduje 54 inwestycje i 48 reform. Ma wzmocnić gospodarkę i sprawić, że będzie ona łatwiej znosić wszelkie kryzysy. Mamy na to otrzymać od Unii 158,5 mld zł, w tym 106,9 mld w postaci dotacji i 51,6 mld w formie preferencyjnych pożyczek.

Zgodnie z celami UE znaczną część budżetu przeznaczymy na cele klimatyczne (42,7 proc.) oraz na transformację cyfrową (20,85 proc.). Z powodu sporu wewnątrz rządzącej koalicji oraz sporu między Polską a Komisją Europejską środki na razie nie są uruchomione, a przyszłość finansowania nie jest pewna.

Jeżeli ostatecznie pieniądze do Polski trafią, a Unia przypilnuje, by nie zostały zmarnotrawione, przyczynią się w jakimś stopniu do unowocześnienia gospodarki. Ale modernizacja wymaga nie tylko pieniędzy, ale przede wszystkim tworzenia warunków dla postępu technicznego, ekonomicznego i społecznego.

Kaczyński i Morawiecki wielokrotnie podawali przykład Bawarii – jednego z najbogatszych i najszybciej rozwijających się niemieckich landów, który jednocześnie jest bardziej konserwatywny niż reszta kraju. Chcieliby też w Polsce takiej konserwatywnej modernizacji. To porównanie powierzchowne. Niemcy mają wprawdzie ustrój federalny, ale gospodarczo są jednym organizmem, gdzie obowiązują podobne regulacje, przepisy podatkowe, system edukacji.

Bawarska modernizacja nie tłumi kreatywności, która jest warunkiem niezbędnym, by zachodziły pozytywne przemiany przynoszące nie tylko zyski (które są ważne), ale też poprawiające jakość życia. Kreatywność czasami definiuje się jako umiejętność rozwiązywania problemów. Ale to nie wystarczy. Problemy można rozwią-

zywać w sposób rutynowy, powtarzalny. W kreatywności liczy się poszukiwanie, ryzyko, nowe podejście do problemu. Jest często procesem spontanicznym, chaotycznym, łamiącym uznane zasady. Wiąże się ze sztuką i kulturą, co nie oznacza, że monopol na nią mają artyści lub dyrektorzy kreatywnej agencji reklamowych, ale niezbędną cechą osoby kreatywnej jest wyobraźnia.

Tymczasem dyskusja, jaka toczy się w Polsce o modernizacji i innowacyjności, jest anachroniczna, czyli nie jest kreatywna. Wychodzi z założenia, że kiedy się dokonuje wynalazków, należy się skoncentrować na produkcji przemysłowej lub tradycyjnych usługach. Zakłada też, że istnieje liniowy związek między wielkością nakładów na badania i rozwój (B+R) z kasy publicznej lub prywatnych firm, które otrzymują od państwa zwrot nakładów w formie ulg podatkowych, a efektami w postaci nowych wdrożeń i większego udziału towarów innowacyjnych w eksporcie. Tak rozumieją modernizację politycy PiS.

Wątpliwe zresztą, by modernizacja była głównym celem Kaczyńskiego i Morawieckiego. Zależy im raczej na utrzymaniu i wzmocnieniu władzy i temu celowi podporządkowują przemiany w Polsce. Trudno merytorycznie oceniać rządowe dokumenty, których głównym celem jest oddziaływanie na wyborców, składanie obietnic, właściwy dobór słów, czyli propaganda. Wiedział to Stanisław Kostrzewski, były skarbnik PiS. Niestety, wiedzę tę ujawnił dopiero po przejściu na emeryturę. Niedawno w „Rzeczpospolitej” mówił:

„Nie uważam pana Morawieckiego za dobrego bankowca. Jak byłem robotnikiem, to mogłem chlapać wszystko. Jak byłem prezesem, to już nie wszystko. A jak się jest premierem, a jeszcze nie daj Boże prezesem NBP i nie ma się świadomości, że wypowiedziane przez siebie słowo waży ileś tam milionów albo miliardów, to niestety nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Ale jednak jakoś Mateusz Morawiecki wdarł się w łaski Jarosława Kaczyńskiego.

Wdarł się, ponieważ on jest specem od erystyki. Ja z nim prowadziłem wiele rozmów i moje zdanie, które zresztą przekazałem panu prezesowi, było negatywne w sensie gospodarczym. Nie można wyjść i mówić »będzie milion aut elektrycznych«”.

Kaczyński i Morawiecki, snując wizje sukcesów gospodarczych i technicznych, mają na myśli wyłącznie przedsięwzięcia państwa – kosztowne i nieprzemyślane inwestycje w rodzaju Centralnego Portu Komunikacyjnego czy przekopu Mierzei Wiślanej. Po siedmiu latach ich rządów żadna państwowa inwestycja nie została zrealizowana. Najwyraźniej nie przeszkadza to wyborcom PiS.

Bo etatyzm tkwi także głęboko w głowach sporej części Polaków. W szkołach uczniowie zapoznają się z rzekomymi sukcesami gospodarczymi II Rzeczypospolitej – wyłącznie inicjatywami państwa. Nie dowiadują się, że wiele było porażką, że przejęcie przez rząd II RP w latach 30. kontroli nad bankami hamowało rozwój, a biurokracja i kolesiostwo w państwowych firmach kwitło nie gorzej niż dziś. Wielu starszych Polaków wypiera z pamięci puste półki i bałagan w państwowych przedsiębiorstwach w PRL. Propaganda partyjno-państwowej telewizji kłamliwie przedstawia proces prywatyzacji z początków transformacji. Nie mówi za to słowem o państwach mających miejsce w państwach przedsięwzięciach. Do etatyzmu mocno przywiązana jest lewica, będąca skądinąd przeciwko PiS. Młodzi lewicowcy z coraz większą sympatią wypowiadają się o PRL, a coraz krytyczniej o prywatnych korporacjach. Etatyzm jest na rękę Kościołowi, który czerpie korzyści z symbiozy z państwem.

Prywatny kapitał, któremu zawdzięczamy sukcesy ostatnich dekad, nie ma wielu obrońców. PO też unika jasnej deklaracji, że będzie promować wolność gospodarczą i odwróci etatystyczne eksperymenty. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Piotr Mitzner*

Mucha w pochodzie

1.

słodko jest umierać...

*trochę narodu do smaku
byle nie przedawkować*

*bo zapycha żyły
zatrzymuje serce
zabija neurony
skraca oddech*

*przed użyciem
dobrze jest
zamieszać
wstrząsnąć
żeby na dzień
nie zostało żeby*

*ten ostatni tyk
nie rzucił na kolana*

naród to nałóg

i łopot

2.
*stawiać pomniki
na sztorc
byle prędko*

czcić i bezcześcić

*oblewać łzami i moczem
podpalać
obalać
owijać*

wlec kadłub

*pomniki mają
grubą skórę
twarde głowy ale
słabe karki*

*kwew mają ukrytą głęboko
i nie jest to
ich kwew*



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

***Piotr Mitzner** – ur. w 1955 r., poeta, historyk literatury, edytor. Działal w wydawnictwach niezależnych (Krag, Karta), od 1999 r. jest nauczycielem akademickim (UKSW), w latach 2000-18 był zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Nowaja Polska”.

Wiersz za jego tomikiem „**Mucha!**”, wyd. tChU, Warszawa 2021



Maile Dworczyka są okrutne

Tak się składa, że jedna ze spraw omawianych przez Dworczyka z Przylębską jest bliska mojemu sercu

Adam Bodnar*



Ten tydzień przyniósł kolejne tzw. maile Dworczyka. Dowiedzieliśmy się, że minister mógł ustawiać z prezes Trybunału Konstytucyjnego Julią Przylębską (nazwaną w mailu „Julia P”) przesunięcie terminów rozpatrywania spraw.

Maile ze skrzynki Dworczyka po raz kolejny pokazują, jak działają mechanizmy władzy wykonawczej w Polsce. O polityce mówi się, że nie powinno się znać sposobów robienia kielbasy. Ale w tym przypadku chodzi o coś więcej – o politykę polegającą na absolutnym podporządkowaniu TK władzy wykonawczej. Takie zależności można było podejrzewać, ale teraz są podane opinii publicznej na tacy.

Opinia publiczna to nie jest abstrakcyjny podmiot. Składa się z milionów obywateli, których bezpośrednio dotyczą te ujawnienia, wpływają na to, czy mogą jeszcze liczyć na ochronę praw określonych konstytucją.

W wiadomości wysłanej 7 stycznia 2019 r. Dworczyk wskazuje, że omówił trzy zagadnienia z Przylębską. Jedną z tych spraw to „I. rocznik 53 – na razie odroczone (Kieres, 250 mln – 1,5 mld)”. Tak się składa, że jest to sprawa bliska mojemu sercu.

Podczas spotkań regionalnych wiele razy byłem pytany o los emerytek z rocznika 1953, któ-

re ze względu na to, że przeszły na wcześniejszą emeryturę, miały później niepoprawnie przeliczane świadczenie, gdy osiągnęły pełny wiek emerytalny. Problem dotknął setek tysięcy osób.

Sprawą zajmowaliśmy się w Biurze RPO naprawdę intensywnie. Pisaliśmy wystąpienia, apelowaliśmy do rządu o zmianę przepisów. Bezskutecznie. Już wtedy wskazywałem, że jedną z przyczyn takiej polityki rządu jest skupienie się na wielkich grupach społecznych i wielkich liczbach. Innymi słowy, przekazanie kilkudziesięciu miliardów na flagowy program 500+ ograniczyło możliwości budżetowe dotyczące innych wyzwań społecznych. Ucierpiały emerytki z rocznika 1953, osoby otrzymujące wsparcie z Funduszu Alimentacyjnego (latami nie był podwyższany próg wsparcia), a także otrzymujące świadczenie pielęgnacyjne na opiekę nad dzieckiem z niepełnosprawnością (jeśli niepełnosprawność powstała, kiedy dziecko było już dorosłe). W ostatnim przypadku przez lata nie był wykonywany wyrok TK wydany jeszcze przed zmianami w 2015 r.

Każda z tych spraw miała konkretne przełożenie na cierpienie i budżety domowe wielu obywateli. Ale nie nadawała się, aby robić na nich kampanie wyborcze i codzienny przekaz polityczny.

Jednak obywatele są świadomi swoich praw. Stąd też skargi do sądów powszechnych, administracyjnych, ale także uruchamianie procedury przed TK.

W przypadku rocznika 1953 wyrok TK został ogłoszony 6 marca 2019 r. Był wydany w wyniku pytania prawnego zadanego już w sierpniu 2016 r. przez Sąd Okręgowy w Szczecinie. W rozprawie z ramienia RPO uczestniczył dyr. Lesław Nawacki, dla środowiska osób z rocznika 1953 był bardzo rozpoznawalny, gdyż od kilku lat odpowiadał na wiele skarg dotyczących tego problemu. Sukces przed TK bardzo nas ucieszył.

Tydzień później na spotkaniu we Wrześni jedna z emerytek zastanawiała się, co można dalej zrobić. Odpowiedziałem, że walka o prawa człowieka to walka o zwyczajne, codzienne sprawy, nie należy się poddawać, a w tym przypadku jak najwcześniej składać wnioski do ZUS-u o przeliczenie emerytury. Dodałem, że w normalnym kraju ZUS zrobiłby to automatycznie, ale w Polsce... I faktycznie – dopiero opóźniane wielokrotnie przyjęcie ustawy (na podstawie projektu senackiego) doprowadziło do wykonania wyroku TK.

Przyjrzyjmy się bliżej tej sprawie. Orzekło pięciu sędziów: Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz (przewodnicząca), Małgorzata Pyziak-Szafrnicka, Leon Kieres (sprawozdawca), Grzegorz Jędrzejek oraz Andrzej Zielonacki. Trójka z nich to zatem tzw. starzy sędziowie, powołani przed 2015 r. Pozostała dwójka została powołana w 2017 r. zgodnie z konstytucyjnymi procedurami. Niezależnie jednak od promotora poparcia (czyli PiS) to prawnicy, którzy mieli doreb i niekoniecznie mogli być chętni do służenia w każdej sprawie interesem władzy wykonawczej.

„Odraczanie sprawy” niespecjalnie wyszło w tym przypadku, ponieważ TK orzekł dosłownie dwa miesiące po dacie, z której pochodzi korespondencja Dworczyka. Byłoby ciekawe przeczytanie kiedyś pamiętników prof. Kieresa, w których opowiada on o swoich relacjach z Julią Przylębską. Podejrzewam, że trafiła kosa na kamień. Takie numery mogły wychodzić z sędziami dublerami. Prezes mogła manipulować składami w ważnych sprawach o politycznym znaczeniu. Z tego powodu w latach 2017-18 wycofałem zresztą kilka spraw z TK. Ale w sprawie rocznika 1953 skład został ukształtowany tak, że być może Przylębska nie miała żadnego manewru.

Wyrok z 6 marca 2019 r., wydany również dzięki roli Senatu (ukłony zwłaszcza dla Borowskiego), został wykonany. Los obywa-

teli został poprawiony. Ale może był to jeden z ostatnich wyroków TK, w których mógł on orzekać we względnie niezależnych składach. Myślę, że w obecnej sytuacji Julia Przylębska raczej nie spotkałaby się z trzema dysydentami w całym składzie TK, którzy doprowadziliby do wydania wyroku z konkretnymi skutkami dla władzy.

W wtorek byłem w Opolu. Przy tej okazji przypomniało mi się, że w połowie 2016 r. przedstawiciele ośmiu gmin wokół Opola protestowali przeciwko przymusowemu włączeniu ich do granic miasta. Rady gmin skierowały wniosek do TK, który zakończył się umorzeniem postępowania. Skład orzekający podjął taką decyzję 8 lutego 2017 r. Specjalnie używam sformułowania „skład orzekający”, bo w sprawie orzekali wyłącznie sędziowie-dublerzy (Mariusz Muszyński, Henryk Cioch oraz Lech Morawski).

Wszystko odbyło się na posiedzeniu niejawnym. Mieszkańcy gmin zostali pozbawieni ochrony konstytucyjnej pomimo masowych protestów i naruszenia ich praw, w tym praw jako przedstawicieli mniejszości niemieckiej. Pewnie po latach też się dowiemy o jakichś mailach, odwiedzinach w TK, wspólnych kolacjach, gdzie to wszystko mogło zostać ukartowane. Szybkość i „higieniczność” pozbicia się sprawy już wtedy budziła wątpliwości.

Obywatele Rzeczypospolitej nie mają już Trybunału Konstytucyjnego. Mają budynek w alei Szucha, który realizuje polecenia polityczne. Niby to wiedzieliśmy. Niby to rozumieliśmy ze względu na wcześniejsze wyroki, choćby te dotyczące dostępności aborcji czy członkostwa w UE. Ale kiedy możemy się o tym przekonać dosłownie i wprost, to jest to dojmujące uczucie. Maile Dworczyka są okrutne, bo prawda straszliwie boli.

***Adam Bodnar** – dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, były rzecznik praw obywatelskich, autor książki „Nigdy nie odpuszczę” (Wydawnictwo Agora, 2022)

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Matol



Kościół mój się zmienia, nikt tego nie kwestionuje, rzecz jednak w tym, że za wolno.

Problem pierwszych spowiedzi – oczywiście bardzo ważny. Chodzi o to, by spowiednicy rozumieli, że dla małych penitentów to wyzwanie jest bardzo trudne. Dzieci wymagają w tej relacji delikatności, łagodności. Słowo „matol” musi być wykluczone z dialogu w konfesjonale, nawet jeżeli gorliwy penitent (dziewięciolatek) wyznaje wszystkie grzechy głównie jako własne.

Trudno mi się powstrzymać od złośliwości, że spowiednik, używając go wobec dzieciaka, sam taki jest.

wyborcza

magazyn wyborczej
WOLNA SOBOTA

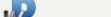
REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki
WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

WYDAWCA WYDAWÓW PRASY



WYDAWCA WYDAWÓW PRASY

FESTIWAL GÓRY LITERATURY



14.07 / czwartek
ZAMEK KSIĄŻ, SALA BALOWA
16.00–17.15
Anne Applebaum,
Donald Tusk
Wybór



15.07 / piątek
ZAMEK SARNY
12.30–13.45
Julia Fiedorczuk,
Barbara Sadurska,
Dominika Słowik
Ziarno granatu. Mitologia według kobiet



16.07 / sobota
ZAMEK SARNY
13.30–14.45
Adam Bodnar
udział w dyskusji
Wolność słowa



16.07 / sobota
ZAMEK SARNY
19.30–20.45
Oksana Zabuzko
Planeta Piolun



18.07 / poniedziałek
RYNEK W NOWEJ RUDZIE
16.15–17.30
Frank Westerman
My, człowiekowie
współorganizator
Ambasada Królestwa
Niderlandów

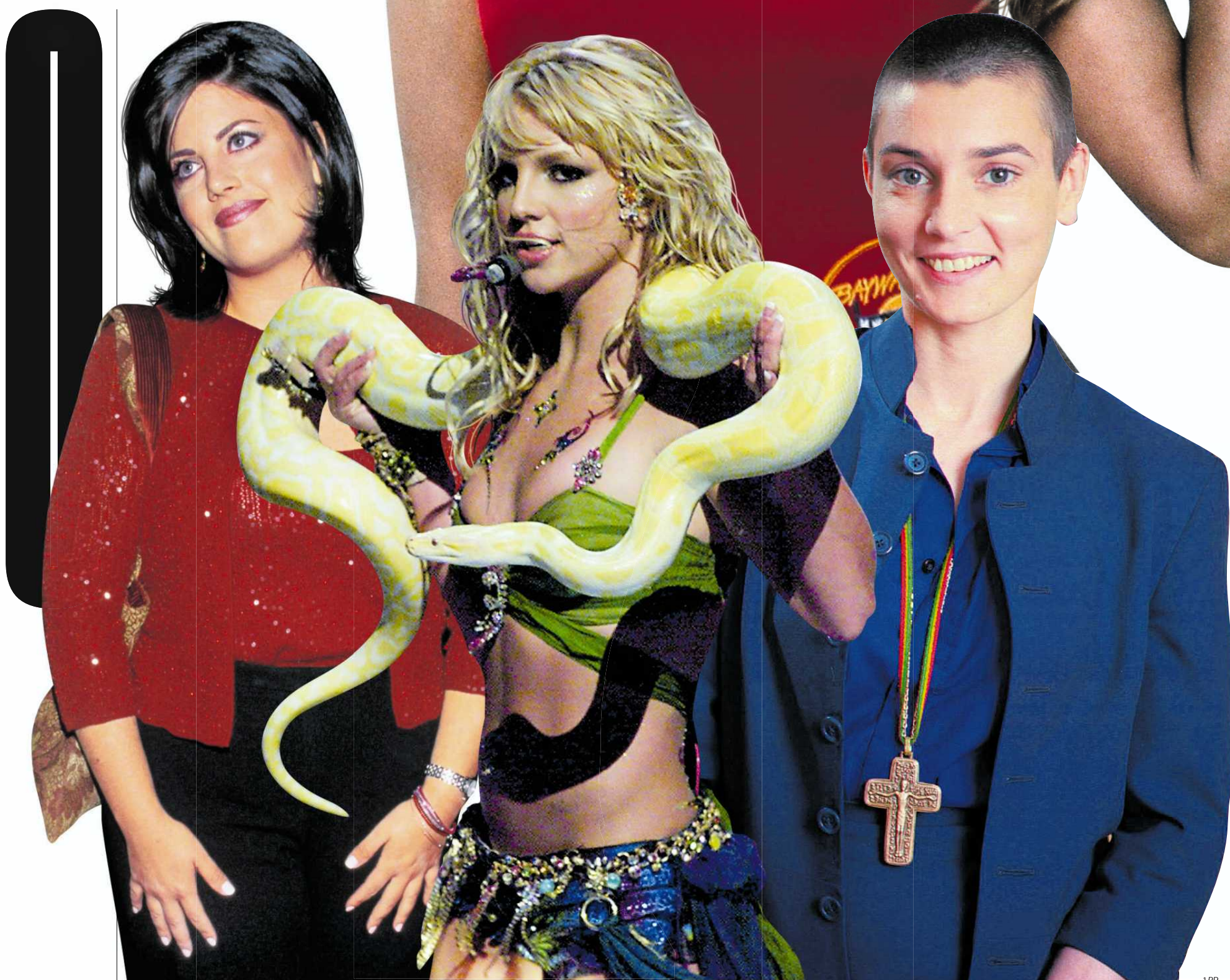


RYCZ, mała, RYCZ

**Pamela Anderson, Britney Spears,
Sinéad O'Connor, Monica Lewinsky.**

Kobiety wytarzane w smole
i pierzu odzyskują godność.
I przynoszą zyski tej samej branży,
która wcześniej zarabiała
na ich publicznym upokarzaniu.

EMILIA DŁUŻEWSKA



O istnieniu Moniki Lewinsky dowiedziałam się z jednego z kobiecych magazynów, które moja mama dostawała od sąsiadki. Ze zdjęcia zapamiętałam beret, ciemne włosy i pyzatą buzię. W podpisie było coś o skandalu, amerykańskim prezydencie i polskich korzeniach. Mgliście zdawałam sobie sprawę, czego ten skandal dotyczył, i nieszczególnie mnie to obchodziło. Był 1998 r., miałam dziesięć lat i ważniejsze sprawy na głowie.

Przez lata nie myślałam o Lewinsky, z wyjątkiem momentów, gdy jej postać migła w rapowym teledysku albo kabaretowym skeczu. Do dnia, gdy na chybił trafił włączyłam podcast poświęcony impeachmentowi Billa Clintona.

Opowieść zaczyna się w momencie, gdy Lewinsky spotyka się z koleżanką Lindą Tripp w centrum handlowym w Waszyngtonie. Właśnie wyszła z siłowni, jest w legginsach i sportowej bluzie, bez makijażu. Nie podejrzewa, że wspólny lunch to ustawka – do stolika podchodzą uzbrojeni agenci FBI. Eskortują ją do pokoju w hotelu Ritz-Carlton, gdzie czeka sześciu prokuratorów.

Lewinsky stara się chronić kochanka, ale nie ma szans – FBI dysponuje 20 godzinami nagrań jej rozmów telefonicznych z Lindą Tripp, której regularnie się zwierzała. Nie chodzi im o małżeńską zdradę prezydenta ani o fakt, że Lewinsky była w Białym Domu stażystką, a Clinton jej przełożonym. Stawka jest wyższa: prezydent USA zdążył w innym procesie pod przysięgą zeznać, że nie miał stosunków z Lewinsky. Udowodnienie, że kłamał, może być podstawą do odwołania go z urzędu.

Prokuratorzy przez 11 godzin przetrzymują Monicę w pokoju hotelowym, choć formalnie nie jest aresztowana. Utrudniają jej dostęp do prawnika i informują, że grozi jej 27 lat więzienia. To o trzy lata więcej niż całe jej dotychczasowe życie. I pięć lat więcej, niż miała, wdając się w romans z Clintonem.

Idzie na współpracę. 160-stronicowy raport oparty na jej zeznaniach prokurator Ken Starr upublicznia w internecie. Serwery natychmiast padają. Wkrótce cała Ameryka wie ze szczegółami, co Clinton robił Lewinsky, a co ona jemu. Twarz Moniki jest w gazetach, telewizji, programach komediowych. Ludzie kupują koszulki z jej zdjęciem z białym śladem nad górną wargą i napisem „Not milk” (to nie mleko). Inną, ze zdjęciem Clintona i cygarem z twarzą Lewinsky, można dziś kupić na platformie aukcyjnej eBay za 150 dolarów.

Kiedy słucham podcastu, mam 31 lat. Lewinsky nie jest już w moich oczach dorosłą panią, której zdjęcie widziałam w gazecie, ale dziewczyną, która w Polsce pisałaby licencjat, a w USA dopiero od roku może legalnie wypić kieliszek wina. Jak to możliwe, że politycy, media, przemysł rozrywkowy i zwykli ludzie bez skrupułów rozjechali 24-latkę, której jedyną winą był romans ze starszym od niej o niemal trzy dekady przełożonym?

Potem przychodzi druga myśl: dlaczego właściwie mnie to dziwi? Przecież robiliśmy to regularnie.

PAŃSTWO LEE IN FLAGRANTI

W serialu „Pam i Tommy” (od niedawna dostępnym w Polsce na platformie Disney+) wcielająca się w Pamelę Anderson aktorka Lily James odwiedza talk-show komika Jaya Leno. Jest w czarnej, obcisłej i mocno wydekoltowanej sukience, pod którą wyraźnie rysuje się zaokrąglony od ciąży brzuch. Śmieje się perliście, rzuca zalotne spojrzenia widzowi, eksponuje dekolt. Jest seksowna i słodka zarazem – Marilyn Monroe ostatniej dekady XX wieku.

– Jak to jest? Wiesz – być w taki sposób... odkrytą? – pyta Leno. Widownia wybucha śmiechem.

Pamela przez ułamek sekundy zastyga. – To nie jest śmieszne. Jesteśmy zdruzgotani – mówi, nie przestając się uśmiechać.

Tego dialogu nie wymyślili scenarzyści. Prawdziwa Pamela Anderson podsumowała tak żarty z sekstaśmy, na której widać ją i jej ówczesnego męża, perkusistę Tommy’ego Lee i która ujrzala światło dziennie przez kuriozalny zbieg okoliczności.

Anderson, gwiazda mało ambitnego, za to szalenie popularnego serialu „Słoneczny partol”, i Lee, perkusista odchodzącego do historii rockowego zespołu Mötley Crüe, nagrali ją podczas miesiąca miodowego. W obawie, by nie trafiła w niepowołane ręce, zamknęły kasetę w sejfie. Nie przewidzieli, że do ich domu włamie się rozgoryczony fachowiec Rand Gauthier, który w zamęcie za nierozliczone faktury wyniesie sejf w calości. Ale kto, na litość boską, mógł to przewidzieć?!

Kilka lat wcześniej taśmę obejrzałby złodziej, kilku jego kolegów, może jakiś szczęśliwy nabywca. Dystrybutorzy pornografii nie byli idiotami, wiedzieli, że nie mogą zrobić tego bez zgody sfilmowanych, a Gauthier takowej nie posiadał. Ale jest 1996 r. i Amerykanie właśnie odkrywali internet: niewyobrażalnie wolny, płatny od minuty i oferujący niewiele poza skrzynką mailową. Za to świetnie sprawdzający się jako anonimowy kanał dystrybucji.

Wkrótce sceny z małżeńskiego pożycia państwa Lee może zobaczyć każdy posiadacz odtwarzacza wideo. Ci, którzy go nie mają, zawsze mogą kupić czasopismo „Penthouse”, które przedrukowało wybrane klatki. O istnieniu sekstaśmy wiedzą nawet ci, którzy nie mają zamiaru jej oglądać: piszą o niej gazety, plotkują ludzie w biurach, śmieje się z nich widownia telewizyjnych talk-show.

Ja też się śmieję. Nie tyle z taśmy, która w Polsce nie odbiła się tak głośnym echem (przynajmniej wśród uczniów podstawówki), ale z Pameli jako takiej. Skąpo ubrana, głupiotka blondynka o wielkich, napompowanych piersiach w czasach mojego dzieciństwa była figurą równie popularną, co facet przebrany za babę. I równie zabawną.

ŁAPY PRECZ OD PAPIEŻA

Od benefisu Boba Dylana minęło 30 lat, ale nagranie z Madison Square Garden trudno oglądać nawet dziś. Koncert z okazji 30-lecia aktywności muzyka odbył się 16 października 1992 r. Utwory Dylana śpiewali m.in. Stevie Wonder, Lou Reed, Eddie Vader z Pearl Jam, George Harrison. W pewnym momencie prowadzący galę aktor i muzyk Kris Kristofferson z uśmiechem zapowiedział „osobę, której nazwisko stało się synonimem odwagi i uczciwości”. – Sinéad O’Connor – woła.

Osoba tak jak ja urodzona w 1988 r. skandale z lat 90. ledwie pamięta, tymczasem dorosło już kolejne pokolenie, które nie pamięta ich wcale. Pojawiła się przestrzeń, by opowiedzieć te historie na nowo

26-litnia Irlandka ma na koncie dwie świetnie przyjęte płyty, jedną Grammy, fani zachwycają się jej głosem i charyzmą. Mimo to przez aplauz zaczyna przebijać inny dźwięk. Polowa widowni oklaskuje wokalistkę, połowa buczy. 13 dni wcześniej Sinéad O’Connor, Irlandka, która jako nastolatka przeszła przez niesławne „pralnie magdalenek”, podczas występu na żywo w „Saturday Night Live” podarła zdjęcie Jana Pawła II.

W USA już wcześniej była na cenzurowanym: najpierw odmówiła występu na rozdaniu nagród Grammy (bo „wartość muzyki nie powinna być mierzona liczbą sprzedanych egzemplarzy”); później nie zgodziła się, by przed jej koncertem odtworzyć hymn USA. Dla tych, których pyskata piosenkarka wkurzała już wcześniej, podarta fotografia była sygnałem do ataku. Dla innych dowodem, że O’Connor postradała rozum. W Polsce, gdzie obowiązywała narracja o dobrym Janie Pawle II obalającym komunę, a nadużycia Kościoła zamiatane były pod dywan, oburzenie mieszało się ze zdziwieniem: czego ta łysa Irlandka chce od naszego papieża?

Tymczasem atmosfera w Madison Square Garden gęstnieje. Im dłużej Sinead stoi na scenie, tym słabiej słyszać oklaski. Piosenkarka przestaje się uśmiechać, robi krok w tył, drżać jej usta. Akompaniujący muzycy są skonfundowani. Sinéad zdejmuje odsłuch. Kristofferson nachyla się nad nią. – Nie daj się zgnoić tym draniom – rzuca. Muzycy zaczynają grać „I Believe in You” Dylana, ale O’Connor ucina to jednym gestem. Bez akompaniamentu, jeśli nie liczyć buczenia tłumu, wykrzykuje „War” Boba Marley – ten sam utwór, który zaśpiewała w „SNL”.

Odchodzi od mikrofonu z wysoko podniesioną głową. Ale gdy dociera do skrajów sceny, niemal wymiotuje z nerwów. Kristofferson podtrzymuje ją, by ustala. Zwycięstwo jest pozorne, na dwupłytywym albumie z koncertu nie ma występu Sinéad.

ZOBACZ: BRITNEY BEZ MAJTEK

W tym samym roku na scenach Off-Broadwayu zaczyna występować dziewczynka z McComb, kilkunastotysięcznego miasteczka w stanie Missisipi. Ma 11 lat, z czego trzy spędziła w PPAS, nowojorskiej szkole sztuk scenicznych. Wcześniej uczęszczała na lekcje śpiewu i gimnastyki.

Gdy sześciu prokuratorów usiłuje wydusić zeznania z Moniki Lewinsky, dziewczynka z Missisipi ma 16 lat i właśnie wylatuje do Sztokholmu. Nagra kilka piosenek pod okiem producentów z Cheiron Studios, fabryki popowych przebojów z przełomu mileniów. Kiedy Amerykanie z zapartym tchem śledzą w telewizji przemówienie prezydenta przyznającego się do „niewłaściwej” relacji ze stażystką, objeżdża kraj, występując w centrach handlowych.

12 stycznia 1999 r., miesiąc przed przegraniem przez Republikanów głosowania nad usunięciem Clintona z urzędu, wydaje debiutancką płytę. Promujący ją singiel „...Baby One More Time” tylko pierwszego dnia sprzedaje się w 500 tys. egzemplarzy. Teledysk, w którym 17-litnia Britney Spears ubrana w strategicznie porozpinany szkolny mundurek robi słodkie oczy do kamery, MTV pokazuje od rana do nocy.

Druga płyta Spears ukazuje się rok i cztery miesiące po pierwszej, w międzyczasie nastoletnia piosenkarka zmieści jeszcze dwie trasy koncertowe. Sprzedaje miliony płyt. Do końca 2000 r. zdąży wydać pierwszą książkę i kupić dom na Florydzie.

Osiem lat po debiucie, w lutym 2007 r., 25-litnia Britney melduje się w ośrodku odwykowym w Kalifornii. Wychodzi na własne życzenie tego samego dnia. Za nią, jak codziennie od lat, podążają paparazzi. W świetle fleszy gwiazda pop goli się na łyso w salonie fryzjerskim w Los Angeles. Następnego dnia zdjęcia ukazują się na okładkach.

O załamaniu Britney czytam na portalu plotkarskim. Mam 19 lat. Nie pamiętam, co czułam, ale z pewnością nie było to zdziwienie. Ani współczucie. Nie śledzę kariery muzycznej Britney, za to z jej upadkiem jestem na bieżąco: wiem o trwającym do bę małżeństwie, imprezach z Paris Hilton, pobytach w szpitalu psychiatrycznym. „Mamy dość publikowania zdjęć »gwiazd«, które nie wiedzą, do czego służy bielizna” – pisze w tym czasie portal Pudelek (link „Zobacz: Britney Spears bez majtek”).

Niemal na pewno przewróciłam oczami. Kolejna głupiotka bogata gwiazdka podskakująca na scenie w rytm cudzych piosenek nie wyrobiła na zakręcie. Cóż, jak śpiewał były chłopak Britney Justin Timberlake: rycz, mała, rycz.

GŁUPIA LOLITKA I TŁUSTA PANNA

Britney, Pamela, Sinéad, Monica. Każda z nich w oczach opinii publicznej stała się własną karykaturą; nie osobą, lecz tabloidowym tworem, z którego można było wyśmiewać się do woli. Głupiotka gwiazdka pop z prowincji. Cycata blondyna, której aktorstwo polega na eksponowaniu dekoltu. Łysa wariatka, która stara się wypłynąć na prowokacji. Łodziara, która chciała zrobić karierę przez łóżko.

Do dziś nietrudno znaleźć takie opinie – tyle że teraz wygłaszają je anonimowi komentatorzy w internecie, a wówczas robili to komicy, politycy, inne gwiazdy oraz dziennikarze. Nie tylko ci z brukowców. Znany krytyk, współpracownik paryskiej „Kultury”, autor książek o sztuce współczesnej o Monice Lewinsky na łamach „Wyborczej” pisał per „tłusta panna Lewinsky” i dodawał: „My w końcu też mieliśmy taką panią, która usiłowała zrobić sobie popularność oraz zdobyć pieniądze, publikując historyj-

• **Monica Lewinsky, Britney Spears, Sinéad O’Connor, Pamela Anderson. Nie da się wskazać jednego powodu, dla którego dziś rehabilitujemy bohaterki tabloidów sprzed dwóch i trzech dekad**

FOT. COURTESY EVE-RETT COLLECTION/
EAST NEWS; KMAZUR/
WIREIMAGE/GETTY
IMAGES; TIMOTHY A.
CLARY / AFP; FOT. JIM
COOPER/AP

ki o swych (nie wiadomo, czy prawdziwych) roman-sach z politykami i dyplomatami”.

Podobnie uważała większość Polaków. W wrze-sniu 1998 r. „Gazeta Wyborcza” zamówiła sondaż, by sprawdzić, co rodacy myślą o „aferze rozporkowej”. „Ledwie co ósma kobieta i co dziesiąty mężczyzna skłonni są uwierzyć w sentymentalną wersję zako-chanej w prezydencie kobiety, która pada jego ofia-rą. Aż dwie trzecie badanych (i to niemal bez różni-cy między kobietami i mężczyznami!) nie ma złu-dzeń: wyrachowana Monica chciała na romansie wypłynąć” – donosiła.

Reportażystka, gwiazda solidarnościowego dziennikarstwa, również w „Wyborczej”: „Trzeba niemalej głupoty, żeby zwalczając rasizm, co swo-imi protest songami stara się czynić Sinéad, za prze-ciwnika w tej kwestii uznać Jana Pawła II. I tego fak-tu wolnomyślna, ale rozsądna Ameryka nie przyjęła. Przeciwnie, wyczyn piosenkarki spotkał się z ogólną dezaprobatą, daleko większą niż obrazoburcze eks-cesy, pożał się Boże, Madonny”.

„Przekonałem się jednak, że antyfani mają rację – Britney jest raczej gwiazdką »dziecięcego porno«, ikoną, obiektem uwielbienia lub nienawiści niż pio-senkarką. Myślę nawet, że jej kariera tak została zapla-nowana. Wielcy producenci uznali, że mała, głupia lo-litka ze wsi zrobi furorę – kazali napisać dwuznaczne teksty, nakręcić prowokujące wideoklipy, zrobić »nie-winne zdjęcia«, pozwolili jej mówić te głupstwa w wy-wiadach i udało się! Muzyka jest tu zupełnie nieistot-na” – to nasz ceniony krytyk muzyczny.

„Tandetny melanz strzelecko-kaskaderskich po-pisów i raczej sugerowanej niż eksponowanej eroty-ki (...). Dlaczego więc da się to od biedy oglądać? Ano z powodu niewątpliwych walorów cielesnych sek-sownej blond Pamel. Gdy ta idzie swym rozkołysa-nym krokiem, biust wyprzedza ją o kwadrans. Ani chybi tu i ówdzie skutecznie »podrasowano« ją sili-konem” – to z kolei recenzent filmowy.

Wymienianie nazwisk nie byłoby fair. Nie wątpię, że w archiwach innych gazet, programów czy blogów bez problemów można znaleźć podobne opinie. Na prze-lomie XX i XXI w. publicznie upokarzanie młodych ko-biet, których twarze można było zobaczyć w televi-zji – niekiedy wbrew ich woli – było rozrywką popu-larną, powszechnie akceptowaną i wspólnototwórczą. Chętnych do ich obrony nie było wiele. Zwłaszcza je-śli wcześniej pozowały dla „Playboya” (Anderson), wiły się w MTV w lateksie opinającym powiększony chirur-gicznie biust (Spears). Albo po prostu zostały wykorzy-stane przez niewłaściwego mężczyznę.

Po publikacji raportu Starra amerykańskie femi-nistki gremialnie odmówiły potępienia prezydenta Clintona, który jako głowa państwa podpisał m.in. ustawę ułatwiającą Amerykanom dostęp do abor-cji. Ikona drugiej fali feminizmu Gloria Steinem w marcu w 1998 r. na łamach liberalnego „New York Timesa” pisała, że jeśli zarzuty się potwierdzą, „pre-zydent Clinton może być kandydatem na terapię dla seksoholików. Ale racja pozostanie po stronie fe-ministek, które oparły się presji prawicy i mediów, oczekujących, że będą nawoływać do rezygnacji lub odwołania prezydenta”.

Hipokryzja? Bzdura – odpowiadały Steinem i jej towarzyszek. Feministki musiałyby być idiotkami, by z powodu jakiegoś biurowego romansu odwoły-wać wspierającego prokobiece uchwały prezyden-ta. Jeszcze bardziej dosadnie ujęła to Nina Burleigh, dziennikarka pisząca o prawach kobiet i była kore-spondentka z Białego Domu: – Sama chętnie zrobiła-bym mu loda, choćby jako podziękowanie za obronę prawa do aborcji.

Ale Monicę Lewinsky, Pamelę Anderson, Britney Spears i Sinéad O’Connor łączy coś jeszcze: w ciągu ostatniej dekady świat postanowił zwrócić im honor. Z różnym skutkiem.

BERET I INNE BŁĘDY

Niedawno przydarzyła mi się zaskakująca rzecz: podrywał mnie 27-latek. Był czarujący, schlebiało mi to, ale odmówiłam. Po tym gdy stwierdził, że przy nim czuję się, jakbym znów miała 22 lata – mówi sympatyczna brunetka. Sala pełna ludzi wybucha śmiechem.

Wystąpienie Moniki Lewinsky, ogłoszone w 2015 r. w ramach TED Talks, zaczyna się jak pro-gram stand-upowy. Ale prelegentka szybko poważ-nieje: – Kiedy miałam 22 lata, zakochałam się w mo-im szefie – mówi. – Od tej pory nie było dnia, by ktoś nie przypomniał mi o błędzie, jaki wtedy popełniłam.

Wylicza kolejne upokorzenia. Utratę prywatno-sci. Rapowe teksty, w których wystąpiła. Złośliwe

uwagi dotyczące jej wyglądu. – Może pamiętacie ja-kieś konkretne moje zdjęcie? – ciągnie. – Może takie w berecie? Cóż, popełniłam wiele błędów, ZWŁASZ-CZA ten beret.

Lewinsky ma 41 lat. Wciąż można rozpoznać w niej tamtą dziewczynę, ale jej sposób bycia się zmienił: mówi pewnie, spokojnie, panując nad sa-lą. W końcu opowiada swoją historię. A świat, który jej słucha, też jest już inny. By stać się obiektem zma-sowanej nienawiści, nie trzeba być osobą publicz-ną: wystarczy korzystać z internetu. Słuchający Le-winsky mogą wyobrazić sobie, przez co przeszła; bo-ją się, by coś podobnego nie spotkało ich bliskich al-bo ich samych.

Dwudziestokilminutowe nagranie obejrzały miliony ludzi. Dwa lata później wybucha ruch #Me-Too, które redefiniuje przemoc, zwracając uwagę na subtelności, pytając o różnice statusów. Monika Le-winsky nigdy nie negowała, że aktywnie zabiega-ła o uwagę Clintona, a ich zbliżenia odbywały się za obopólną zgodą i chęcią. Ale coraz więcej osób za-stanawia się, czy przełożony nie powinien odmó-wić, gdy podwładna czyni mu awanse. A jeśli wina rozkłada się po równo, jak to możliwe, że 22-letnia w chwili romansu stażystka poniosła gigantyczne konsekwencje, a 49-letni „przywódca wolnego świa-ta” – żadnych?

Te pytania wybrzmiewają trzecim sezonie „Ame-rican Crime Story”, który poświęcony jest sprawie impeachmentu Clintona. Twórcą jest Ryan Murphy, specjalista od współczesnej telewizji, umiejący wyla-pać i zmonetyzować kulturowe trendy; współprodu-centką została sama Lewinsky. Fabuła nie skupia się na postaci Clintona, lecz na kobietach, które z róż-nych powodów znalazły się w jego orbicie i poniosły tego konsekwencje: nie tylko Monice, ale też Lindzie Tripp, Pauli Jones, urzędnicze z Teksasu, która wy-toczyła Clintonowi proces o molestowanie seksual-

Dziennikarka pisząca o prawach kobiet, korespondentka z Białego Domu: – Sama chętnie zrobiłabym loda Clintonowi, choćby jako podziękowanie za obronę prawa do aborcji

ne, czy żonie prezydenta Hillary.

Na promocyjnych zdjęciach uśmiechnięta Lewin-sky pozowała obok grającej ją Beanie Feldstein; po pokazie prasowym żartowała z dziennikarzami. Ale gdy oglądali serial, nie było jej na sali – rozmawiała z terapeutką.

BRITNEY UWOLNIONA

American Crime Story: Impeachment” miał premierę jesienią 2021 r. Lato zdominował in-ny medialny spektakl: proces Britney Spears, która walczyła o uwolnienie się od przymusowej ku-rateli zasądzonej w 2008 r.

Ubezłasnowolnienie piosenkarki od początku budziło kontrowersje, ale wnioskujący o nie ojciec miał mocne argumenty: Britney zmagala się z uza-leźnieniem, miała na koncie nieudane odwyki, kon-flikty z prawem. Jej życie prywatne było kompletnym chaosem. Chwilę wcześniej świat śledził na ży-wo jej załamanie nerwowe.

Tyle że argumenty te trudno pogodzić z faktem, że zatroskany ojciec przez 13 lat zawierał w imieniu córki kontrakty na występy. Kobieta uznana za zbyt kruchą psychicznie, by decydować o swoim mająt-ku, prowadzić samochód czy używać telefonu ko-mórkowego, była zarazem dość stabilna, by wydać kilka płyt, zagrać setki koncertów i zostać jurorką w „The X Factor”.

Po każdej prowadzonej online rozprawie media zalewały kolejne wstrząsające szczegóły: ojciec Brit-ney miał zmuszać ją do noszenia wkładki antykon-

cepcyjnej, faszerować lekami, wysyłać na scenę na-wet w czasie choroby. Świat przecierał oczy ze zdu-mienia: jak to możliwe, że tak ewidentnie uprzed-miotawiający, odzierający piosenkarkę z godności układ trwał tyle lat?

To samo pytanie – choć dużo bardziej wkurzeni – zadawali fani piosenkarki, którzy od dawna upo-minali się o oddanie jej praw. Tylko że przez lata nie byli traktowani poważnie. Zmieniło się to dopiero po premierze dokumentu „Kto wrobił Britney Spe-ars?”. Wyprodukowany przez „New York Timesa” film Samantha Stark poruszał nie tylko problem ku-rateli: pokazywał też, jak przez lata piosenkarka by-ła obiektem żartów i pogardy. Nawet gdy ewidentnie potrzebowała pomocy.

„Kto wrobił Britney Spears” ma premierę w lu-tym 2021 r. We wrześniu, gdy sądowa batalia trwa w najlepsze, platforma Netflix wypuszcza swój do-kument „Britney kontra Spears”, pokazujący, jakie korzyści z kurateli nad piosenkarką czerpał jej oj-ciec. 12 listopada sąd wyrokuje o zakończeniu ubez-własnowolnienia Britney ze skutkiem natychmiasto-wym. W lutym 2022 r. Spears podpisuje kontrakt na autobiografię z jednym z największych amerykań-skich wydawnictw. Dostanie 15 mln dolarów.

ULEGASZ – ŻŁE, WALCZYSZ – JESZCZE GORZEJ

Problemy Britney Spears wiążą się z faktem, że od początku kariery nie była traktowana jak osoba, lecz popowy produkt, nad którym pra-cowali marketingowcy i PR-owcy wytwórni, decy-dujący o tym, co mówi w wywiadach, a nawet o ko-lorze jej błyszczyka. Ale tym, którym wydaje się, że wystarczyło tupnąć nogą, polecam obejrzenie do-kumentu „Nothing Compares To You”. Jego reżyser-ka Kathryn Ferguson dorastała w Belfaście na prze-lomie lat 80. i 90., w tym samym czasie, gdy kariera Sinéad O’Connor wystrzeliła, a potem równie spek-takularnie się załamała.

Ferguson sięga do archiwalnych materiałów i oddaje głos piosenkarce, która opowiada o tam-tych wydarzeniach ze swojej perspektywy: 21-letniej dziewczyny, niezmiernie charyzmatycznej i równie straumatyzowanej, która chce wykrzyczeć światu ból, a przypadkiem zostaje gwiazdą pop, choć w ża-den sposób nie pasuje do tej przegródki. Która ja-ko jedyna nie boi się zabierać głosu w ważnych spra-wach, niezależnie od konsekwencji. Tam, gdzie Brit-ney ulegała, Sinéad walczyła. Wytwórnia chciała, by była bardziej kobieca – ogoliła się na łyso. Prowa-dzący talk-show rzucali głupawe żarty – odpowiada-ła poważnie, bez uśmiechu. Publiczność chciała od niej ładnych piosenek, a nie politycznych deklaracji – szła na barykady. I ani trochę nie wyszła na tym le-piej.

Dokument „Nothing Compares To You” amery-kańską premierę miał w styczniu 2022 r. Pół roku wcześniej w Stanach ukazała się autobiografia Sine-ad „Rememberings” (w Polsce wydana w paździer-niku pod tytułem „Wspomnienia”). Choć ostatnia płyta O’Connor ukazała się w 2014 r. i poza Irlandią mało kogo zainteresowała, o książce było głośno na długo przed premierą.

W dużej mierze dlatego, że coraz więcej osób przyznawało jej rację. To, co na początku lat 90. uznawano za oszołomstwo albo chęć szokowania, w XXI w. okazało się racjonalną opinią. Naduży-cia Kościoła katolickiego: plaga pedofilii, krycie jej sprawców i uciśnianie ofiar; przemoc w zarządza-nych przez duchownych ośrodkach; masowe gro-by przy sierocińcach w Irlandii – wszystko to nie by-ło już oskarżeniami, lecz dobrze udokumentowa-nym faktem.

URATOWANA WBREW SWOJEJ WOLI

Nie da się wskazać jednego powodu, dla które-go dziś rehabilitujemy bohaterki tabloidów sprzed dwóch i trzech dekad. To efekt wie-lu toczących się równolegle procesów. Na zmienia-jącą się społeczną wrażliwość nakładają się począ-tek ruchu #MeToo i działalność narodowych komi-sji badających zbrodnie Kościoła. Do tego dochodzą zmiany technologiczne – internet, narzędzie w rękach prześladowców, jest jednocześnie platformą pozwalającą dotrzeć ze swoją historią do ludzi na całym świecie (Lewinsky) czy zachować kontakt ze wspierającą społecznością (Spears).

Ale ważna jest też natura społecznej pamięci. Osoba tak jak ja urodzona w 1988 r. skandale z lat

90. ledwie pamięta, tymczasem dorosło już kolejne pokolenie, które nie pamięta ich wcale. Pojawiła się przestrzeń, by opowiedzieć te historie na nowo.

I nieźle na tym zarobić. Popyt na silne kobiece postaci wciąż rośnie; obietnica „prawdziwej historii” w połączeniu ze znaną twarzą przyciąga uwagę widzów. Nie twierdzę, że to cynizm – wierzę, że twórcy seriali, reżyserzy dokumentów, dziennikarze i wydawcy mogą szczerze troszczyć się o swoje bohaterki i chcieć oddać im sprawiedliwość. Nie da się jednak zaprzeczyć, że przynosi to zyski tej samej branży, która wcześniej zarabiała na ich wykorzystywaniu i publicznym upokarzaniu.

Pułapki tego procesu pokazuje serial „Pam i Tommy”, w założeniu mający zrehabilitować Anderson i pokazać, jak wyniszczający był dla niej wyciek taśmy. Zapowiadało się świetnie: kanwą opowieści był artykuł z „The Rolling Stones”, za ekranizację opowiadał Robert Siegel, scenarzysta „Zapaśnika” Aronofsky’ego i „McImperium”, za kamerą stał Criag Gillespie, reżyser obasypanego nagrodami „Ja, Tonya” – biografii innej antyheroiny lat 90., łyżwiarki Tonyi Harding. Był tylko jeden problem: Pamela Anderson nie chciała mieć z serialem nic do czynienia. Nie chciała, by w ogóle powstał.

Tu można by postawić kropkę. Pomyśl, by pod pretekstem współczucia i dziejowej sprawiedliwości wbrew woli Anderson wracać do najgorszego okresu w jej życiu, jest skrajnie cyniczny. Byłby obrzydliwy, nawet gdyby „Pam i Tommy” był dobrym serialem.

A nie jest. Deklarowana przez twórców empatia gubi się w zalewie głupawych żartów, feministyczne przesłanie jest powierzchowne. Centralną postacią nie jest Pamela, lecz Gauthier – to jego rozterki, problemy osobiste i finansowe wysunięte są na pierwszy plan; to jego przemianę śledzimy. Autorzy scenariusza wciśkają do niego „progresywne” wątki, za to bardzo oszczędnie szafują kwestiami Pam. Nie mają też oporów, by żonglować bolesnymi momentami z jej życia dla lepszego efektu, jak w przypadku poronienia, do którego w rzeczywistości doszło przed wybuchem skandalu.

Pamela Anderson odcięła się od serialu, podkreślając, że ma dość przedstawiania jej jako ofiary. A konkurencja nie przespała okazji – w marcu media podały, że platforma Netflix we współpracy z aktorką przygotuje opowiadający o jej życiu i karierze dokument.

WALECZNA SINÉAD D'ARC

Instrumentalizacja to niejeden problem. Równie szkodliwe bywają dobre chęci. Poczucie krzywd wyrządzonych celebrytkom i potrzeba zadośćuczynienia sprawia, że mamy tendencję do odwracania wektora opowieści: kobiety uważane za złe i szalone w istocie były dobre i mądre, świat zrobił z nich kozły ofiarne, choć nie zrobiły nic złego.

Widać to wyraźnie w dokumencie Kathryn Ferguson. Sinéad

O'Connor jest w nim współczesną Joanną d'Arc: szlachetną męczennicą, która nie godzi się na niesprawiedliwość, staje w obrobie wartości i zostaje za to spalona na stosie. W archiwalnych wywiadach i prowadzonej zza kadru opowieści jest spokojna, rzeczowa, dojrzała. – Najmniej szalona osoba w studiu – skwitowała po pokazie moja znajoma.

A przecież wiemy, że to tylko część historii Sinéad. Piosenkarka nie zawsze była tą opanowaną, mądrą osobą, którą widzimy w filmie. Zdarzało się jej działać impulsywnie, przechodziła kryzysy, niekiedy na żywo relacjonując je w internecie. Cierpi na zaburzenia osobowości typu borderline i zespół stresu postraumatycznego. W 2011 r. pobrała się w Las Vegas z mężczyzną poznanym chwilę wcześniej w internecie, rozwiedli się po 16 dniach. W ciągu roku dwukrotnie zmieniła imię i nazwisko. Została kapłanką niezależnego od Watykanu odłamu katolicyzmu, później przeszła na islam i oświadczyła, że „nie chce już nigdy więcej zadawać się z białymi ludźmi”.

Żadna z tych rzeczy jej nie dyskredytuje. Sinéad O'Connor miała bardzo dobre powody, by podrzeć zdjęcie papieża. Tak samo jak miała prawo bojkotować Grammy czy odmówić otwierania koncertu „Gwiazdzistym sztandarem”. Miała odwagę, by mówić rzeczy niewygodne, a kara, która ją za to spotkała, była nieproporcjonalna i okrutna. Jej błędy, impulsywne decyzje czy problemy ze zdrowiem psychicznym świadczą tylko o tym, że jest prawdziwą osobą.

Rozumieją to twórcy „American Crime Story”. Serialowa Monica Lewinsky nie jest pozbawiona wad, ale mimo to budzi sympatię. Beanie Feldstein potrafi oddać złożoność swojej postaci: naiwnej, ale też szczerzej; rozpierzczonej, ale chętnie dzielącej się z innymi; dziecinnej, za to pozbawionej cynizmu; irytującej, ale budzącej współczucie. Jej Monica nie jest demonem seksu, lecz zakompleksioną dziewczyną ze słabością do starszych facetów, przypadkiem trafiająca w tryby polityczno-medialnej maszyny, która wyciska ją do cna.

Pokazywanie wielowymiarowych bohaterek tylko od dobrej strony może wynikać z najlepszych chęci, ale buduje mit „idealnej ofiary” – osoby, która swoją krzywdę umiemy opowiedzieć w sposób wiarygodny i strojący od emocji. Której można uwierzyć, bo nigdy w życiu nie popełniła błędu, nie zmieniła zdania i nie miała ochoty zrobić czegoś nie do końca słusznego etycznie. Która jest strasztatyzowana, ale nigdy tej traumy nie pokazuje.

Im dłużej ten mit podtrzymujemy, tym trudniej oddać sprawiedliwość prawdziwym złe traktowanym osobom. Tym, które czasem awanturują się bez sensu, mają problemy z używkami, imprezują bez majątek, czasem powiedzą coś głupiego. Z którymi nie chcielibyśmy się przyjaźnić ani nawet siedzieć przy stole. Które bywają irytujące, a czasem nawet nie są szczególnie dobrymi ludźmi. One też są krzywdzone, niesprawiedliwie oceniane, wyśmiewane. I też mogą mieć rację. ●

Dewiza Collegium Humanum:

„Poziomu nie równa się w dół i to jest nasza dewiza”.

Graduacja



Ogromnie żałuję, że nie zostałem zaproszony na tegoroczną Uroczystą Galę Graduacji Absolwentów Collegium Humanum. Na stronie internetowej tej słynnej uczelni znalazłem na szczęście – niejako na pocieszenie – obszerną relację z tego wydarzenia.

Zaintrygowało mnie przede wszystkim słowo „graduacja”. W zapóźnionych pod względem językowych nowinek słownikach języka polskiego słowa tego nie znajdziemy. Znajdziemy natomiast „graduację” w słownikach języków obcych, gdzie oznacza ona: „wykreślenie na mapach linii oznaczających stopnie długości i szerokości geograficznej”. Wiemy też jednak skądinąd, że „graduacja” to kalka z języka angielskiego, coraz bardziej modna zwłaszcza na tych uczelniach, które przejęły obrzędowość od uczelni anglosaskich. Oznacza, jak rozumiem, uroczyste wręczenie dyplomów absolwentom, do niedawna nazywane promocją. Ale promocja może się przecież zbyt komercyjnie kojarzyć.

Ciekawa jest sama nazwa Collegium Humanum, oznaczająca „uczelnię ludzką”. I to jest dobra nazwa, optymistyczna, przywołująca na myśl określenie „ludzki człowiek” i stawiająca potencjalnych studentów pozytywnie do kadry nauczającej. Nie wiem, jak kadra, ale uczelnia traktuje studentów rzeczywiście bardzo dobrze: za stosunkowo niewielkie pieniądze (9 tys.), w zdumiewająco krótkim czasie (200 godzin), za pomocą kursów online, można zdobyć dyplom MBA. Od kilku lat, mając ten dyplom, można zasiadać w radach nadzorczych spółek skarbu państwa. Jest to swego rodzaju luka w prawie, bo do tej pory trzeba było w tym celu albo zdać trudny państwowy egzamin, albo być radcą prawnym, adwokatem, biegłym rewidentem, albo mieć doktorat z prawa lub ekonomii. PiS poszerzyło tę listę jeszcze o dyplom MBA. Ten na innych uczelniach także zdobyć niełatwo: trzeba zwykle odbyć 500 godzin zajęć, trwających aż cztery semestry, a i koszty są średnio pięciokrotnie wyższe. Collegium Humanum ma zdecydowanie bardziej ludzkie podejście. Nie ma się co dziwić, że wielu polityków PiS – a także, dodajmy dla porządku, opozycji – na studiowanie tam się zdecydowało.

Wróćmy do Gali. Odbyła się ona pod koniec czerwca w Teatrze Polskim w Warszawie. Na stronie uczelni czytamy: „W Collegium Humanum staramy się zapewnić bardzo uroczystą oprawę ukończenia studiów podyplomowych przez naszych Absolwentów i przeżywać je jako wielkie święto naszej Uczelni”. I tak też było. Absolwent uczelni Wiktor Kowalski, zdobywca nagrody publiczności podczas koncertu debiutów Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, otrzymał od Jego Magnificencji czek na 20 tys. złotych i z tym czekiem w dłoniach „spontanicznie wykonał zwycięski utwór własnej kompozycji: »Co dnia«”. Dodajmy, że to nie była jedyna pieśń wykonywana te-

go dnia: „uroczystość Graduacji prowadził red. Zygmunt Chajzer, a uświetniał ją śpiew chóru Archikatedry Warszawskiej św. Jana Chrzciciela, który wykonał m.in. pieśni: »Bogurodzica«, »Gaude Mater Polonia« oraz »Gaudeamus Igitur«”. „Igitur” znaczy „więc”, więc nie bardzo wiem, czemu zostało zapisane wielką literą. Pewnie żeby było bardziej uroczyste. Jako pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego jestem natomiast wdzięczny organizatorom, że na ich uroczystości odśpiewano oficjalny hymn mojej uczelni. Traktuję to jako darmową reklamę. Gdyby absolwenci Collegium Humanum odczuwali jeszcze jakiś niedosyt wiedzy – zapraszamy do nas.

Nie bardzo sobie jednak jakikolwiek niedosyt wiedzy wyobrażam po superlatywnych słowach Aleksandry Fajęckiej, „dydaktyka i sekretarza Konwentu uczelni”: „Collegium Humanum to wyjątkowa uczelnia. Mamy niesamowitych wykładowców, którzy reprezentują najwyższą kadrę i poziom nauczania”. Uczelnię nazywała ona „wielkim i wspaniałym projektem edukacyjnym”, choć rozumiem, że raczej chodziło jej o przedsięwzięcie, bo projekt został z nadzwyczajnym powodzeniem zrealizowany (nie tylko w Polsce, bo filia uczelni znajduje się także w Uzbekistanie). „Uczelnia cały czas stawia sobie coraz wyżęj poprzeczkę – dodała. – Dzisiaj gościliśmy Dodę, w poprzednich latach występował m.in. Krzysztof Cugowski, któremu jako jedyna uczelnia w Polsce nadaliśmy tytuł honorowego profesora”. Po czym zdradziła, jak brzmi dewiza Collegium Humanum: „Poziomu nie równa się w dół i to jest nasza dewiza”.

Tak, w czasie Gali Jego Magnificencja Rektor prof. dr hab. Paweł Czarnecki uhonorował Medalem Sukcesu Collegium Humanum Dodę – „za wybitną twórczość artystyczną i kulturalną w jubileuszowym 20 roku Jej pracy”. Natomiast nowo powołany członek Konwentu Rady Konsultacyjnej Biznesu Collegium Humanum Tomasz Misiak, nie zważając na pleonazm („konwent rady”) w nazwie organu, jaki reprezentuje, powiedział: „Collegium Humanum podchodzi innowacyjnie do swoich działań oraz sposobu promocji nauki. Dzisiejsze połączenie absolwentów MBA i koncertu znanej polskiej wokalistki Dody to kierunek, który uczelnia preferuje. Collegium Humanum dba także o tradycje akademickie. Mamy tu orszak rektorski, chór, wydarzenia obudowane piękną scenografią – pięknymi ubiorami zarówno absolwentów, jak i profesury. To daje poczucie trwałości i przynależności do struktur akademickich”. Innymi słowy: było pięknie, tradycyjnie, ale i nowocześnie zarazem. Doda nie tylko bowiem odebrała wyróżnienie (mówiąc: „Teraz to naprawdę jestem dziewczyną na medal”), i stwierdzając, że dobrze dobrała swój półprzezroczysty strój, bo pasuje do rektorskich gronostajów), ale i zaśpiewała kilka piosenek.

Wśród nich zabrzmiał utwór pod znamennym tytułem „Fake love”, co można przełożyć jako „podróbka miłości”. Doda żali się w nim, po angielsku, że w jej życiu, pełnym cierpienia, miała do czynienia wyłącznie z podróbkami miłości, i zwraca się do Stwórcy z pretensją: „what the fuck, God?”. Może nie jest to forma godna pochwały, ale docenić należy sam fakt oburzenia. W dzisiejszych czasach mało kto przejmuje się bowiem podróbkami. ●

Michał Rusinek

PEWNNIE PUTIN W CZYMŚ MA RACJĘ

Przecież nie może być takim głupcem. To musi mieć jakiś słuszny cel.
Tak naprawdę wygląda poparcie większości Rosjan dla wojny

Z ROSYJSKIMI DZIENNIKARZAMI
TAISIA BEKBUŁATOWĄ, IWANEM KOŁAPKOWEM I KIRIŁEM MARTYNOWEM ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

WIKTORIA BIELIASZYN: „Jak możemy pozostać neutralni, jeśli władze niszczą społeczeństwo? Co powinniśmy zrobić jako obywatele? Co powinniśmy robić jako ludzie?” - tak dylematy niezależnych rosyjskich dziennikarzy opisywałeś jesienią w „Wyborczej”. Dzisiaj, gdy trwa wojna, musi być jeszcze trudniej.
IWAN KOŁPAKOW: Kiedy dziennikarstwo zaczyna być wykorzystywane jako narzędzie walki, przestaje być dziennikarstwem, a staje się propagandą. Staramy się nie zajmować się działalnością polityczną, chociaż nie da się nie zastanawiać, jaki mamy wkład w próby zniszczenia obecnego reżimu w Rosji.

Miałeś okazję współprowadzić wywiad z Wołodymyrem Zelenskim. Wiele osób podkreślało, że wasza rozmowa to coś więcej niż dziennikarstwo, to próba zbudowania mostu dającego nadzieję na dialog między Ukrainą a Rosją. Czyli aktywizm.

– Umówiliśmy się wtedy, że nie będziemy w pytaniach wyrażać poglądów, co przecież dziennikarze bardzo często robią. Zdecydowaliśmy się być pośrednikami między prezydentem kraju, na który napadła Rosja, a społeczeństwem rosyjskim. To był przykład klasycznego dziennikarstwa, właśnie to powinniśmy byli zrobić, kiedy dwa społeczeństwa nie mogą ze sobą rozmawiać.

Po 24 lutego niezależne media są cieniutkim mostem linowym, który łączy te dwa społeczeństwa. Dzięki niemu możemy nie tylko dostarczać obrazy z Ukrainy tym Rosjanom, którzy są gotowi otworzyć oczy, ale też pokazać ukraińskim czytelnikom, że w Rosji są jeszcze ludzie.

Mówiliście o propagandzie rządowej, a co z wojenną, stosowaną nie tylko przez agresora, ale i – co zrozumiałe – ofiarę? Mnie, jako osobie z rosyjskim pochodzeniem, trudno przychodzi zadawanie pytań czy zwracanie uwagi na zjawiska, które mogłyby ukazać Ukrainę w niekorzystnym świetle. Wyobrażam sobie, że Rosjanom jest jeszcze trudniej.

KIRIŁ MARTYNOW: Przed wojną, kiedy mówiliśmy o propagandzie, zawsze mieliśmy w domyśle tę rosyjską. Teraz, co zrozumiałe, stosują ją wszyscy. Dlatego musimy opowiadać historie o konkretnych osobach i wydarzeniach, o tym, co się wydarzyło lub widziało. A jeśli nie da się, to lepiej milczeć. Ogromnie współczujemy Ukrainie, ale nigdy nie podawaliśmy niemożliwych do zweryfikowania oficjalnych komunikatów. Wobec rosyjskich źródeł jesteśmy jeszcze ostrożniejsi.

Osiem lat temu, krótko po aneksji Krymu i rozpoczęciu wojny w Donbasie, zacząłem pracę w „Nowej Gazecie”. Spotkałem się wtedy z Dmitrijem Muratowem i podzieliłem z nim refleksją co do dziennikarskiej obiektywności. Powiedziałem mu, że



• 20 czerwca, Moskwa, plenerowy pokaz podczas Fashion Week Moscow niedaleko Placu Czerwonego

FOT. AP

owszem, są w dziennikarstwie zasady i standardy, ale dla mnie, jako filozofa, obiektywność jest pojęciem politycznym. Obiektywne jest to, co chcemy, by było obiektywne. Muratow na mnie nakrzyczał, że w takim razie w Rosji istnieje tysiąc obiektywnych gazet, uwielbianych przez władze, i jedna nieobiektywna – „Nowaja Gazieta”.

Niezależni dziennikarze od dawna są w Rosji wrogami.

K.M.: To nie był nasz wybór. Byliśmy gotowi chodzić na ich durne konferencje prasowe, zadawać pytania, cytować odpowiedzi. Ale oni nas nie chcieli. Rosyjskie władze zniszczyły niezależne dziennikarstwo. Tam nie ma już nic. To niewyobrażalny eksperyment, bo Rosjanie zostali pozbawieni nie tylko możliwości zastanawiania się nad wojną, ale i wewnętrznymi problemami.

Zdyscyplinowanie, lojalność, a przede wszystkim agresja ludzi tworzących propagandę są porażające.

K.M.: Pracownicy państwowych redakcji, tacy jak Margarita Simonian czy Władimir Solowjow, nazywają się dziennikarzami. Ich pensje finansuje państwo, ale mogą liczyć też na dodatkowe, brudne pieniądze. Solowjow regularnie bierze udział w naradach administracji prezydenta, ale nie jako przedstawiciel mediów, tylko władz. Deleguje w ich imieniu zadania, zamawia u przedstawicieli państwowych mediów konkretne rzeczy, daje wytyczne.

Władze uważają, że wszyscy dziennikarze są tacy jak Solowjow, czyli sprzedajni. A więc zadają sobie pytanie: kto zapłacił tym, których nie finansuje Kreml? Jesteśmy w Warszawie. Gwarantuję, że jeśli zdjęcie z tego spotkania trafi do Rosji, zostanie przedstawione jako dowód, że finansują nas i sterują nami polskie władze.

Chodzi o to, że władze żyją w przekonaniu, że ludzie, a więc również dziennikarze, są pozbawieni woli. Kiedy analizują naszą sytuację, niezależnych dziennikarzy, którzy musieli emigrować, zmagają się z prześladowaniami i licznymi problemami, to zastanawiają się, w czym interesie działamy. Bo nie wierzą, że nie mamy żadnego innego interesu poza tym, by nie ginęli ludzie.

Jednym ze sposobów, by temu zapobiec, jest próba dotarcia z prawdą do rosyjskiego społeczeństwa. Taisia, pani była w Ukrainie jako reporterka, przekazująca Rosjanom bolesną opowieść o wojnie. Ale zdaniem wielu oni jej nie chcą.

TAISIA BEKBUŁATOWA: Nasi czytelnicy bardzo potrzebują zweryfikowanych materiałów o wojnie. Po kilku tygodniach wyjechałam, ale nawiązałam współpracę z lokalnymi dziennikarzami, którzy piszą dla nas teksty. Czytelnicy je cenią.

To ogromny błąd, twierdzić, że w Rosji ludziom wystarczą telewizor i propaganda. Oczywiście taka grupa istnieje, to głównie ludzie starsi albo biedni, z głębokiej prowincji, którzy nie mają narzędzi lub czasu, by poszerzyć horyzonty. Ale mimo ogromnej skali agresywnej propagandy jest wielu Rosjan, którzy chcą prawdy.

Kim jest odbiorca niezależnych rosyjskich mediów?

T.B.: Przede wszystkim to mieszkańcy dużych miast, takich jak Moskwa, Petersburg, wykształceni, raczej młodzi, ale nie w wieku szkolnym, tylko w przedziale 25-40 lat. Są bardzo aktywni, nie tylko komentują materiały, ale także starają się je rozpowszechnić wśród rodziny, dalszych znajomych, często takich, do których nie udałooby nam się dotrzeć. Starają się im uświadomić, że to nie jest żadna „specjalna operacja”, ale prawdziwa wojna.

Socjologowie zwracają jednak uwagę, że problemem Rosjan jest nawet nie tyle propaganda, ile fakt, że nie wierzą nikomu i wybierają tę wersję, z którą łatwiej im żyć. To coraz częściej dotyczy nas wszystkich, ale w Rosji ma wyjątkową skalę.

I.K.: Chodzi o to, że rosyjska propaganda działa misternie. Nie stara się narzucić konkretnej wizji świata. Jej celem nie jest sprawienie, by ludzie uwierzyli w jakąś jedną wersję wydarzeń, ale zasianie przekonania, że „całej prawdy i tak nigdy nie poznamy”.

Aby to zrozumieć, musimy przenieść się 40 lat wstecz. Mieszkańcy Związku Radzieckiego doskonale wiedzieli, że media, mówiąc delikatnie, upiększają rzeczywistość. Z łatwością dostrzegali, że to, co widzą na ekranie telewizora, różni się od tego, co za oknem. To doświadczenie sprawiło, że ludzie wiedzą, że telewizorowi nie wolno wierzyć, co rosyjska propaganda świetnie wykorzystuje.

Kiedy na przykład zachodni dziennikarze przyjeżdżają do Buczy i pokazują ciała zamordowanych cywilów, porozrzucane po całym miasteczku, kremlowska propaganda zaczyna produkować nie jeden scenariusz, ale dziesiątki. I publikuje je nie tylko w państwowej telewizji, gazetach, portalach, ale także w mediach społecznościowych. Tego samego dnia dowiadujesz się, że „ciała poruszają rękami i nogami”, więc to ukraińska inscenizacja z udziałem aktorów, oraz że za Buczę odpowiadają ukraińscy nacjonaliści starający się oczernić Rosjan, i jeszcze, że to relacja „The New York Timesa”, a przecież Zachód walczy z Rosją. Chodzi nie o to, żebyś przyjęła wersję Kremla, tylko żebyś przestała wierzyć w cokolwiek. Zobojeźniała.

Ciekawe, że prawdę chcą mówić czasem ci, którzy stali się narzędziem władzy i wydawaliby się najbardziej zindoktrynowani, a już na pewno kontrolowani. Meduza apelowała niedawno do żołnierzy, którzy nie chcą walczyć, by podzielili się swoimi historiami z redakcją. Czego się dowiedzieliście?

I.K.: Jak się okazuje, wśród naszych czytelników są też żołnierze kontraktowi. Dla wielu z nich wojsko jest windą do awansu społecznego. Zaciągali się nie po to, by walczyć z Ukraińcami, tylko żeby móc wziąć korzystny kredyt na mieszkanie i mieć stabilne zatrudnienie.

Ludzie, którzy masowo są wysyłani na front, pochodzą z najbiedniejszych regionów Federacji. Przed wojną ich życie było warte zero. Nic. Kiedy walczą, zaczynają mieć jakieś znaczenie. To też ma znaczenie. Z listów, które dostaliśmy, wylania się obraz dość nieporadnych, nieprzeszkolonych ludzi, którzy nie wiedzą, co robią. Nie rozumieją, po co tam są, skarżą się, że armia jest nieprzygotowana, że nie ma dyscypliny, nie ma sprzętu, a cała ta wojna nie ma sensu.

Skoro Rosjanie są nauczeni, by nie wierzyć nikomu, to po co władzom blokada niezależnych mediów?

I.K.: Przydaje się. Wyobraźmy sobie europejski kraj, w którym władze wyłączyły wszystkie niezależne media i stworzyły równie efektywną infrastrukturę propagandy. Czy z mieszkańcami tego kraju wydarzy się to samo co z Rosjanami? Myślę, że tak. Mamy przykład Węgier, gdzie władze bardzo efektywnie manipulują opinią publiczną, wykorzystując te same narzędzia. Polska w tej kwestii też ma pewne problemy.

K.M.: No i nie jest tak, że propaganda zeżarła Rosjanom mózgi i wszyscy wierzą, że wojna to coś słusznego, a może wręcz dobrego. Po prostu Rosjanie nie mają do kogo się odwołać. Przecież władze zniszczyły wszystkie instytucje i organizacje. Nie ma parlamentu, sądów, organizacji pozarządowych.

I nie ma instytucji doradczych czy kontrolnych z prawdziwego zdarzenia, co sprawia, że w propagandę wierzą ci, którzy ją zamówili, czyli m.in. Putin. Rosja stała się archaicznym państwem. Władze są w stanie śledzić cyfrowo obywateli i kontrolować częściowo internet, ale wszelkie kluczowe decyzje podejmowane są w bardzo niewielkim gronie. Często nie są nawet protokolowane.

Istotna jest też inna kwestia. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy przeciętnym Rosjaninem, czyli takim, który ma w Ukrainie rodzinę albo znajomych, ale pracuje w budżetówce albo w państwowej korporacji. Co mu pozostaje? Przyznać, że prezydent jego kraju jest zbrodniarzem wojennym, postradać z tego powodu zmysły, wyjść na protest, stracić pracę, pójść do więzienia, czy może jednak uznać, że propaganda ma pewnie w czymś rację? Uwierzyć – to najrozsądniejsze, co może zrobić dzisiaj mieszkaniec Rosji, który nie ma dokąd uciekać i chce zatroszczyć się o rodzinę.

Reakcja samoobronna?

K.M.: Propaganda pozwala ludziom uchwycić się iluzji normalnego życia i wierzyć, że przyszłość ich dzieci nie jest jeszcze stracona. Tłumaczą sobie, że „operacja specjalna” nie może być tak zbrodnicza, że ma jakieś słuszne cele, a Putin przecież nie może być skończonym głupcem.

Właśnie tak wygląda to słynne „poparcie większości Rosjan” dla tej wojny. Ludzie na ulicy, zapytani przez ankierów o stosunek do działań w Ukrainie, mówią, że w czymś tam pewnie Putin ma rację.

I.K.: Niedawno publikowaliśmy monologi Rosjan, którzy potwierdzali, że wolą wierzyć propagandzie, bo musieliby przyznać, że ich kraj zrobił coś tak potwornego, że nie da się z tym żyć tak jak wcześniej.

W Polsce dużo mówimy o tym, jak wojna zmieniła ukraińskie społeczeństwo i jak wpłynęła na samych Polaków. A jak jest z Rosjanami?

T.B.: Nie mieszkam już w Rosji, nie mogę wrócić do kraju, bo ze względu na to, co pisałam z Ukrainy, grożą mi sprawa karna i więzienie. Ale od bliskich wiem, że ludzie wyraźnie starają się ignorować to, co się dzieje. W miejscach publicznych nikt nie rozmawia o wojnie czy nawet jej skutkach. Moskwianie siedzą w kawiarniach, piją kawę, chodzą po sklepach. To normalne w dyktaturze. Jeśli nie możesz otworzyć z nikim porozmawiać, to udajesz, że wszystko jest w porządku i żyjesz swoim życiem.

Za komunizmu zagraniczne redakcje, jak Radio Wolna Europa, były dla Polaków tym bardziej wiarygodne, im bardziej zagłuszane. Czy sam fakt blokady mediów innych niż propagandowe nie daje Rosjanom do myślenia? Nie zachęca do reakcji: sprawdźmy, co oni chcą ukryć?

K.M.: W latach 90. przeprowadzono badania, z których wynikało, że około 12 milionów mieszkańców ZSRR słuchało zachodnich stacji. A więc nieocenzurowane wiadomości docierały do absolutnej mniejszości, mało tego, ludzie słuchali „zagranicy” nie tyle dla informacji, ile dla muzyki. Ale to pragnienie innej, ciekawszej, fajniejszej rozrywki też wpłynęło na Związek Radziecki. Teraz może być podobnie, bo władze zakazują kolejnych popularnych artystów.

Kiedy niezależne media zaczęły lądować w rejestrze agentów zagranicznych, Iwan opowiadał mi, że informatorzy z kręgu władzy czy z administracji nie chcą więcej rozmawiać z dziennikarzami, bojąc się poważnych konsekwencji. Dzisiaj dziennikarze są już jawnymi wrogami, tymczasem tekstów opartych na informacjach z Kremla przybywa. Kto z wami rozmawia?

I.K.: To prawda, przez ostatni rok straciliśmy wiele źródeł. My zostaliśmy „agentami zagranicy” w kwietniu 2021 r. i wtedy nawet ci, którzy nie zerwali kontaktów, zaczęli rozmawiać na nowych warunkach, o wiele ostrożniej.

Ale rosyjskie elity – co świetnie widać na przykładzie informatorów, którzy przekazują nam informacje o planach generalicji czy otoczenia Putina – nie są skonsolidowane, jeśli chodzi o wojnę. Nawet wewnątrz administracji prezydenta jest wielu ludzi przerażonych tym, co się dzieje. Nie mówię już nawet o pomniejszych strukturach czy władzach regionalnych.

Wewnątrz systemu są żywi ludzie, którzy znaleźli się w nim z różnych powodów. I nie jestem w stanie ich wszystkich nazwać zbrodniarzami wojennymi, bo wiem, że świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niżbyśmy chcieli. I właśnie ci ludzie są zmotywowani jak nigdy wcześniej, by przekazywać nam informacje.

Deklarujecie, że niezależne rosyjskie media uciekają od moralizowania czy wygłaszania opinii, pozostawiając refleksję czytelnikom.

T.B.: A jednak w czasie wojny dopuściliśmy na łamy publicystykę, choć wcześniej od niej uciekaliśmy. Bo widzimy, że Rosjanom brakuje przestrzeni do publicznej dyskusji, czują głód nie tylko informacji, ale także wizji przyszłości.

I.K.: Nie wierzę, że jesteśmy w stanie do cokolwiek przekonać hipotetyczną większość społeczeństwa. My pracujemy ze specyficznymi czytelnikami. Jest w Rosji grupa ludzi, która nienawidzi Putina i z obrzydzeniem myśli o tym, co zdarzyło się po 24 lutego, ale ponieważ nie mogą protestować, znaleźli się w mentalnym potrzasku. Prawda jest straszna, a jeśli nie ma się możliwości, by zmienić rzeczywistość, jej świadomość tylko ciąży, więc ci ludzie przestają czytać wiadomości w ogóle. Zaczynają udawać, że nic się nie dzieje. Więc to, co staramy się robić, to opowiadać o zbrodniach w Ukrainie i o tym, co dzieje się w Rosji tak, by ludzie wciąż chcieli o tym czytać.

No i rysujecie przed nimi jakieś scenariusze przyszłości Rosji.

K.M.: Nie jestem w stanie myśleć dzisiaj o przyszłości Rosji. Nie wiem, czy ją mamy. **T.B.:** Przyszłość nie jest czymś statycznym, my też ją kształtujemy, nawet jeśli w minimalnym stopniu. Ale wymacać przyszłość w tym chaosie jest trudno, bo inwazja na

Ukrainę uruchomiła najróżniejsze procesy w samej Rosji.

Nawet jeśli ludzie wypierają samą wojnę, to zaczęli się zastanawiać, kim są, częścią jakiego narodu się czują – bo wewnątrz Federacji Rosyjskiej jest ich przecież wiele – jaką pozycję ich naród czy grupa społeczna mają w Rosji i czy na pewno taką, jaką chcieliby. Rosja po wojnie może być zupełnie innym krajem, być może w końcu prawdziwą federacją, bo widać wyraźnie, że ludzie coraz bardziej chcą mieć wpływ na władzę i na to, jak funkcjonuje ich kraj.



FOT. TWITTER

Taisia Bekbulatowa

- redaktorka naczelna portalu Hołod, osobiście relacjonowała wojnę w Ukrainie.



FOT. SHUTTERSTOCK

Iwan Kołpakow

- redaktor naczelny Meduzy, najpopularniejszego niezależnego rosyjskiego portalu.



FOT. TWITTER

Kirił Martynow

- redaktor naczelny „Nowej Gaziety. Europa”, utworzonej na emigracji przez dziennikarzy „Nowej Gaziety”, której naczelny Dmitrij Muratow dostał w zeszłym roku pokojowego Nobla.

I.K.: Rosja w obecnej i przedwojennej formie nie przetrwa. Będzie inna. I od nas, mimo poczucia bezsilności, w dużej mierze zależy jaka. Staramy się dać ludziom nadzieję na to, że kiedyś wojna się skończy, Putin umrze, a my będziemy żyć w wolnej, sprawiedliwej Rosji.

Ale czytelnikami Meduzy są nie tylko Rosjanie mieszkający w Rosji, również Białorusini i Ukraińcy, których wojna nie dotknęła bezpośrednio. Staramy się pamiętać, że im wszystkim jest ciężko, opisywać nie tylko zbrodnie, operacje wojskowe i politykę, ale również ich problemy. Oraz problemy i sprawy tych ludzi w Rosji, którzy popierają „specjalną operację”. Bo ich kraj pędzi w przepaść i też jest im ciężko, a będzie jeszcze ciężiej, tylko jeszcze się przed sobą do tego nie przyznają.

Nadzieję, że Rosja stanie się prawdziwą federacją – albo rozpadnie – żywi także wielu Polaków, również tych, którzy Rosjanom dobrze życzą. Jednocześnie często słyszę, że to niemożliwe, bo w społeczeństwie dominują nastroje wielkoruskie, a nie wolnościowe i proeuropejskie. Nawet o Nawalnym mówi się, że ma ciągoty wielkoruskie.

T.B.: Ludzie mają to do siebie, że chcą mieć jakąś sprawczość, niezależnie, gdzie żyją. W każdym normalnym kraju mają ją, wybierając przedstawicieli władz, którzy w ich przekonaniu są im bliscy. Uważają, że będą ich reprezentować na poziomie lokalnym i państwowym. W Rosji wszystkim zarządza się z Moskwy. Kiedy mieszkasz w Chabarowsku, a o wszystkim, co dzieje się w twoim mieście, i tak decyduje Kreml, to nie masz wpływu na nic. Wiesz natomiast, mieszkając na przykład w Jakucji, że wszystkie pieniądze z twoich podatków są odprowadzane do Moskwy, a w twoim mieście nie zostaje nic. To wkurza zwłaszcza mieszkańców bogatszych regionów, bo po podziale państwowych pieniędzy w Moskwie do ich miejsca zamieszkania wraca załosna, małańka kropła.

I za to ludzie szczerze nienawidzą Moskwy, a co za tym idzie, władz federalnych. I nie muszą mieć wcale proeuropejskich poglądów. Na początek wystarczy, że zależy im, by uzyskać niezależność, a przynajmniej większą wolność.

Jestem przekonana, że po wojnie Rosjanie nie będą chcieli żyć tak jak do tej pory. Ludzi, niezależnie od poglądów, irytuje to, że federacyjność jest tylko z nazwy. Wielu z nich nie jest w stanie nazwać źródła tej złości. Ale jeśli tylko wyjedzie się poza okręg moskiewski i porozmawia z mieszkańcami dowolnego regionu, wszyscy mówią, że co „w Moskwie władze mogą wiedzieć o ich życiu”, że sami chcą o sobie decydować. Ta potrzeba autonomii narasta. ●

Spotkanie odbyło się w ramach współpracy z Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.



TECHNOLOGIE NA RATUNEK PLANECIE

#jednaplaneta
jednożycie
technologia dla klimatu

PARTNERZY:



aliplast
aluminium systems

Czytaj więcej na

Wyborcza.pl/jednaplanetajednozycie

NASZA EUROPA

Guillermo Altares

EL PAÍS

Antony Beevor to dziś punkt odniesienia dla każdego, kto próbuje zrozumieć historię wojen XX w. Bitwa po bitwie – Stalingrad, Normandia, Ardeny, Arnhem czy Berlin – przybliżył II wojnę światową milionom czytelników. Jego najnowsza książka to „Rosja. Rewolucja i wojna domowa 1917-1921”. Daje kapitalny wgląd w rosyjską tradycję prowadzenia działań wojennych.

Brytyjski historyk zajmuje się tym razem rewolucją lutową z 1917 r., która położyła kres caratowi, ale także bolszewickim zamachem stanu z października, który rozpętał wojnę domową z potwornym okrucieństwem po obu stronach, przynosząc miliony ofiar w wyniku walk, głodu, przemieszczeń, grabieży i masakr. „Europa od czasów wojen religijnych nie widziała tak ostatecznego okrucieństwa stosowanego jako regularna broń” – pisze.

...

Dlaczego rosyjska wojna domowa była tak dzika?

– To bardzo aktualne pytanie. Wobec wojny w Ukrainie jest to kwestia gorąco dyskutowana. David Aaronovitch napisał w „The Times” o „systemowym zdżeczeniu rosyjskich wojsk”. A jakie jest tego źródło? Oczywiście nie można uogólniać na temat żadnego kraju, a tym bardziej takiego, w którym jest tylu różnych ludzi tylu różnych narodowości, co w Rosji. Ale pomyśl, że rosyjska brutalność w działaniach wojennych sięga wzorców z najazdu Mongołów w XIII w., ma pewne uzasadnienie.

Rosja zawsze czuła się zagrożona z zewnątrz. Trzeba też mieć świadomość, że terror i okrucieństwo to niezbędne elementy arsenału wojennego. Widzimy to raz po raz. Nie znamy wszystkich szczegółów, ale możemy mieć całkiem dobre wyobrażenie o tym, stosując analogie do rosyjskiej wojny domowej. W latach 90. w Rosji ok. 5 tys. pobożnych popełniało co roku samobójstwo z powodu fali w wojsku. Liczba dezercji z oddziałów w Ukrainie w tej chwili mówi nam wiele o tym, jak źle traktowani są żołnierze. Znamienne jest również to, że Rosjanie nie zabierają ciał swoich poległych, tylko je zakopują na miejscu lub palą, aby ukryć liczbę ofiar, co świadczy o porażającej pogardzie dla własnego wojska.

Czy można znaleźć podobieństwa między tamtą wojną domową a tym, co dzieje się dziś w Ukrainie? Np. Churchill chciał interweniować bezpośrednio lub wysłać więcej broni, ale rząd brytyjski mu nie pozwolił...

– Tu trzeba być ostrożnym. Zwłaszcza że Putin całkowicie wypaczył historię w każdy możliwy sposób. Putin zachowuje się znacznie bardziej jak Hitler niż jak Stalin, pomimo jego obsesji, że w jakiś sposób jest to powtórka z II wojny światowej, przeciwko „faszystowskiemu państwu”. Jest to całkowicie zniekształcona wersja historii. Dlatego paralele są niebezpieczne.

To prawda, że jedną z lekcji historii jest ryzyko angażowania się w cudzą wojnę domową. Ale to nie jest wojna domowa. Jest to wojna między państwami. Sugerowanie, że jest inaczej, to zagranie na rękę Putina. Nie sądzę, aby Zachód miał w tym momencie jakikolwiek wybór poza zbrojeniem Ukrainy.

Bardziej sensowne byłoby przeprowadzenie analogii do hiszpańskiej wojny domowej i międzynarodowej zachodniej niechęci do jakiegokolwiek interwencji, która, dzięki Bogu, teraz nie istnieje. Uważam, że wysłanie



Antony Beevor:

SĄ GROŻNE
ANALOGIE
WOJNY
W UKRAINIE
Z WIELKIMI
KONFLIKTAMI
XX W.

– Terror i okrucieństwo są niezbywalnymi elementami arsenału Rosji – mówi słynny brytyjski historyk wojskowości

broni do Ukrainy jest absolutnie niezbędne, ponieważ byłoby fatalnie, gdyby Ukraina została zmuszona do podpisania pokoju, który w rzeczywistości byłby tylko tymczasowym zawieszeniem broni. A Putin bardzo chciałby uzyskać zawieszenie broni.

Kreml chce zastosować starą napoleońską metodę: wycofać się, a po zebraniu sił ponownie zaatakować. I to jest z pewnością ich plan w przypadku rozejmu. Zachód musi więc zachować absolutną stanowczość, nie zmuszać Ukrainy do negocjacji, co postawiłoby ją w niekorzystnej sytuacji nie tylko za kilka miesięcy, ale i za kilka lat.

Czyli uważa pan, że teza, iż lepiej dogadać się z Rosją w obliczu inflacji czy braku pszenicy, jest błędem, bo Putin zacznie wszystko od nowa?

– Putinowi nie można ufać ani na jotę. Złamał już wszystkie umowy. I ma obsesję, i nie zamierza przestać, dopóki nie zdobędzie Ukrainy.

Na początku książki wyjaśnia pan, że carowie żyli zupełnie oderwani od rzeczywistości i nie mieli pojęcia o szykującej się rewolucji. Czy podobnie jest z Putinem?

– Podejrzewam, że przebieg tej wojny jest dla Putina szokiem, mimo że część osób z jego otoczenia próbowała mu wyjaśnić sytuację. Putin jest zafiksowany na punkcie przegranej, wystarczy spojrzeć na zdjęcia tego śmiesznie dużego stołu, przy którym podejmuje gości na Kremlu. Znamienne, że jego pałac nad Morzem Czarnym jest pełen dwugłowych orłów – on ma obsesję na punkcie restauracji starego rosyjskiego imperium.

Jest też pod wieloma względami snobem, bo to wszystko jest dość paradoksalne w przypadku kogoś, kto powtarzał do znudzenia, że upadek Związku Radzieckiego był największą tragedią geopolityczną XX w. Pod wieloma względami Putin działa tak, jakby wierzył, że to rok 1917 i upadek caratu był największą tragedią tego stulecia. Chociaż sprytnie grał pamięcią o obu stronach rosyjskiej wojny domowej, np. sprowadził ciała niektórych białych generałów i pochował je w Rosji. Zaszokowało to wielu byłych aparatczyków partii komunistycznej.

Pisze pan, że Zachód nie docenił Stalina. Czy z Putinem będzie podobnie?

– Co do Stalina chodzi mi o to, że dopiero ci, którzy poznali go w czasie wojny, jak Churchill, zdali sobie sprawę z tego, jak bardzo był inteligentny. Ale co tak naprawdę oznacza niedocenywanie? Kiedy mówi się o 1938 roku i Monachium, problem Brytyjczyków i Francuzów polegał na tym, że nie tylko nie docenili Hitlera – oni nie byli w stanie oszacować jego ambicji, gdyż oceniali go z własnego punktu widzenia; uważali, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby wywołać kolejnej wojny światowej. Ale w 1938 roku Hitler był wściekły, gdy Chamberlain uległ, bo naprawdę chciał wojny już wtedy.

Teraz popełniliśmy ten sam błąd z Putinem, ponieważ uważaliśmy, że nikt nie chciałby dziś wojny w Europie. Cóż, powinniśmy byli wyciągnąć wnioski z Czeczenii i oczywiście z Syrii, a nawet Libii. Zapominamy o determinacji Putina i jego metodzie prowadzenia geopolityki poprzez rozpętywanie konfliktu, gdy tylko jest do tego okazja i jeśli tylko zwiększy to jego władzę i wpływ.

Co do historii Rosji powstały potężne mity, bo sowiecka propaganda bardzo sprytnie je podsycala. Np. obraz, jaki ludzie mają na temat szturm na Pałac Zimowy, jest całkowicie oparty na filmie Eisensteina. To świetny film, ale całkowicie fałszywy. Inny mit dotyczył tego, że bolszewicy byli za równością. Fakt, że zawsze istniała hierarchia uprzywilejowanych, został w kolejnych latach przysłonięty przez propagandę. Tak jak rewolucja lutowa, w której bolszewicy nie odegrali żadnej roli. Nie spodziewali się tego pierwszego buntu, Stalin przebywał na Syberii. Lenin i inni byli w Zurychu z Trockim. Ale to była w pewnym sensie prawdziwa rewolucja, bo oznaczała obalenie starego reżimu. Lenin wtedy zdał sobie sprawę, z ogromną przebiegłością i wnikliwością, że tak naprawdę nie chodziło o przewagę liczebną. To, czego potrzebował do zwycięstwa, to apatia większości.

Czy terror był głównym instrumentem Lenina do kontrolowania kraju i przejmowania władzy?

– Tak, choć myślę, że dotyczy to każdej wojny domowej. Ale Lenin chciał przekształcić I wojnę światową, wojnę imperialistyczną, w szereg narodowych wojen domowych. Taka była strategia od początku. Wiedział, że spotka się z dużym sprzeciwem i że przejęcie władzy przez partie komunistyczne na drodze wyborów nie będzie możliwe.

Czy wojna zmienia normalnych ludzi w potwory, czy po prostu na wojnach to potwory wysuwają się na pierwszy plan?

– Obawiam się, że w czasach wielkiego kryzysu zawsze szumowiny wypływają na wierzch. Ale obowiązkiem historyka jest próba jak najdokładniejszego przedstawienia wypadków, a oceny moralne ma pozostawić czytelnikowi.

Czytając pana książkę, można odnieść wrażenie, że biali byli bliscy wygrania rosyjskiej wojny domowej.

– Otóż mogliby ją wygrać tylko wtedy, gdyby poszli na pewne ustępstwa, zapomnieli o wielkich imperialnych obsesjach Rosji i zbudowali sojusz z Polakami, Finami i Estończykami. Wtedy naprawdę mieliby szan-

sę. Ale ku irytacji Churchilla, traktowali potencjalnych sojuszników pogardliwie. Ale czerwoni mieli oczywiście przewagę: trzymali w ręku obszar centralny, w tym Moskwę. Kontrolowali główne fabryki broni i dominowali w najważniejszych miastach, gdzie można było rekrutować wojsko. Ale prawdziwym problemem było to, że biali tworzyli zupełnie niespójny sojusz. Była to mieszanek umiarkowanych socjalistów, prawicowych rewolucjonistów i reakcjonistów. Obie strony dokonywały większości rekrutacji wśród jeńców, co nie jest często spotykane w historii. Biali utrzymali się tak długo dzięki ogromnym dostawom, zwłaszcza brytyjskiego uzbrojenia i sprzętu, poprzez porty na Morzu Czarnym.

Jedną z przyczyn wybuchu rewolucji był głód. Czy dziś problemy w dystrybucji żywności spowodowane wojną w Ukrainie mogą rozpętać globalny kryzys o nieprzewidywalnych skutkach?

– Prawdziwy kryzys przyjdzie mniej więcej we wrześniu. Jednym z kluczowych elementów musi być presja NATO na Turcję, by wpuściła okręty wojenne przez Bosfor w celu eskortowania dużych statków z ziarnem z Ukrainy. Bo wojna w Ukrainie może rozpętać globalną katastrofę. Bez odblokowania ukraińskiego zboża nie unikniemy przerażającego kryzysu humanitarnego, do którego zmierzają Afryka i Bliski Wschód.

Twierdzi pan, że I wojna światowa stanowiła „samobójstwo Europy”. Czy jest to katastrofa matka, z której powstały wszystkie inne: II wojna światowa, Holocaust?



FOT. GETTY IMAGES

Być może Putin wyświadczył nam przysługę, budząc nas i pokazując nam niebezpieczeństwa autokracji i to, dokąd może nas ona doprowadzić. Bo II wojna światowa i epoka totalitaryzmu są zbyt odległe, zwłaszcza dla młodego pokolenia, które tego okresu już nie pamięta albo ma wyobrażenia dostarczane przez popkulturę

– Tak uważam. Znaczenie rosyjskiej wojny domowej, która przecież wyrosła z I wojny światowej, polegało jednak na tym, że wyzwoliła ona dynamikę strachu i nienawiści, która z kolei doprowadziła do hiszpańskiej wojny domowej i II wojny światowej poprzez stworzenie radykalnej polaryzacji między lewicą a prawicą, między faszyzmem a komunizmem, między stalinizmem a nazizmem... I w zasadzie zmiażdżyła liberalizm i demokrację w tym okresie.

I ja dziś zaczynam się obawiać, że podobny proces rozpocznie się w epoce postdemokratycznej w tym wieku. Być może w końcu Putin wyświadczył nam przysługę, budząc nas i pokazując nam niebezpieczeństwa autokracji i to, dokąd może nas ona doprowadzić. Bo II wojna światowa i epoka totalitaryzmu są zbyt odległe, zwłaszcza dla młodego pokolenia, które tego okresu już nie pamięta albo ma wyobrażenia dostarczane przez popkulturę.

Więc Putin, miejmy nadzieję, otworzył oczy świata na prawdziwe niebezpieczeństwa, które mogą się pojawić, gdy pozwolimy się nadal polaryzować. Zasadniczy konflikt dziś toczy się między autokracją a demokracją – i o tym nie możemy zapominać. ●

ĆWIERĆ WIEKU POD WŁADZĄ PEKINU

Czy Hongkong tęskni za Brytyjczykami?

Ćwierć wieku temu Chiny przejęły od Brytyjczyków metropolię założoną w Delcie Rzeki Perłowej. I zaprowadzają tam reżim przypominający dawne porządki kolonialne.

Robert Stefanicki

Plywająca restauracja Jumbo, 80-metrowa barka w kształcie pałacu cesarskiego, do wybuchu pandemii będąca jedną z największych atrakcji turystycznych Hongkongu, zatonała niemal w przeddzień 25. rocznicy przejścia miasta pod zarząd Pekinu. Niektórzy dostrzegli w tym metaforę losu terytorium, którego niezależność jest niszczona przez Komunistyczną Partię Chin. Parę dni później właściciel zmienił zeznanie, twierdząc, że restauracja nie zatonała, tylko podtopiona dryfuje po wodach Morza Południowochińskiego. Metafora stała się jeszcze trafniejsza.

Kolejne raporty pokazują, jak pogarsza się sytuacja w metropolii, która jeszcze niedawno była drugą po Tajwanie oazą wolności w chińskim świecie. W czerwcu organizacja Human Rights Measurement Initiative stwierdziła, że stan przestrzegania praw człowieka plasuje Hongkong blisko Arabii Saudyjskiej i Wenezueli.

W maju Rada Demokracji Hongkongu podliczyła, że jest tam 590 więźniów politycznych, w porównaniu z 26 trzy lata temu.

Wtedy to rozpoczęły się masowe protesty prodemokratyczne, które z zapartym tchem śledził świat. Dziś, poza resztkami graffiti, nie ma po nich śladów. Pekin zdołał zdusić bunt z pomocą restrykcji koronawirusowych oraz ustawy o bezpieczeństwie narodowym, która kryminalizuje działania będące w mniemaniu władzy nawoływaniem do secesji, znową z obcymi siłami, działalnością wywrotową albo terroryzmem.

Ponad tysiąc Hongkończyków zostało skazanych z powodów politycznych. Bojownicy o demokrację musieli dać za wygraną.

Teraz władze pracują nad zmianą narracji, pośpiesznie gumując ledwie wczorajszą historię. Przekonują, że cały ruch demokratyczny to tylko zagraniczni agitatorzy i sprzedajna, niepatriotyczna opozycja.

Centralną postacią tej opowieści jest Jimmy Lai, założyciel „Apple Daily”, zamkniętej w zeszłym roku prodemokratycznej gazety. Przebywającemu w więzieniu pod wieloma zarzutami Laiowi przydzielono rolę zręcznego propagandysty z głębokimi kieszeniami i zagranicznymi powiązaniem, który zmanipulował tysiące młodych ludzi, by się zbuntowali. Taki azjatycki George Soros.

Pacyfikacja Hongkongu w rozumieniu Pekinu jest niczym innym, jak przywróceniem historycznej sprawiedliwości. Nowe podręczniki szkolne głoszą, że „odwiecznie chiński” obszar nigdy nie był kolonią, a Brytyjczycy zarządzali nim tylko czasowo.

Jaka jest prawda?

Brytyjczykom nie przyświecały żadne szlachetne ideały.

Mimo że Hongkong był jednym z terytoriów formalnie oddanych przez Chiny w rezultacie przegranych wojen opiumo-



FOT. KIN CHEUNG/AP

wych, to historia tego miejsca zaczęła się wraz z przybyciem tam wysłanników Korony. Za ich sprawą „jałowa wyspa, prawie niezamieszкана” przemieniła się w gospodarczą metropolię o odrębnym od Chin systemie politycznym i społeczeństwie z własną tożsamością, chociaż złożonym głównie z imigrantów z kontynentu.

Brytyjczykom nie przyświecały żadne szlachetne ideały, Hongkong nie miał być chińską Liberią. „Należał do trzeciej klasy nabytych terytoriów, których ludu uznano za zbyt barbarzyńskie lub niezdolne do osiągnięcia autonomii lub niepodległości, nawet w odległej przyszłości”, napisali w magazynie „Postcolonial Politics” Gregory B. Lee i Patrick Poon.

Początkowo był to przyczółek do prowadzenia wymiany handlowej z Chinami i baza wojskowa. Przez dekady istotnym źródłem dochodów było opium, na którym pobudowało się kilka największych istniejących do dziś fortun biznesowych.

Przyjezdni z Zachodu cieszyli się przywilejami i dobrymi wynagrodzeniami, podczas gdy chińscy mieszkańcy kolonii byli zdani na siebie, nie mogąc liczyć na edukację czy świadczenia socjalne. Wizytujący region w 1958 r. poseł labourystów Ernest Thornton ocenił warunki pracy w Hongkongu jako zawstydzające nie tylko w porównaniu ze standardami europejskimi, ale też azjatyckimi.

Demokratyzację Londyn przeprowadził dopiero w ostatnich latach, gdy już było wiadomo, że trzeba będzie zwrócić kolonię Chinom. Po rozpoczęciu zimnej wojny i wygranej Mao w Chinach Hongkong uznano za zbyt ważny strategicznie, aby mógł być zarządzany przez ludzi potencjalnie podatnych na wpływy komunizmu. Brytyjczycy wprowadzali więc coraz bardziej represyjne środki w celu ograniczenia działalności politycznej.

W 1956 r. doszło do zamieszek, podczas których policja zabiła 44 osoby. Rząd uchwalił wówczas rozporządzenie, które dało gubernatorowi prawo do zatrzymania podejrzanego bez procesu na sześć miesięcy, z możliwością przedłużania aresztu bez ograniczeń przez trybunał umieszczony poza normalnym systemem sądownictwa.

Jeszcze w 1970 r. kolonialny rząd pozwalał na zgromadzenia do 20 osób. Krótko po rozpoczęciu maoistycznej rewolucji kulturalnej w Chinach, w 1967 r., w Hongkongu wybuchły poważne zamieszki na tle socjalnym. W rezultacie wprowadzono zakaz „bezprawnych zgromadzeń”, zdefiniowanych jako każda grupa trzech lub więcej osób, które zachowują się w sposób mogący zakłócić porządek publiczny. Policja nie była zobowiązana udowodnić, że osoby te mają wspólny



cel. W 1970 r. nowelizacja pozwoliła na zgromadzenie do 20 osób.

W tle trwała praca ideologiczna mająca uformować naród Hongkongu w opozycji do narodu chińskiego. Brytyjczycy jednak starali się nie podsycać nacjonalizmów. Tożsamość Hongkończyków miała być oparta na modelu społeczeństwa konsumpcyjnego w stylu zachodnim. Było to np. widoczne w działaniach Federacji Przemysłu Hongkongu, która w latach 50. wraz z administracją kolonialną promowała „lokalny” design będący imitacją europejskiego, podczas gdy chiński krytykowany jako skomplikowany i staroświecki.

Nie zapomniano o polityce historycznej. Z programów nauczania Brytyjczycy wyłączyli powstania antykolonialne. Historia Chin kończyła się w roku rewolucji (1911), która dała początek pierwszemu państwu narodowemu. O wojnach opiumowych nie wspomniano. Połowę czasu poświęcano na nauczanie historii Europy. „Podczas gdy wielu absolwentów miało jedynie mgliste pojęcie o historii Chin i Hongkongu, ich wiedza na temat zjednoczenia Włoch była często doskonała”, piszą Lee i Poon.

Nauczyciele, którzy próbowali uczyć inaczej, byli zwalniani. W 1948 r. poprawka do rozporządzenia oświatowego dała dyrektorowi oświaty prawo do odmowy lub cofnięcia licencji nauczycielom, zamykania szkół oraz kontrolowania programów i podręczników.

Kilka lat po podpisaniu chińsko-brytyjskich porozumień o przekazaniu Hongkongu szkołom pozwolono poświęcić więcej czasu na nauczanie historii Chin, ale tylko do momentu pojawienia się komunistów. Dopiero tuż przed 1997 rokiem uczniowie mogli poznać historię do lat 70., przy czym nauczyciele woleli nie poruszać drażliwego okresu, a gros pytań egzaminacyjnych dotyczyło okresu przednowoczesnego.

Wstydliva historia panowania brytyjskiego nie usprawiedliwia obecnych działań Pekinu – co uchodziło sto lat temu, nie uchodzi dzisiaj; cudzymi występami nie wolno usprawiedliwiać własnych. Ani też nie przydaje prawdy twierdzeniom o chińskości Hongkongu. Przez prawie dwa stulecia Hongkończycy wytworzyli własną tożsamość na pograniczu kultury chińskiej i brytyjskiej. Tęsknota za Brytyjczykami pojawia się u nich wyłącznie w kontraście wobec autorytaryzmu Pekinu – trochę tak jak za komuny Polacy idealizowali II Rzeczpospolitą. W zeszłym roku 90 tys. Hongkończyków zagłosowało nogami, emigrując do Wielkiej Brytanii.

Biznes, fundament Hongkongu, dalej się kręci.

Zagraniczni finansiści nie opuścili „tonącej restauracji”, podpisują lojalki, ale rozumieją, że Chinom nie ma co ufać, i szalupy mają przygotowane. Większość dawnych elit w pełni przyjęła postawę konformizmu, choć nie zawsze jest to doceniane przez Pekin, który promuje własne elity – szerzej pisze o tym Piotr Bernardyn w świeżo wydanej książce „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny”.

„Hongkong doczekał zatem wreszcie swojej dekolonizacji”, notuje Bernardyn. „Problem, a może tragedia, polega na tym, że o ile gdzie indziej proces ten kończy się powstaniem niepodległego i demokratycznego państwa, o tyle tutaj oznacza on wtopienie w struktury autorytarnego hegemonu”. ●

Maciej Jarkowiec

Latem 1992 r. Henry Kissinger, były szef amerykańskiej dyplomacji, przyleciał do Petersburga. Na lotnisku czekał na niego niewysoki, sprężysty facet nazwiskiem Putin, który pracował dla mera miasta Anatolija Sobczaka jako ekspert do spraw międzynarodowych. Kissinger przybył otworzyć współpracę między zachodnim biznesem i bankami a nową rosyjską elitą. Gdy na kanapie limuzyny w drodze do hotelu Putin wyznał, że był agentem KGB, Kissinger odpowiedział: – Wszyscy porządni ludzie zaczynali w wywiadzie. Ja też.

Później powiedział coś, co jego rozmówca uznał za „kompletnie niespodziewane i bardzo interesujące”: – Wie pan, w Stanach krytykują mnie za stanowisko, jakie przed kilkoma laty przyjąłem wobec ZSRR. Uważałem, że Związek Radziecki nie powinien wycofywać się z Europy Wschodniej. Zmienialiśmy równowagę światową w zawrotnym tempie i twierdziłem, że przyniesie to niekorzystne konsekwencje. (...) Szczerze panu powiem, do dziś nie rozumiem, dlaczego Gorbaczow do tego dopuścił.

Kilka lat później Putin napisze: „Kissinger miał rację. Uniknęlibyśmy wielu problemów, gdybyśmy tak pośpiesznie nie ewakuowali się z Europy Wschodniej”.

UKRAIŃSKIE LENNO

Kissinger ma dziś 99 lat. Pozostaje czynnym macherem geopolityki, konsultantem konsorcjów międzynarodowych, dyplomatów i rządów państw. Nie ma na świecie drugiego człowieka, który od końca lat 50. ubiegłego wieku ma nieprzerwanie dostęp do gabinetów najważniejszych światowych przywódców. Z jego doradztwa korzystali wszyscy amerykańscy prezydenci od Eisenhowera do Trumpa. Słowa, które wypowiada Kissinger – prywatnie lub publicznie – mają moc wpływania na najważniejsze geopolityczne procesy. Przed kilkoma tygodniami na światowym forum ekonomicznym w Davos Kissinger powiedział, że aby zakończyć wojnę, Ukraina powinna oddać część swojego terytorium Rosji. Zachód – według Kissingera – musi ją do tego nakłonić.

Wywołało to oburzenie. „Kyiv Post” skomentował je, przytaczając słowa urodzonej w Kijowie legendarnej premier Izraela Goldy Meir: „My, Izrael, chcemy pozostać przy życiu. Nasi sąsiedzi pragną, abyśmy byli martwi. W takich warunkach nie ma wielkiego pola do kompromisu”. Oddanie części terytorium Rosji – pisali ukraińscy komentatorzy – to jak zaproszenie mordercy, który napadł na twój dom, aby zaopiekował się dziećmi, bo obiecał, że będzie grzeczny.

Emocje Ukraińców podzieli wielu – w Polsce, w krajach bałtyckich, również w USA i w innych miejscach – ale prawda jest taka, że Kissinger nie jest jedynym prominentnym zwolennikiem polityki appeasementu wobec Moskwy. Podobny sentyment, lecz w mniej dobitnych słowach, wyraża m.in. prezydent Francji Emmanuel Macron, wielu polityków w Niemczech czy we Włoszech, a w USA choćby „New York Times”, który w komentarzu redakcyjnym z 19 maja napisał, że liderzy ukraińscy będą musieli podjąć „bolesne decyzje terytorialne, jakich wymaga każdy kompromis”.

Zwolennicy takiego poglądu uważają się za przedstawicieli geopolitycznego realizmu, którego Henry Kissinger od wielu dekad pozostaje najwyższym kapłanem.

NARODOWY NADINTERES

Czym jest realizm w stosunkach międzynarodowych? Ten sam „New York Times”, krytykując Kissingera w latach 70., pisał, że nie jest niczym innym tylko „obsesją na punkcie siły i międzynarodowego porządku

ku kosztem ludzkiego życia”. Podręcznikowym przykładem jest rozkaz Winstona Churchilla z czerwca 1940 r. zatopienia francuskich okrętów wojennych, w wyniku czego zginęło 1300 sprzymierzonych z Wielką Brytanią Francuzów. Celem nadrzędnym było, aby jednostki nie zostały przejęte przez marynarkę Niemiec.

Ojcem nowoczesnego realizmu jest Hans Morgenthau (1904–1980), amerykański badacz niemieckiego pochodzenia, który we wczesnej fazie kariery Kissingera był jego przyjacielem i mentorem. Według Morgenthaua interes narodowy należy definiować wąsko – jako przeciwdziałanie czynnikom zewnętrznym i ekonomicznym zagrażającym bezpieczeństwu pań-

stwa. Żadna idea – jak szerzenie demokracji czy przestrzeganie praw człowieka – nie może przeszkadzać w realizacji interesu narodowego. Imperatyw moralny nie może dyktować decyzji. Centralne jest pojęcie siły – kraj buduje ją, aby skutecznie zabiegać o swój interes. Składnikiem siły według Morgenthaua jest reputacja. Wojny prowadzone przez realistów są mniej zabójcze i niszczące, bo jasno definiują cel i dążą do jego szybkiego osiągnięcia. Wojny toczne w oparciu o idee niechybnie prowadzą do rzezi i trwają długo. W ujęciu Morgenthaua wojną idealistów była agresja hitlerowska, ale również zaangażowanie USA w Azji. W latach 60. Morgenthau był doradcą w administracji Lyndona Johnsona.

Publicznie krytykował amerykańską interwencję w Wietnamie, uznając ją za idealistyczną, zagrażającą pozycji państwa i obniżającą reputację USA. Został zwolniony. W tym momencie drogi Morgenthaua i Kissingera się rozeszły.

MAŁA WOJNA ATOMOWA

Heinz Kissinger urodził się w 1923 r. w bawarskim Fürth, w rodzinie żydowskiej. W dzieciństwie był wielokrotnie napadany i bity przez grupy Hitlerjugend. Kissingerowie uciekli do USA w 1938 r. Zamieszkał w niemiecko-żydowskiej dzielnicy na Górnym Manhattanie. Heinz został Henrym,



Dlaczego Putin miałby odpowiadać za zbrodnie w Ukrainie, skoro Kissinger dostał za to Nobla?

FOT. SERGEI CHIRKOV/AP

pracował w fabryce pędzli i planował zostać księgowym. „Nigdy nie zapomnę emocji, jakie towarzyszyły mi, gdy pierwszy raz wyszedłem na ulice Nowego Jorku. Ujrzałem nadchodzącą grupę chłopców i chciałem przejść na drugą stronę jezdni, żeby nie zostać pobitym. Wtedy przypomniałem sobie, gdzie jestem”. Ameryka była jego wyzwoleniem. Choć Kissinger nigdy do końca nie pozbył się niemieckiego akcentu, przyjaciel z lat młodości powiedział o nim: „Był bardziej amerykański od najbardziej amerykańskich Amerykanów”.

Do Niemiec wrócił jako 20-letni żołnierz amerykańskiej armii, brał udział w wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Ahlem pod Hanowerem. Po wojnie skorzystał z ustawy stypendialnej dla weteranów i dostał się na Harvard. Tam poznał ojca szkoły realistów Hansa Morgenthaua. Na początku lat 50., jeszcze jako student, zorganizował seminarium z polityki międzynarodowej, na które, dzięki wysokim grantom z prywatnych fundacji (jak się później okazało, w dużym stopniu finansowanych przez CIA), udało mu się ściągnąć gwiazdy. Stawili się ministrowie spraw zagranicznych, dyplomaci i politycy z całego świata, choćby późniejszy premier Kanady Pierre Trudeau czy przyszły prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing. Przy okazji konferencji Kissinger zgłosił się do FBI z ofertą raportowania na temat swoich gości. Prawdopodobnie ten epizod będzie miał na myśli, kiedy wiele lat później zwierzy się Putinowi, że też zaczynał jako agent.

W następnych latach kontakty zawiązaane na seminarium otwierały młodemu akademikowi kolejne drzwi. Pod koniec lat 50. z jego analiz – jako profesora Harvardu – korzysta już administracja Dwighta Eisenhowera. Kissinger jest wówczas adwokatem koncepcji ograniczonej wojny atomowej. Twierdzi, że obowiązująca doktryna – zmasowanego kontrataku nuklearnego w przypadku agresji Sowietów na USA bądź ich sojuszników – jest droga i ryzykowna. Co najgorsze, nierealistyczna: w praktyce żaden prezydent nie zdecydowałby się na taki kontratak – bo oznaczałby on zagładę ludzkości – co prowadzi do wniosku, że agresja ZSRR pozostałaby bezkarna. Kissinger proponuje budować zdolność bojową użycia niewielkich, „zniechęcających” ładunków jądrowych w każdej chwili i w każdym miejscu świata, tak jak uczyniono to w Hiroszimie i Nagasaki. Taką taktyka miałaby szansę skutecznie odstraszyć wroga. Jego teoria nigdy nie została wprowadzona w życie, ale uczyniła z niego gwiazdę.

NALOTY DYWANOWE

26 grudnia 1972 r. na Kham Thien, tętniącą życiem arterię w środku Hanoi, spadło kilkakset bomb zrzuconych z amerykańskich bombowców dalekiego zasięgu B52. Zrównanych z ziemią zostało ponad dwa tysiące domów, zginęło 280 cywilów, w tym 55 dzieci. Korespondenci opisywali odgrzebywanie ciał spod ruin, kwiczenie rannych świri i szloch kobiety: „Synku, gdzie jesteś? Amerykanie, dlaczego jesteście tak nikczemni?”. Kilka dni wcześniej amerykańskie bombowce zniszczyły szpital na przedmieściach, zabijając 28 pielęgniarek i lekarzy (pacjentów zdążono ewakuować). Kampania nalołów dywanowych na przełomie 1972 i 1973 r. trwała 12 dni i nocy. Była częścią strategii Henry’ego Kissingera, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji Richarda Nixona, który chciał siłą zmusić Północ do ustępstw w toczących się negocjacjach pokojowych. Łącznie w największej tego typu operacji od czasów drugiej wojny światowej zginęło co najmniej 1600 cywilów. Zapisy rozmów Nixona z Kissingerem (prezydent i jego doradca nagrywali się nawzajem, nie wiedząc o tym) pokazują, że uznali oni kampanię za sukces. Dzień po zbombardowaniu Kham Thien Kissinger zadzwonił do Nixona.

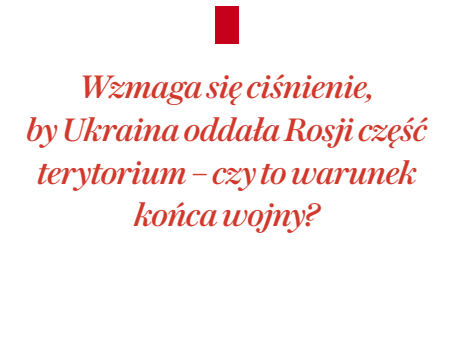
– Mamy ich na kolanach – powiedział.

Ale negocjatorzy z Północy nie zamierzali klękać. Warunki pokoju podpisanego kil-

ka tygodni później w Paryżu nie różniły się od tych wynegocjowanych przed nalotami. Jeden z młodych amerykańskich dyplomatów, John Negroponte, skomentował z goryczą: „Zbombardowaliśmy ich, żeby zaakceptowali nasze ustępstwa”. Wkrótce amerykańskie wojska wyszły z kraju, a rozejm zaczął być łamany przez obie strony i wojna między Północą a Południem trwała dalej, już bez udziału USA. Jesienią Kissinger i jego wietnamski odpowiednik Le Duc Tho otrzymali pokojowego Nobla. Dwóch członków Akademii Noblowskiej w proteście odeszło z instytucji. Le Duc Tho nie przyjął wyróżnienia. Gdy Północ podbiła Sajgon, komunistyczny generał przyjmujący kapitulację Południa powiedział: „Nie macie się czego obawiać. Pośród Wietnamczyków nie ma zwycięzców i pokonanych. Przegrali tylko Amerykanie”.

ŁUDZKIE POLA SZACHOWE

Protesty, jakie wywołało przyznanie Nobla Kissingerowi, nie brały się tylko z jego roli w bombardowaniu cywilnych celów w Wietnamie. W 1969 r. Nixon i Kissinger zdecydowali o rozpoczęciu nalotów dywanowych na Kambodżę, której Wietkong używał jako bazy wypadowej i szkoleniowej. Rozkaz, jaki Kissinger przekazał wiceszefowi sztabu generałowi Alexandrowi Haigowi, brzmiał: „[Uderzamy] wszystkim, co lata, we wszystko, co się rusza”. Amerykanie zrzucili tam więcej bomb niż w całej kampanii na Pacy-



*Wzmaga się ciśnienie,
by Ukraina oddała Rosji część
terytorium – czy to warunek
końca wojny?*

fiku podczas drugiej wojny. Niektóre źródła szacują liczbę ofiar cywilnych na 100 tys. Rolnicze polacie kraju zostały zdewastowane. Na pogorzelsku marsz ku władzy rozpoczął Pol Pot. Stanley Hoffmann, kolega Kissingera z Harvardu, ocenił, że amerykańskie zbrodnie przygotowały grunt pod wzlot potwornego reżimu Czerwonych Khmerów.

W tym samym czasie po drugiej stronie kuli ziemskiej Nixon i Kissinger zaprojektowali obalenie socjalistycznego przywódcy Chile Salvadora Allende i zainstalowanie junty generała Augusto Pinocheta. Dokumenty z tajnych narad w Białym Domu pokazują, że Amerykanie obawiali się powodzenia rządów Allende i ich oddziaływania na inne kraje regionu, więc z pomocą służb prowadzili metodyczne działania sabotujące jego władzę, a później doprowadzili do jej upadku. Kissinger tak streścił sytuację: „Nie widzę powodu, dla którego mamy stać i patrzeć, jak jakiś kraj skręca w stronę komunizmu przez brak odpowiedzialności swojego społeczeństwa”. To wtedy właśnie „New York Times” krytykował jego realizm. Doktrynę Kissingera dziennik przyrównał do doktryny Breżniewa – który nie mógł przyglądać się, jak Czechosłowacja skręca w stronę Zachodu.

Tak jak dla Breżniewa Czechosłowacja, tak dla realisty Kissingera Kambodża, Chile i ludzie żyjący w tych krajach byli jedynie polami na wielkiej szachownicy, na której dziejowe partie rozgrywają mocarstwa. Dziś podobnie postrzega Ukrainę.

NOWA JAŁTA

Za największe sukcesy Kissingera uważa się jego działania dyplomatyczne wobec Chin i ZSRR. To on przygotował historyczną, siedmiodniową wizytę Nixona w Chinach z lutego 1972 r., która zapoczątkowała nawiązanie relacji między oboma krajami. Niewiele później, w kwietniu 1972 r., Kissinger pole-

ciał do Moskwy w ramach realizowanej od miesięcy strategii odprężenia w stosunkach z ZSRR. Wysiłki amerykańskiej dyplomacji – którą Kissinger nieformalnie kierował przez lata za plecami sekretarza stanu, a oficjalnie jako jej szef od września 1973 – doprowadziły do podpisania pierwszych porozumień o ograniczeniu zbrojeń między USA a ZSRR (układ SALT). Zapoczątkowany przez Nixona i Kissingera ożywiony dialog między mocarstwami trwał do sowieckiej inwazji na Afganistan w 1979 r.

Dekadę później w obliczu widocznej już gołym okiem ekonomiczno-politycznej zapaści w Europie Środkowej i Wschodniej Kissinger postulował zwrot w relacjach z ZSRR i dogadanie z Moskwą faktycznego, nowego podziału kontynentu. 29 stycznia 1989 r. na tajnym spotkaniu w Białym Domu między prezydentem George’em Bushem seniorem, sekretarzem stanu Jamesem Bakerem a występującym w roli nieoficjalnego doradcy Kissingerem ten ostatni nakreślił wizję historycznego układu między USA a ZSRR. Zakładał on redukcję arsenałów po obu stronach i gwarancje nieagresji. Sowieci mieliby pozwolić na ograniczone reformy w krajach satelickich, jednocześnie zachowując nad nimi kontrolę. W zamian dostaliby przyrzeczenie, że NATO nie przesunie się ani o centymetr na wschód. Wizja opierała się na zasadniczej dla doktrynerów realizmu koncepcji stref wpływu najsilniejszych państw. Aby zagwarantować nowy globalny porządek, Kissinger chciał klarownego potwierdzenia ich granic.

„Washington Post” dostał przeciek o spotkaniu. Komentatorzy pisali o drugiej Jalcie. Zwracano uwagę, że były szef dyplomacji chce oddać Rosjanom wpływ, o które się nawet nie upominają, a reformy w bloku wschodnim i jego desowietyzacja wydają się kwestią najbliższej przyszłości, bez konieczności ustępstw ze strony USA.

Kilka lat później, gdy Związek Radziecki już nie istniał, a kraje naszego regionu domagały się przyjęcia do NATO, w USA toczyła się zażarta dyskusja o rozszerzeniu paktu. Obie strony używały argumentów z arsenału geopolitycznego realizmu. Jedni realiści mówili: biorąc pod uwagę logikę dziejów, rozmiar Rosji, jej historię i położenie geograficzne, należy zakładać, że prędzej czy później znów będzie chciała poszerzyć swoją strefę wpływu. Należy więc zawczasu, wykorzystując jej chwilową słabość, przesunąć granicę konfrontacji na wschód. Drudzy realiści odpowiadali: Europa Środkowo-Wschodnia nie potrzebuje NATO, bo gwarancje bezpieczeństwa dają jej inne układy międzynarodowe. Trzeba wykorzystać ją jako pomost do budowania trwałego pokoju z Moskwą, a nie – przesuwając sojusz na wschód – zniechęcać nowe rosyjskie elity do Zachodu.

Kissinger – przynajmniej oficjalnie – zrewidował swoją pozycję z końcówki lat 80. i popierał rozszerzenie.

UPOKORZENIE

Dziś dyskusja wraca. Wedle zwolenników appeasementu powiększenie NATO było błędem, który uruchomił długofalowe procesy, jakie dziś doprowadziły do nowej wojny. Przypomina się przestrogi z lat 90. byłego ambasadora w Moskwie George’a Kennana, uważanego za najwybitniejszego eksperta od Rosji, jakiego Ameryka miała w XX wieku. „[Rozszerzenie NATO] jest dowodem na małe zrozumienie historii Rosji. Oczywiście jest, że jej reakcja będzie negatywna. A wtedy zwolennicy ekspansji NATO powiedzą: o proszę, ci Rosjanie zawsze są tacy sami” – mówił Kennan. Rozszerzenie nazwał najbardziej niebezpieczną decyzją, jaką USA podjęły od końca drugiej wojny światowej.

Thomas Friedman pisze w „New York Timesie”, że Ameryka jest współodpowiedzialna za pożar, jaki pogrąża Ukrainę. Przypomina, że przyjmowaniu nowych członków do NATO sprzeciwiał się sekretarz obrony w administracji Billa Clintona Bill Perry. W 2016 r. Perry wspominał: „Pracowa-

liśmy wtedy z Rosjanami, kielkowała wspólna strategia długofalowej przyjaźni. Apelowali, aby tego nie psuć, przybliżając NATO do ich granic”.

Wielu komentatorów przyrównuje Rosję lat 90. do Republiki Weimarskiej. Związek Radziecki się rozpadł, Moskwa poniosła historyczną klęskę. Ale zwycięzcy popełnili błąd – tak jak w stosunku do przegranych Niemiec po pierwszej wojnie. Zamiast pomóc Rosji, upokorzyli ją.

Takie interpretacje zakładają, że gdyby nie rozszerzenie NATO, Rosja byłaby dziś demokratyczna, nowoczesna i pokojowo nastawiona do sąsiadów. Ich autorzy nie podają żadnych argumentów odwołujących się do wewnętrznej polityki Rosji, które pozwalają wyobrazić sobie, że tak w istocie by się stało. Pomijają też milczeniem emocje, jakie zdecydowały o rozszerzeniu. NATO nie dokonało ekspansji na wschód, lecz to my, społeczeństwa z tej części Europy, potężnym wysiłkiem dyplomatycznym i cywilizacyjnym wepchnęliśmy się do sojuszu. Historia i instynkt podpowiadały nam, że rację ma raczej Peter Rodman, doradca Reagana i jeden z amerykańskich zwolenników rozszerzenia, który nazywał Rosję „nieuchronną siłą natury”.

Podobnie dziś – oddanie części kraju za pokój jest wbrew instynktowi narodu Ukrainy.

LOBBYSTA PUTINA?

Realizm czy idealizm w stosunkach międzynarodowych to koncepty czysto teoretyczne. W praktyce decyduje masa czynników spoza akademickiego słownika. Spójrzmy na samego Kissingera. O tym, jak się dziś wypowiada, mogą – owszem – decydować jego naukowe poglądy. Ale czy bez znaczenia jest, że przyjaźni się z Putinem? Że przyznaje się do fascynacji Rosją? Że ma tam rozliczne kontakty? A jeśli Kissinger po prostu pracuje dla Putina – na co wskazują poszlaki – nadal można mówić, że jest geopolitycznym realistą?

Od 1982 r. były sekretarz stanu jest właścicielem firmy Kissinger Associates zajmującej się dostarczaniem usług z zakresu geopolitycznego konsultingu. Jej klienti w zdecydowanej większości pozostają nieznani, najpewniej najbardziej wartościwe kontrakty zostają zawarte tylko w formie ustnej. Z nielicznych przecieków wiadomo, że z usług firmy korzystają korporacje i rządy. Wiadomo, że od początku lat 90. Kissinger kilkanaście razy spotykał się z Putinem. Gdy doradzał w sprawie Rosji prezydentowi Bushowi juniorowi, Putin zaatakował w Gruzji (2008), gdy doradzał Obamie, Putin zaatakował na Ukrainie (2014). Kissinger spotykał się z Trumpelem i przykleśnął objęciu Departamentu Stanu przez dobrego znajomego Putina Rexa Tillersona.

W 2013 r. Kissinger otrzymał tytuł honoris causa Akademii Dyplomatycznej MSZ Federacji Rosyjskiej. Laudację wygłosił Putin. „Był pan w stosunku do mnie nader hojny, poświęcając mi tyle czasu, aby tłumaczyć mi wasz punkt widzenia” – powiedział.

Dzisiejszy punkt widzenia USA można by nazwać idealistycznym. Prezydent Joe Biden i sekretarz stanu Antony Blinken przy wielu okazjach definiowali konflikt jako starcie demokracji z autorytaryzmem. Praktyka pozostaje realistyczna: dajemy Ukrainie broń i wsparcie, wzmacniamy NATO, ale nie wysyłamy żołnierzy za granicę sojuszu. Uniknięcie bezpośredniej konfrontacji z Rosją pozostaje dla USA kwestią egzystencjalną.

Nie da się przewidzieć, jak będzie wyglądała polityka Waszyngtonu względem Kijowa i Moskwy w nadchodzących miesiącach i latach. Zdecydują o tym liczne czynniki, również wewnętrzne – takie jak rozkład sił na Kapitolu po wyborach czy nastawienie amerykańskiej opinii publicznej. Nie bez wpływu będą działania lobbystów. Takich jak Henry Kissinger. ●

CO MNIE URZEKŁO

Botticelli przeciw tyranii

Tylko dziewięć obrazów. Ale z każdym można spędzić cały dzień



• Sandro Botticelli, Pieta.

FOT. J. CERTOWICZ

• Detal obrazu Historia Wirginii Sandra Botticellego - Lucjusz Icylusz prowadzi Wirginię do decemwira Appiusza Klaudiusza po sprawiedliwość.

FOT. FONDAZIONE ACCADEMIA CARRARA

Jarosław Mikołajewski

Na dobrą sprawę powinno się zawiesić życie publiczne, w tym obrady Rady Ministrów i Sejmu, prace Kancelarii Prezydenta RP, zatrudnić heroldów i obwieszczać: Botticelli w Warszawie! Botticelli opowiada, jak kończą się rządy tyranów! Lud nie przebacza satrapom!

Zamek Królewski w Warszawie zorganizował niewielką wystawę mistrzów renesansu włoskiego. Dziewięć dzieł zaledwie. Lecz co za wstrząs dla oczu, które przez ostatnie lata przywykły do miernoty, głupoty, korupcji, prywaty i kłamstwa.

Do renesansowych sal Zamku wprowadza nas piękny komentarz do naszej współczesności. Na monitorze rozgrywa się opowieść o wydarzeniach, które na swoim malowidle rozpisal Sandro Botticelli. W tle kompozycja muzyczna Hani Rani. To zestawienie spina, rozluźnia. Mówi, że sceny nie są wcale tak dawne, jak wskazywała-

by na to starożytna opowieść, opowiedziana później raz jeszcze w XIV wieku przez Boccaccia.

Rzecz mówi o pięknej, starożytnej Wirginii, którą zbrodniczo, wbrew jej woli, postanowił poślubić decemwir (człowiek władzy, a jeśli chcecie wiedzieć więcej, kto to taki, sprawdźcie w pięknym katalogu) Appiusz Klaudiusz. Z dzikiej żądzy wymyśla równie dziki spisek, ojciec, byle tylko nie oddać dziewczyny w ręce tyrana, zabija ją nożem rzeźnickim, a wzburzony lud zrzuca decemwira z urzędu.

Przy czym nie spallierę Botticellego – choć ten znak firmowy przykuwa naszą uwagę – ogląda się na wystawie z największą rozkoszą. Tym, co daje prawdziwy zachłyst (wymyśliłem po leśmianowsku, ładnie?), są szczegóły drobniejszych obrazów. Zaczynając od kapitalnego portretu patrioty, kochanka i humanisty (tak go widzę) Vittore Carpaccia i od arcydzieła Lorenza Lotta, na którym młodzieniec patrzy na zwiędającego z rozbrajającym „nie dla mnie nie znacysz” na twarzy. Jest znu-

dzony na mieszczańskim weselu? A może widzi pod plisami świata, jaka jest prawda prawdziwa, i szkoda mu czasu na nas i nasze małe rozmówki, gierki, poczucia ważności? Obie rzeczy są genialne, wstrząsowe, stawiają na głowie porządek świata i światła. Są łaską marszałkowską, która mówi rozgadanej miernocie „dosyć!”.

A „Pieta” Giovanniego Belliniego? Jest Jezus, martwy, stojący pomiędzy wykrzywioną z cierpienia Marią i uczniem. Jezus nie płacze, bo zmarli nie płaczą. Tylko oni nie płaczą. Natomiast na dolnych powiekach matki i Jana zastygł ocean bólu. Łza, która doszła do ostatniego nabrzmienia i za chwilę pęknie, potoczy się po policzkach. W tej banie żaloby można się przegłądać jak w skrajnej powinności współczucia.

Jest „Madonna z Dzieciątkiem” Cosmè Turry, specyficznie – jak zwykle u tego arcy-mistrza – ulepiona z pofałdowanej, miękkiej i lepkiej plasteliny kolorów.

Jest Jacopo Bassano, który w scenę cudu wyprowadzenia wody ze skały wpisał zwierzęta z ich nadludzkimi duszami. Z psem, który przegłąda się w misce,

jak gdyby sztych z samouielbienia narcyzów.

Dziel, jako się rzekło, jest dziewięć, każde ma siłę terapeutycznego gromu i światło oczyszczenia. Nie da się jednak oglądać tej wystawy w obojętności wobec tego, co tuż za progiem sal renesansowych – tworzącej się nowej galerii nabytków. Gdzie króluje Paolo Uccello, niezwykle mocny i oryginalny.

Powiadam: cały kraj powinien iść przed te obrazy na rachunek sumienia przyzwyczajenia, powołania, misji publicznej i prywatnej. Po to są arcydzieła.

Renesans w Polsce. To temat czy hasło do rewolucji? ●

Botticelli opowiada historię

Malarstwo mistrzów renesansu z kolekcji Accademia Carrara, Zamek Królewski w Warszawie, do 18 września
Kuratorzy: dr Mikołaj Baliszewski, dr M. Cristina Rodeschini, scenografia: NArchitekTURA – Bartosz Haduch, Łukasz Marjański, partner: Civita Mostre e Musei

ZAMIAST CUKRU



FOT. SHUTTERSTOCK

Klocki z trzciny cukrowej, klocki dla niewidomych dzieci – Lego uwierzyło, że można zarabiać i być dobrym

Anna Woźniak

Billund to małe miasteczko w zachodniej Danii, dokładnie w środkowej Jutlandii. Około sześciu tysięcy osób, w herbie ręka rycerza trzymająca zakrzywiony miecz, który kształtem przypomina sierp. Herb powstał w XVII w., ale gdyby władze ogłosiły konkurs na nowy symbol miasta, byłby to kłosek Lego.

Bo Billund to Lego. Tu powstała w latach 30. XX w. pierwsza fabryka drewnianych zabawek założona przez Olego Kirka Christiansena. Tu działa park rozrywki Legoland, tu mieszczą się główne siedziba firmy, fabryka klocków i otwarty w kwietniu Lego Campus, centrum dowodzenia i miejsce kreatywnych spotkań.

Tu w końcu mieszkają projektanci, którzy do Billund przyjeżdżają z całego świata. Szefostwo firmy wyszło z założenia, że jeśli klocki trafiają do dzieci na całym świecie, to jej pracownicy także powinni pochodzić z różnych zakątków globu.

W miasteczku wszędzie można dojść na piechotę, widać rodziny z podeksycowanymi dziećmiakami w drodze do Legolandu lub przemykających na rowerach młodych ludzi. Recepcjonistka z hotelu należącego do Lego wytłumaczyła mi, że jadą do pracy. „Czyli do Lego?” – dowcipkuję. „Być może, ale to niejedyna firma w naszym mieście. Mamy jeszcze lotnisko”.

Lotnisko powstało w latach 60. z inicjatywy Godtfreda, syna Olego. Miało służyć podróżom do oddalonej o dwie wyspy Kopenhagi i wysyłaniu klocków za granicę. Jednak kiedy park rozrywki z lokalnej atrakcji (Godtfred zakładał, że będzie go odwiedzało przy dobrych wiatrach 150 tys. osób rocznie) przestoczył się w miejsce pielgrzymek fanów Lego z całego świata, miasto przejęło lotnisko. Dobudowano drugi terminal i powstał międzynarodowy port lotniczy, drugi co do wielkości w Danii. Do Legolandu przyjeżdżają rocznie ponad 2 mln osób.

Ojciec i syn Christiansenowie mieli więc nosa nie tylko do klocków. Nic dziwnego, że mieszkańcy Billund mówią o Olem per father albo father Ole, czyli ojciec lub ojciec Ole.

W tym roku duńska firma obchodzi 90. urodziny. Jak na rodzinny biznes przystało, obchodzi je skromnie, ale efektownie. Dziennikarze zostali zaproszeni do Billund, aby dowiedzieć się o planach firmy. Było też trochę historii, bo bez pomysłów i determinacji Olego i Godtfreda nie byłoby dzisiejszego imperium zabawkowego.

Kilka kroków od Lego House, które można opisać jako wielki edukacyjny plac zabaw, znajduje się nieduży domek. Mieszkał w nim Ole z rodziną, a dziś znajduje się muzeum Lego. Niestety, wstęp do niego mają tylko goście zaproszeni przez firmę. Trochę szkoda, bo obejrzenie pierwszych drewnianych zabawek wyprodukowanych w warsztacie Christiansena czy opakowanie klocków z lat 50. ze zdjęciem słodkiego blondynka, wnuka Olego Kjelda Kirka Christiansena, dzisiejszego spadkobiercy rodzinnej fortuny, mogłoby być nie lada gratką dla fanów Lego.

Zaczął się od drabiny, a może raczej od kaczuszki. Młody Ole jako dziesiąte dziecko biednych farmerów z Jutlandii szukał sposobu na lepszą przyszłość dla siebie i rodziny. Praca na roli średnio mu odpowiadała, za to lubił strugać różne rzeczy z drewna. Został cieślą i założył firmę produkującą drewniane drabiny. Interes kręciło się jako tako, ale kryzys lat 30. dotknął i jego. Do tego w firmie wybuchł pożar. Przybity Ole na pocieszenie wystrugał dla dzieci i trochę dla siebie drewnianą kaczuszkę. Potem podobną zrobił dla dzieci sąsiadów, a później dostał zamówienie na samochód i ciężarówkę. Zabawki Olego szybko stały się popularne w Billund i okolicy. W końcu podjął decyzję, że skupi się tylko na produkcji zabawek.

Klocki, jeszcze drewniane, pojawiły się pod koniec lat 30. Można było z nich zbudować zamek. Im bardziej kręcił się interes, tym bardziej Ole szukał nowych rozwiązań.

W połowie lat 40. usłyszał o nowym, lekkim, ale wytrzymałym materiale – plastiku. W jego fabryce stanęła pierwsza wylaczarka. Przez kilka lat nie mógł się zdecydować, czy produkować drewniane zabawki, czy może już tylko plastikowe. Kolejny pożar pomógł rozwiązać dylemat.

Wówczas firmą od dwóch lat kierował już Godtfred Kirk Christiansen. Jeden z czterech synów Olego nie tylko podzielał pasję ojca do klocków, ale też zdobył wykształcenie techniczne. To Godtfred udoskonalił kłosek Lego i opracował system łączenia plastikowych cegiełek.

Kolejne dekady to intensywny rozwój. Powstały zestawy Lego, serie tematyczne i linie produktowe, jak Duplo dla najmłodszych. Pod koniec lat 90. Lego rozpoczęło

współpracę z marką Lucasfilm i wypuściło pierwszą serię Lego Star Wars. Dziś departament współpracy z innymi markami jest jednym z najprężniej rozwijających się w firmie.

A co Lego ma do zaoferowania swoim miłośnikom na 90. urodziny? Z okazji jubileuszu projektanci wzięli na warsztat dwa kultowe zestawy i je odświeżyli. Decyzja, które to będą, była trudna, bo ile osób, tyle propozycji na kultowy zestaw. Ostatecznie odświeżeniu został poddany zamek rycerski z lat 90. i samolot NASA z końca lat 70.

– Doskonale pamiętam, jak trzymałem go w ręce jako dzieciak. Wydawał mi się taki duży – mówi projektant Mike Psia-ki. – Teraz jest większy, bo i moja dłoń jest większa. Ma więcej szczegółów, ale zostaliśmy przy jego prostej kolorystyce. Każdy, kto na niego spojrzy, od razu będzie miał skojarzenia z modelem z 1979 r.

Koloseum, „Titanic” i Camp Nou. Lego dla dorosłych sprzedają się lepiej niż dla dzieci

Zamek rycerski także jest większy od pierwotnej wersji, ma więcej ruchomych elementów i postaci.

Lego od kilku lat dopieszcza nową grupę klientów – dorosłych, a rozkwit tej linii produktów miał miejsce podczas pandemii. W izolacji do układania klocków brały się nie tylko dzieci, ale też ich rodzice. – W sumie to nie wiemy, czy wcześniej do-rosli też nie układali dziecięcych zestawów – śmieje się Remi Marcelli, szef departamentu nowych pomysłów. Jednak odkąd na rynek weszły zestawy wprost adresowane do dorosłych, czyli Koloseum i „Titanic” (oba mają ponad 9 tys. elementów) czy stadion Camp Nou (ponad 5 tys. elementów), ich popularność rośnie z miesiąca na miesiąc, a niektóre sprzedają się lepiej od zestawów dla dzieci. – Dzieje się tak, dlatego że nasza dorosła oferta jest mała, a ta dla dzieci – ogromna. I znów – nie mamy pewności, że klockami dla dorosłych nie bawią się dzieci – tłumaczy Marcelli. Jedno jest pewne – zestawów z logo Adults Welcome będzie więcej.

Inną świetnie przyjętą nowością są klocki dla niewidomych dzieci Braille Bricks. Wytłoczone litery i cyfry z alfabetu Braille’a pomagają dzieciom w nauce i zabawie. Lego zastanawia się nad zestawami dla niewidomych dorosłych. Od pomysłu do efektu, czyli pudełka nowych klocków, mija zazwyczaj około trzech-czterech lat. W tym czasie pomysł przechodzi w konkretny projekt, projektanci sprawdzają, czy jest możliwy do realizacji. Poprawiają, sprawdzają i znowu poprawiają. Każdy nowy zestaw jest także testowany przez dzieci. Po ich uwagach projekt jest ponownie poprawiany.

– Zapraszamy do zabawy wszystkich, niezależnie od płci, koloru skóry, orientacji seksualnej czy niepełnosprawności – mówi Lee Edwards, odpowiedzialny w Lego za różnorodność i inkluzywność.

Brzmi dobrze, ale o ile liczbę sprzedanych zestawów łatwo policzyć i odhaczyć sukces, o tyle promowanie wartości przy układaniu klocków jest trudne do zmierzania. Ale można zakładać, że to się udaje, skoro z różnorodnością osławiają same klocki. Ludziki mają różny odcień skóry, są takie, które jeżdżą na wózku inwalidzkim czy poruszają się o kulach. Na opakowaniach nie ma (i, co ciekawe, nigdy nie było) wskazówek, że zestaw jest dla dziewczynek albo dla chłopców.

Pytanie, czy układając klocki, dzieci poczują, że bycie innym jest normalne, a nawet piękne. – Myślę, że mamy na to wpływ. Traktujemy to jako nasz obowiązek. Jesteśmy wielkim graczem na rynku zabawkowym, więc po prostu musimy o to zadbać – mówi Edwards. Dodaje, że badania przeprowadzone przez Lego pokazują, że dzieci doceniają różnorodność zabaw i postaci. Dzięki temu mogą łatwiej się z nimi utożsamiać.

A skoro mowa o wartościach, to Lego chce do 2030 r. całkowicie zrezygnować z czegoś, co przyniosło mu dekady temu sukces, czyli z plastiku. Rocznie tony klocków powstają z tworzywa ABS, którego produkcja jest szkodliwa dla środowiska. Ponad 100 osób pracuje nad opracowaniem nowego materiału, równie wytrzymałego i bezpiecznego, ale neutralnego. – Najprawdopodobniej postawimy na materiały z trzciny cukrowej – mówi Tim Brooks, wiceprezes Centrum Zrównoważonych Materiałów i Odpowiedzialności za Środowisko w Lego Group. Na razie firma potwierdziła, że do 2025 całkowicie zrezygnuje z plastikowych torebek, w które pakowane są klocki. ●

JEŚLI NIENAWIDZISZ, ZOSTAŁEŚ

Dostojewski wygrałby z Zabużko proces o zniesławienie

Z **RENATĄ LIS*** ROZMAWIA
GRZEGORZ WYSOCKI

Irzy miesiące wojny z Ukrainą za nami, a pani wciąż czyta Ruskich? – Czytam, czytam, chociaż akurat nie teraz.

Nawiązuję tu oczywiście do „Nadal czytam Ruskich”, pani mocnego tekstu z „Tygodnika Powszechnego” z początku kwietnia.

– Czytanie czytaniem, ale dzisiaj na przykład jechałam Uberem i kierowca miał na imię Koba...

O proszę, jak Stalin.

– Był to jeden z pseudonimów Stalina, tak. Więc ten mój Koba kłął na innych kierowców po gruzińsku, ale nawigację miał gadającą po rosyjsku i do tego słuchał w aucie rosyjskiego szan-sonu. Zanurzenie się na chwilę w tym języku nie było dla mnie przykre.

Z kolei parę dni temu jechałam z emigrantem politycznym z Białorusi, który opowiadał mi, że musiał przełączyć nawigację z rosyjskiego na angielski, bo mu Ukraińcy chcieli obić głowę. Tak się wyraził. Powiedział mi też, że Rosja upadnie, zostanie tylko sześć guberni wokół Moskwy. Koniec Imperium Rosyjskiego staje się wyobraźalny.

A zanim to nastąpi, powinniśmy solidarnie z Ukraińcami bojkotować rosyjską literaturę, kulturę i sztukę?

– To zależy.

No nie, takiej odpowiedzi się obawiałem... Proszę o inną.

– Trudno o inną. Wojna rzuca cię. Zarówno upraszcza, jak i komplikuje sprawę. Zgadza się z Agnieszką Holland, że zaproszenie Kirilla Sieriebriennikowa z jego filmem „Żona Czajkowskiego” do głównego konkursu w Cannes w tym roku było błędem.

Dlaczego?

– Nie dlatego, że Czajkowski odpowiada za zbrodnie w Buczy, tylko dlatego, że władze Rosji dostały dzięki temu platformę do urabiania zachodniej opinii publicznej. I oczywiście umiały to wykorzystać. W czasie konferencji prasowej Sieriebriennikow, w duchu nośnych na Zachodzie idei pacyfizmu i autonomii sztuki, podważył sens sankcji przeciwko Rosji i zrelatywizował kwestię odpowiedzialności za wojnę w Ukrainie, a to może mieć zły wpływ na politykę Zachodu wobec Federacji Rosyjskiej, łagodzić ją. Nie wiem, dlaczego Sieriebriennikow postanowił odegrać taką rolę. Powiedzmy, że czekałki mają swoje sposoby na każdego. My po prostu nie powinniśmy ułatwiać im roboty.

Czyli jednak trzeba bojkotować?

– (*śmiech*) No, uparł się pan! W tym wypadku tak, ale już np. gadanie, że Turgieniew przygotował Buczę, bo w jednym opowia-

daniu opisał, jak głuchoniemy chłop pańszczyźniany na rozkaz dziedziczki zabija swoją wierną suczkę, to potworna demagogia. Myślę, że wolna Ukraina będzie kiedyś dumna z Oksany Zabużko za jej wspaniałe eseje o Czarnobylu i ukraińskiej sztuce, ale o takich jej wypowiedziach jak ta o Turgieniewie będzie wolą zapomnieć. Przecież tak samo ktoś mógłby powiedzieć, że „Antek” Bolesława Prusa – nowelka o Rozalce włożonej do pieca na trzy zdrowaśki – przygotował Polaków do zabijania Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Bzdura.

W eseju, o którym pani mówi, Zabużko pisała: „Czas spojrzeć na rosyjską literaturę nowymi oczami, wszak w dużej mierze to ona utkała »siatkę maskującą« dla rosyjskich czołgów”.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy, że utkała siatkę maskującą. Bunin maskował wyrzutnie Iskanderów „Życiem Arseniewa”, Sofia Parnok zasłoniła krążownik „Moskwa” swoją lesbijską liryką, a Czechow ukrył zrzucone na Charków bomby kasetowe za „Sachalinem”? Nawet Dostojewski ze wszystkim, co złego można o nim powiedzieć, wygrałby z Zabużko proces o zniesławienie.

Czyli nie godzi się pani na taki sposób stawiania sprawy? Czy może raczej: na takie oskarżanie literatury rosyjskiej, ze szczególnym uwzględnieniem jej klasyki?

– Literatura oczywiście ma związek ze środowiskiem, w którym funkcjonuje, wpływa na nie i ono wpływa na nią...

No właśnie!

– ...ale to nie działa w tak prymitywny sposób. Wie pan, mnie się w głowie nie mieści, że ludzie to łkają. I to często ci sami, którzy jeszcze niedawno do upadłego bronili Szymborskiej czy Jasieńskiego przed atakami prawicy.

Doradzałabym odpiąć się od literatury rosyjskiej. Ona jest taka sama jak każda literatura narodowa: wyraża różne punkty widzenia, różne idee i stany ducha. Można się z nią spierać, interpretować ją w bieżących kontekstach, ale obarczanie jej odpowiedzialnością za zbrodnie wojenne to nadużycie.

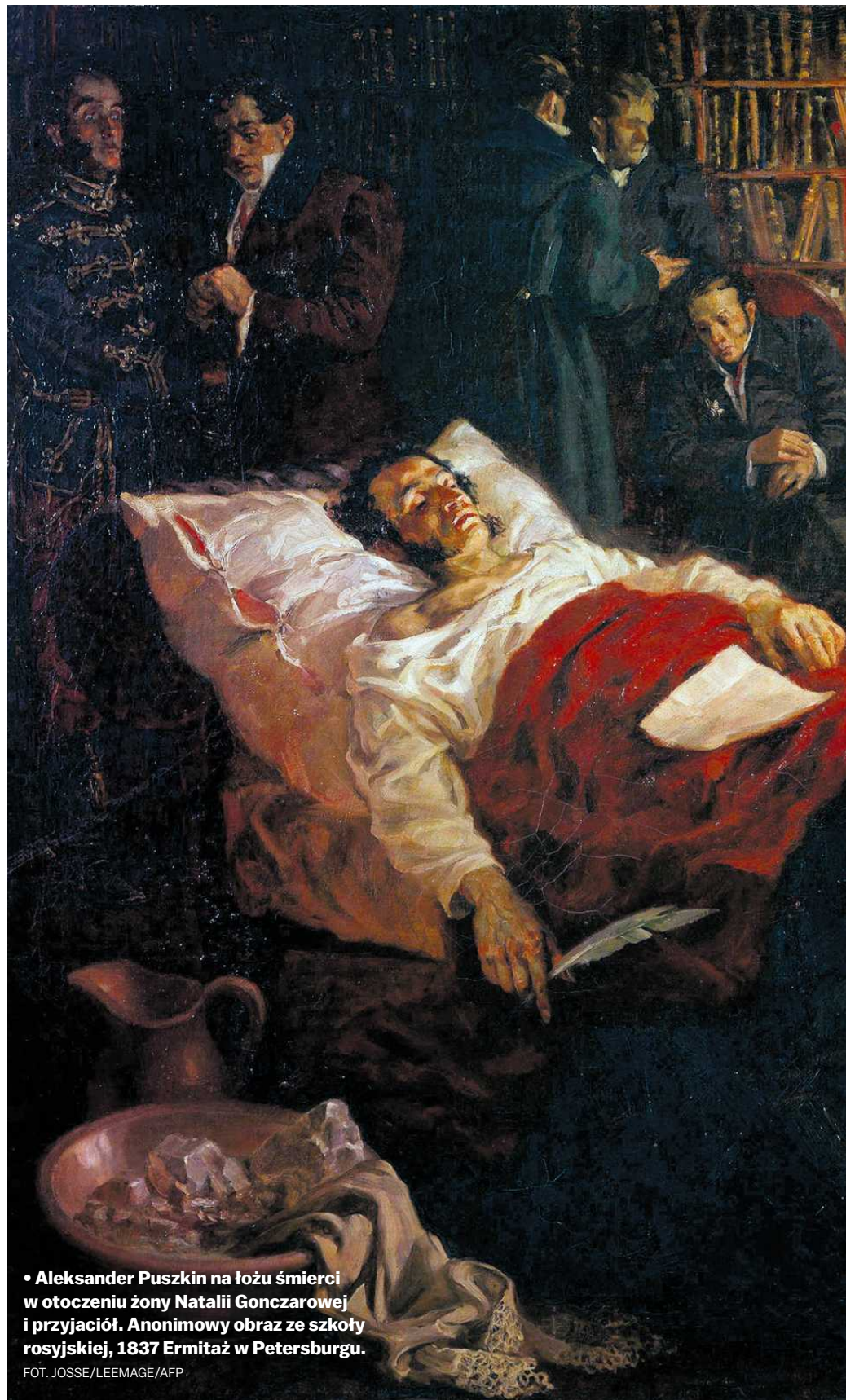
Powinienem tu panią ostro kontrować, bo w przeciwnym wypadku będą mnie linczować razem z panią, ale, niestety, muszę się zgodzić.

– Dziękuję. Miło mi, że nie będę sama płonąć na tym stosie. Ale może dzięki naszej rozmowie ktoś się otrząśnie?

„Włączy myślenie”?

– Dokładnie tak. Bo przecież polscy pogranicznicy, którzy brutalnie wypychają uchodźców na granicy z Białorusią, zetknęli się w szkole z kanonem literatury polskiej tak samo jak żołnierze Federacji Rosyjskiej z Tolstojem. Ale chyba nikt z nas nie będzie tak głupi, by twierdzić, że Mickiewicz z Konopnicką podpalili stodołę w Jedwabnem.

To państwo rosyjskie tka z rosyjskiej kultury siatkę maskującą dla swoich zbrodni. Swoją wizerunek opiera w dużej mierze na renomie Czajkowskiego, Dostojewskiego czy Teatru Bolszoi. I to dlatego dla wielu osób, zwłaszcza spoza Europy Wschodniej, pierwszym skojarzeniem z Rosją na-



• Aleksander Puszkina na łożu śmierci w otoczeniu żony Natalii Gonczarowej i przyjaciół. Anonimowy obraz ze szkoły rosyjskiej, 1837 Ermitaż w Petersburgu.

FOT. JOSSE/LEEMAGE/AFP

dal są balet, muzyka, literatura, a nie Holodomor, Gułag czy Mariupol. I tutaj dywersja jest niezbędna, zdecydowanie warto rozwalić czekistom tę PR-ową operację, ale to nie to samo, co szycie z kałacha do nieżywych pisarzy!

W eseju dla „TP” pisała pani: „Antyrosyjska trauma jest dla nas strefą komfortu. Jeśli z niej nie wyjdziemy, stracimy szansę na rozwój. Ale jak wyjść z niej teraz, kiedy Rosjanie mordują Mariupol i zrzucają bomby na Charków, Lwów, Kijów?”. No i właśnie, jak?

– Na pierwszy rzut oka wydaje się, że to najgorszy czas na przepracowywanie antyrosyjskich stereotypów, lękowych odruchów rozbujanych między poczuciem wyższości i poczuciem niższości wobec

„dzicz” ze Wschodu. Maria Janion dobrze uchwyciła ten nasz dwubiegunowy stosunek do Rosjan w „Niesamowitej Słowiańszczyźnie”...

Ale?

– Ale przecież właśnie w czasie wojny jest szczególnie ważne, żebyśmy zachowali poczucie rzeczywistości. Kiedy pozwalamy naszym uprzedzeniom hulać bez kontroli, kiedy odreagowujemy strach przed Rosją za pomocą nienawiści do Ruskich jako ogólnej idei, sami sobie ograniczamy pole widzenia. Kiedy w słusznym gniewie upraszczamy obraz, tracimy możliwość sensownego myślenia i działania.

Nienawidząc Rosjan, wcale nie pomagamy Ukraińcom w ich wojnie obronnej z Rosją.

TO ZNACZY, ŻE POKONANY



Dlaczego nie?

– Bo wpisujemy się w logikę rosyjskiej agresji, i nie ma znaczenia, że akurat a rebours. Rosja odczłowiecza Ukraińców, a my, robiąc to samo w odniesieniu do Rosjan, stajemy się zombies Putina, bierzemy udział w tej jego nocy żywych trupów. Tę rolę napisał dla nas podpułkownik KGB, paranoik, morderca. Mówiła o tym w swoim „wojennym” eseju rosyjska poetka Maria Stiepanowa, ja też tak myślę.

Oczywiście pole manewru, jakie zostawili nam czekiści, jest niewielkie. Rosyjscy oficjele obłudnie twierdzą, że zachodnie sankcje i pomoc dla Ukrainy to przejawy rusofobii i cancel culture, specjalnie operują tymi pojęciami. Podszycują się pod wartości, których są zaprzeczeniem. Umierają w takie gry, to istota ich systemu. Na tej

samej zasadzie przymusowe deportacje w głąb Rosji nazywają ewakuacją ludności cywilnej itd. Ale to nie znaczy, że mamy dać się im sterroryzować!

A w jakim sensie ta antyrosyjska trauma jest dla nas strefą komfortu?

– Na tę traumę składają się wszystkie złe doświadczenia Polaków z Rosją od rozbiorów do Gulagu. One są rzeczywiste, tu nie ma sporu. Ukształtowały w nas specyficzny, obronny stosunek do Rosjan, który tworzą: negatywne stereotypy jako uogólnienie złych doświadczeń, lęk maskowany pogardą i przede wszystkim zamknięcie, odmowa komunikacji.

Może trudno się nam, Polakom, dziwić?

– Problem polega na tym, że to są doświadczenia poprzednich pokoleń, dziedzinimy je po przodkach. Ta cudza opowieść jest nam przekazywana w rodzinie, szkole, literaturze i kinie. Uważamy ją za naszą mądrość, lubimy się nią szczycić przed „głupim Zachodem”, który nie chce uwierzyć, że Ruscy to azjatycka dzicz, mordercy, złodzieje i kani-bale i że nigdy nie będzie inaczej. Na potwierdzenie mamy w zanadrzu rodzinne opowieści: jak wywieźli wujka Władka w 1939 albo jak rabowali zegarki w 1945.

Ja też mam takie opowieści o swojej rodzinie: mojego ciotecznego pradiadka, zastępcę zawiadowcy stacji w Łapach, wywieźli właśnie w 1939, ślad po nim urwał się pod Archangielskiem, nie ma grobu. Ale nie o to chodzi.

A o co?

– O to, że w tej odziedziczonej traumie umożliwiliśmy się jak w starych papuciach: podśmierdujących co prawda, ale wygodnych. Wszystko o Rosji wiemy z góry i nie musimy się w ogóle wysilać, niczego poznawać ani z niczym konfrontować. Nie zauważamy, że Rosja to nie jest pamięć pokoleń, tylko rzeczywistość – ziemia, ludzie – że mamy ją na wyciągnięcie ręki. Nie mówię, że akurat teraz, w czasie wojny, ale przecież my w ogóle nie jeździmy do Rosji, nie znamy osobiście Rosjan, nie czytamy po rosyjsku. Uważamy się za najwybitniejszych na świecie specjalistów od kraju, którego w rzeczywistości w ogóle nie znamy. Dlatego nazywam tę traumę strefą komfortu.

Wojna w Ukrainie, przerażające obrazy i opowieści, jakie stamtąd płyną, uruchomiła w nas stary skrypt i wzmocniła go. Z satysfakcją przyjmujemy wyniki badań sondażowych z Rosji, jeśli potwierdzają opinię, że Rosjanie to dzicz, ale próby zniuansowania, ukontekstowania obrazu, jaki te wyniki wytwarzają, wywołują w nas wściekłość. Nie chcemy żadnych dysonansów.

Mógłby pan zapytać, po co w ogóle poświęcać tyle uwagi Rosji, po co nad tym pracować, zwłaszcza że znowu mordują, gwałcą i rabują.

Mógłbym, więc pytam: po co?

– Po pierwsze, nasze losy tu, w Europie Wschodniej, są ze sobą splątane i to się już nie zmieni. Moja babcia urodziła się na Uralu, dziadek był Ukraińcem z Kotonopu, tego między Kijowem a Sumami, urodzonym za cara i mówiącym po rosyjsku, pradiadek walczył dla Mikołaja II w wojnie rosyjsko-japońskiej, i tak dalej. Chcę czy nie, Rosja to część mojej rodzinnej historii...

No to już widzę te komentarze internetów: „I wszystko jasne!”...

– Moja babcia z Uralu i ten pradiadek z lejbgwardii, jej ojciec, byli Polakami. Dzięki Rosjanom, swoim sąsiadom, przetrwali w Rosji rewolucję i wojnę domową, a także nie umarli z głodu w drodze powrotnej do Polski.

A po drugie, i ważniejsze, cokolwiek stanie się z państwem rosyjskim w wyniku wojny w Ukrainie, jego mieszkańcy nie znikną z powierzchni ziemi, nadal będą naszymi sąsiadami. Rosja może się rozpaść, tak jak prorokuje ten bia-

łoruski kierowca, ale z Rosjanami nadal będziemy żyć.

Ale czy musimy z nimi żyć w zgodzie? Musimy ich lubić? W obecnej sytuacji wielu z nas wydaje się to zadaniem ponad siły.

– Wiadomo, nic na siłę. Niemniej zawsze warto działać w perspektywie przyszłości – takiej, jaką chcielibyśmy mieć. Nie mówię, że prawdziwa Rosja jest diametralnie różna od naszego stereotypu o niej. Chodzi mi o to, żebyśmy swoją wiedzę czerpali z rzeczywistości, a nie z opowieści o przeszłości. Niby drobna różnica, ale zasadnicza.

Rilke pisał, że rzeczywistości zawsze są powolne i niezwykle szczegółowe. Są takie w przeciwieństwie do stereotypów i uprzedzeń, które „wiedzą” wszystko w jednej chwili. Rzeczywistość rosyjska również jest skomplikowana, szczegółowa i do tego zmienna w czasie. Tylko w kontakcie z rzeczywistością można coś zauważyć i zrozumieć. Trudniej wtedy powiedzieć, że Ruscy coś tam, ale łatwiej znaleźć w Rosji partnerki, partnerów i osoby partnerskie do wspólnej pracy nad lepszym sąsiedztwem. Celowo używam tych trzech form, bo dzisiejsza Rosja to również osoby queer, niezależni artyści, feministki, progresywni aktywiści.

Dodajmy: osoby w Rosji prześladowane.

– Część z nich wyemigrowała, część nie. Bo to nie jest prawda, że ta lepsza twarz Rosji to tylko umarli poeci, siwowłosy Memorial i ewentualnie jeszcze jacyś rozpoznawalni za granicą oponenci polityczni. To również młodzi i bardzo młodzi ludzie, o których w Polsce nikt nie słyszał. Nie dali się sformatować prawosławnym czekistom, mają przyjaciół w Ukrainie. To przede wszystkim o nich myślę, kiedy sprzeciwiam się krzywdzącym uogólnieniom na temat Rosjan. Myślę też o mieszkających w Polsce emigrantach z Rosji, którzy chcą nadal być Rosjanami i dlatego walczą z rosyjskim faszyzmem. Sama też bym nie chciała, żeby ktoś za granicą nienawidził mnie za politykę PiS wobec społeczności LGBTQ albo za to, że polski rząd rozbił Unię Europejską.

Dodam, że sporo wysiłku włożyłam w wyjście z tej odziedziczonej traumy jako polskiej strefy komfortu.

To proszę zdradzić, jak to się robi?

– Jako dorosła osoba od podstaw nauczyłam się języka, sporo jeździłam do Rosji, nie tylko do Moskwy i Petersburga: również na Solowki, nad Bajkał, na Kamczatkę; stale czytam, tłumaczę. Moja książka o rosyjskim poecie-uchodźcy Iwanie Buninie zdążyła wyjść w Rosji tuż przed wojną.

Byłam ostatnio w przychodni przy szpitalu na Lindleya i tam nagle mój rosyjski okazał się przydatny do kontaktu z rosyjskojęzycznym pacjentem z Ukrainy. Tłumaczyłam jego rozmowę z pielęgniarką, ważne sprawy dotyczące przygotowania się do tomografii i całej procedury, tłumaczyłam mu polskie formularze, które musiał wypełnić. Byłam szczęśliwa, że mogę pomóc, ale to jest jednak bardzo dziwne, że w Warszawie tak trudno o kogoś, kto umiałby się dogadać z rosyjskojęzycznym Ukraińcem.

Kilka miesięcy temu pisała pani: „Odkąd trwa wojna w Ukrainie, czuję, że żąda się ode mnie nienawiści.”



➤ **Jakby tylko ona była gwarancją, że stoję po właściwej stronie. Nie mam w sobie nienawiści i nie chcę mieć tak długo, jak to możliwe”. Jak sytuacja wygląda teraz, ponad trzy miesiące od rozpoczęcia inwazji? Wciąż udaje się pani nie mieć w sobie nienawiści?**

– Pewnie trzeba by zdefiniować nienawiść. Mnie się ona kojarzy z chińską maksymą, że jeśli nienawidzisz, to znaczy, że już zostałeś pokonany. W tym sensie nadal jej w sobie nie mam. A jeśli idzie o moją ocenę rosyjskiej wojny w Ukrainie, nic się tu nie zmienia. W swoich zbrodniach wojennych Rosjanie dotarli do końca skali po-

go mężczyzna, który w normalnym życiu prawdopodobnie niczego specjalnie złego by nie zrobił, na wojnie gwałci dzieci, morduje cywili wyglądających jak jego rodzice. I jeszcze raz nie zgodzę się z Oksaną Zabuzko: potrzeba zrozumienia sytuacji sprawcy nie jest równoznaczna ze zwolnieniem go z odpowiedzialności.

Uważam, że za zbrodnie popełniane w Ukrainie powinno odpowiedzieć nie tylko państwo rosyjskie i nie tylko dowódcy wojskowi, ale też każdy z bezpośrednich wykonawców. Jeśli ci żołnierze z Buriacji, Zakaukazia, Uralu, Jakucji i skądkolwiek jeszcze są, nie usłyszą wyroku, nic się

Chyba nikt z nas nie będzie tak głupi, by twierdzić, że Mickiewicz z Konopnicką podpalili stodołę w Jedwabnem

tworności już na samym początku, trudno o dalszy progres w tym regresie...

I dalej, kluczowe chyba słowa: „Nie muszę nienawidzić Rosjan i kultury rosyjskiej, żeby właściwie oceniać ich działania oraz współczuć i pomagać ofiarom. Żeby pomóc tonącemu, nie mogę sama być tą, która tonie”.

– Trzeba zawsze wiedzieć, kim się jest, z jakiego miejsca się mówi. Mój dom nie został zbombardowany, nie zostałam zgwałcona przez bandę pijanych gówniarzy z Buriacji, trupy moich sąsiadów nie leżą na trawniku. Cokolwiek myślę o tej wojnie, jakkolwiek współczuję Ukrainkom i Ukraincom, a współczuję bardzo, nie stoję tam przeciw z nimi ramię w ramię, nie jestem nimi. Wiele razy spotkałam się z opinią, że powinnam nienawidzić Rosjan, bo tego chcą od nas Ukraińcy. To jest kompletne nieporozumienie.

Dlaczego?

– Bo dla Ukraińców dobra jest każda reakcja, która pozwala im przetrwać, z reakcjami Ukraińców nie dyskutuję. Ale my jeszcze mamy grunt pod nogami i właśnie dlatego możemy być oparciem dla uchodźców z Ukrainy. Nie warto tracić tego gruntu na własne życzenie, potrzebujemy go dla siebie i dla nich.

Rozmawiałem o tym wszystkim z Jerzym Czechem, wybitnym tłumaczem z rosyjskiego, i cytowałem mu pani tekst. Spytałem go również o ten przyrzym nienawidzenia Rosjan. Odpowiedział: „Czy dzicz zasługuje na takie uczucie? Ukraińcy nazywają tych żołdatów orkami, a trudno nienawidzić orka. Nienawiść rezerwuję dla państwa, które ich wysłało”.

– Takie słowa jak dzicz, orki, a nawet sołdaci wyrażają emocje. Są ludzie, którzy właśnie tego potrzebują – wyrazić swój strach, pogardę, nienawiść. Można to zrozumieć. Moją główną emocją w związku z wojną w Ukrainie jest smutek, poczucie zdruzgotania oraz niepokój związany z ruchami płyt tektonicznych, na których opierał się świat po drugiej wojnie światowej. Więc moje emocje, gdybym chciała je wyrazić, wymagałyby innych słów.

Ale i tak najbardziej potrzebuję zrozumieć, co się dzieje i dlaczego. Interesuje mnie, z kogo składa się i jak działa armia Federacji Rosyjskiej w Ukrainie, teksty na ten temat czytam z takim samym zainteresowaniem jak wypowiedzi badaczek gwałtów wojennych: Wioli Rębeckiej-Davie, Christiny Lamb. Chcę zrozumieć, dlacze-

w Rosji nie zmieni, ludzie nadal będą mówić „im widnieje” (ros.: ci na górze wiedzą lepiej), rozgrzeszać się ze wszystkiego. W ten sposób całą odpowiedzialność za zbrodnie stalinizmu zrzucili na Stalina, a przecież, jak słusznie zauważył rosyjski pisarz Siergiej Dowłatow, to nie Stalin napisał tamte miliony donosów.

Ale wierzy pani, że takie wyroki będą? Że winni naprawdę zostaną ukarani, poniosą jakąkolwiek odpowiedzialność?

– Obawiam się, że nie. Niestety. Państwo rosyjskie powinno wyjść z tej wojny nie z twarzą, jak chciałby prezydent Macron, tylko z przetrąconym kręgosłupem, wyczerpane militarnie i gospodarczo. Wtedy byłaby szansa na sprawiedliwość, a w rezultacie na głęboką, systemową zmianę. Tymczasem wygląda na to, że w najlepszym razie poświęcą Putina, żeby kolejny raz ocalić „głębokie państwo”. Imperium znowu się przepoczwarzy, ale jego istota się nie zmieni.

Rozumiem, że jest pani przeciwna mówieniu o „dżicy” i używaniu tym podobnych określeń? Czy to jednak bardziej skomplikowane?

– Takie słowa niczego nie wyjaśniają, mnie są niepotrzebne. Rzeczywiście unikam ich, chyba że kogoś cytuję.

Mówi pani o tym żądaniu nienawiści. A czy nie ma pani wrażenia, że w ogóle rusofobia jest dzisiaj powszechnie pożądaną postawą? I że ten, kto choć próbuje się wypisywać z tej nienawiści wobec Rosjan czy – idąc dalej – także rosyjskiej kultury, literatury, automatycznie zostaje sojusznikiem Putina, ruską onucą, agentem Kremla itd.?

– Tak dokładnie jest. Obecnie wszyscy w Polsce poszli w rusofobię na całego, wyżywają się w niej. Dla mnie jest to potworne i śmieszne zarazem, bo wygląda to tak, jakby cała Polska, również ta liberalna, a niekiedy nawet lewicowa, stała się nagle jedną wielką „Gazetą Polską”. W „Gazecie Polskiej” mieli kiedyś taką rubrykę o Rosji...

Wciąż ją mają. Nazywa się „Horror from Real Mordor”.

– Tak, o tym mówię. W zamierzeniu miało to być do śmiechu, ale wie pan, jak to wygląda: anegdota z Instytutu Danych z Dupy mające ilustrować, jaka to dzicz ci Ruscy. Poświęciłam temu kuriozalnemu zjawisku akapit w eseju „Sto czterdzieści milionów prawd o Rosji”, za który parę lat temu dostałam nominację do Grand Press, a dzi-

siaj mam wrażenie, że wszyscy, z niektórymi jurorami włącznie, zamienili się z „Gazetą Polską” na rozum. Co nie oznacza niestety, że „Gazeta Polska” nagle zmądrzała.

Czyli co, wspieramy Ukraińców tak mocno, że aż od tego zgłupieliśmy?

– Cała Polska przeżywa regres do prawicowego szowinizmu. Niektórym wydaje się nawet, że walczą w ten sposób z komunizmem, co jest jeszcze większą aberracją, bo przecież Rosja Putina to konserwatywna tyrania ze snów Ordo Iuris, partii Ziobry i biskupa Jędraszewskiego, kraina pseudowartości wywiedzionych z prawosławia, wdrażanych czekistowskimi metodami doskonalonymi od czasów Iwana Groźnego. To za to kochają Putina chrześcijańscy fundamentaliści na całym świecie. Zaplecze medialne PiS-u jeszcze niedawno rozpisywało się o „rozsądnym konserwatyzmie” Kremla, rosyjskie rozwiązania prawne są przenoszone na polski grunt, a jeden z prawicowych publicystów opublikował nawet tekst pod tytułem „Putin ma rację”. Internet pamięta.

A jak pani w ogóle definiuje rusofobię? Bo zdaje się, że każdy ma tu dzisiaj swoją definicję, podobnie jak z symetryzmem.

– O to pojęcie spieram się często z moim znajomym i on mi zawsze mówi, że owszem, jest rusofobem, ale nie uważa, żeby to było coś wstydliwego, ponieważ on boi się Rosji, a to jest postawa racjonalna.

Pani się nie boi?

– Też się boję. Państwo rosyjskie to potencjalnie groźna struktura polityczno-militarna, trzeba zachować wobec niej czujność.

Uzasadniona rusofobia?

– Ale jest też rusofobia, którą odrzucam: to przekreślanie wszystkiego, co rosyjskie, bo Bucza i Mariupol to też dzieło rąk rosyjskich; zakładanie, że wszyscy Rosjanie są tacy sami, „wystarczy poskrobać”; a także eksterminacyjne fantazje, wcale nie takie rzadkie, że trzeba „ich” odgrodzić murem, a najlepiej zatopić.

A czy tłumacz/tłumaczka z rosyjskiego, specjalista od Rosji czy rosyjskiej literatury, eseista zajmujący się Rosją etc. w ogóle może być rusofobem? Czy powinien być skończonym rusofilem?

– Według mnie czyta się nie po to, żeby coś czcić albo linczować, tylko po to, żeby rozumieć. „Jesteśmy rozmową”. Ja jestem ze szkoły Marii Janion, „Prawdę i metodę” Gadamera dostałam od niej w prezencie. W tym sensie uważam, że w czasie wojny kultura rosyjska jako przedmiot interpretacji mogłaby być dla nas jeszcze ciekawsza. Ale rozumiem, że ktoś nie może jej teraz znieść. Byłoby nie próbował szantażem moralnym wymóc na innych, żeby zachowywali się tak samo.

Słusznie pan przypuszcza, trzeba lubić literaturę rosyjską, żeby się nią zajmować. Nie oszukujmy się: każdy, kto się nią zajmuje, z pewnością ją lubi, choć może teraz niektórym głupio się przyznać. Co nie oznacza, że jesteśmy zaślepieni czy bezkrytyczni.

To znów zacytuję Jerzego Czecha: „»Rusofobia« to pojęcie z repertuaru Putina, Ławrowa, Zacharowej i całej tej szajki. Oni rozumieją je tak: Jeśli komuś nie podoba się cokolwiek z tego, co robią (np. że ich żołnierze mordują, gwałcą i okradają cywili), to znaczy, że jest rusofobem. (...) Co gorsza, większość mieszkańców tej propagandzie ulega, tak jak kiedyś klepiący biedę ludzie radzieccy wierzyli, że na Zachodzie żyje się jeszcze gorzej. Ale to ich wybór, ja zaś nie zamierzam tłumaczyć się z rusofobii”.

– Na tym polega perfidia czekistów: przejmują pojęcia z oświeceniowego języka wolności i odwracają ich sens. Aleksander Wat uważał, że jest w tym nawet coś demonicznego. Od czasów Stalina specjalizują się w takich operacjach. Podobnie działa Ordo

Iuris w odniesieniu do języka emancypacji: biorą sobie z niego np. pojęcie dyskryminacji i zaczynają używać go w odniesieniu do katolickiej większości.

Nie znaczy to, że rusofobia w Polsce nie istnieje. Możemy zrezygnować z tego słowa, ale nasz wewnętrzny problem z Rosją od tego nie zniknie. Nie zamierzam tak łatwo oddać pola czekistom. Chcę rozmawiać o Polakach i Rosjanach na własnych warunkach.

Ale czy nie jest tak, że o swojej miłości czy fascynacji do rosyjskich arcydziel literatury, filmu, opery etc. nie powinno się dzisiaj mówić głośno? Na zasadzie: możesz sobie czytać Tolstoja czy Dostojewskiego, ale najlepiej w domu po kryjomu?

– Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Rosjanie ustawili w podbitym Chersoniu, był wielki baner z portretem Puszkina i jakimś jego wspomnieniem z pobytu w tym mieście. Na tym świeżym przykładzie widać, w jaki sposób od stuleci używają swoich wybitnych twórców do kolonizacji podbitych terytoriów.

No właśnie, i chyba to mają na myśli takie osoby jak cytowani tu Zabuzko czy Czech?

– Puszkina miał oczywiście imperialne odruchy, znalazły wyraz m.in. w wierszu „Oszczyrcem Rosji”, ale to jeszcze nie powód, żeby o nim nie rozmawiać, nawet w czasie wojny. Jeśli ostrożność jest wskazana, to właśnie ze względu na to, jak Rosja instrumentalizuje własną kulturę do celów imperialnych. Mówiąc wprost: można rozmawiać o kulturze rosyjskiej również teraz, ale trzeba robić to tak, żeby czekał się nie mogli tego wykorzystać. Co w praktyce oznacza, że czasami lepiej się powstrzymać, jak z tym Sieriebriennikowem w Cannes.

Jasne, ale może to, co od miesiąca dzieje się w Ukrainie, to po prostu najgorszy możliwy czas na dyskusję o rosyjskiej kulturze i sztuce? Mam gdzieś w tyle głowy ten lęk, że zadaje pani serię niepoprawnych, nieprzyzwoitych, wręcz nielegalnych pytań...

– Nie pamiętam, kto zaczął inbę o „wielkiej kulturze rosyjskiej”, ale na podstawie tego, jak ten temat funkcjonuje, obstawiam, że musiała to być akcja rosyjskich trolli.

Robi się coraz bardziej gorąco, bo przynajmniej z lektur znamy wiele osób – pośród nich również Jerzy Czech – które uważają dokładnie odwrotnie. Czyli że właśnie obrona tej wielkiej rosyjskiej kultury i sztuki, literatury i baletu dzisiaj to wzorcowe wpisywanie się w putinowską propagandę. Kompletnie się pogubiłem!

– Podam panu przykład. Mam znajomych, z którymi przed wojną bardzo się lubiliśmy, zgadzamy się też dzisiaj co do oceny rosyjskich działań w Ukrainie, ale kiedy żądają ode mnie, żebym uznała, że cała kultura rosyjska jest toksyną, którą powinno się zamknąć w betonowym sarkofagu jak uszkodzony reaktor atomowy...

....odmawia pani?

– Oczywiście, nie mogę czegoś takiego uznać. To samo mam, gdy słyszę, że przyzwoty człowiek nie powinien teraz słuchać Rachmaninowa, o czytaniu Brodskiego nie wspominając. W efekcie okazuje się, że jestem wrogiem...

Ruską onucą?

– Niemalże, choć tego określenia jeszcze pod swoim adresem nie usłyszałam. Zapewne po tej rozmowie doczekam się i tego. Przez tę absurdalną inbę o kulturze rosyjskiej z ludzi, którzy wspólnie stali przeciwnikami faszystowskiej Rosji, nagle zrobili się dwoma skłóconymi stronnictwami. Zupełnie jakby ktoś praktykował na nas doktrynę Gierasimowa.

Czyli?

– Chodzi o tego rosyjskiego generała, który wymyślił, że najlepszą strategią wojenną

będzie sianie chaosu w państwach uznanych za nieprzyjacielskie, z wykorzystaniem m.in. mediów społecznościowych.

Myślenie jeszcze nikomu nie zaszkodziło, tym bardziej w czasie wojny, dlatego dyskusje o rosyjskiej kulturze, literaturze, sztuce nie powinny być eliminowane z życia. I wcale nie mam na myśli tylko Czechowa.

To kogo? Może Zachara Prilepina, utalentowanego pisarza i narodowego bolszewika gorliwie popierającego Putina?

– A dlaczego nie? Uważam, że dobry, nuciący tekst o Prilepinie mógłby się teraz ukazać, bo ta ohydna postać ma w Polsce wielbicieli, więc może warto, żeby coś takiego przeczytali? Jerzy Czech w rozmowie z panem dobrze go scharakteryzował, ja bym dorzuciła do tego portretu jeszcze mizoginię, za którą tak wspaniale wychłostała Prilepina Galina Rymbu, rosyjska poetka ze Lwowa, feministka, z pochodzenia Mołdawianka, w swojej „Wielkiej Literaturze Rosyjskiej”. Poemat kończy się mocnym przesłaniem skierowanym m.in. do Prilepina: „Tobie pizda”. Kiedy poemat Rymbu pojawił się w sieci, znajoma tłumaczka z Moskwy wpadła na genialny pomysł, żeby tę finalną kławę-pro-roctwo zapisać w językach wszystkich narodów kolonizowanych przez Rosję. Gender plus dekolonizacja to jest to!

jącej się od Rosji, i Nawalny w wypowiedziach o aneksji Krymu w 2014 czy o Gruzji w 2008 – a to wszystko są przecież nasze ikony wolnej Rosji. Powinniśmy przeprzeć nasze mity o Rosjanach, zrewidować je. Może nas to tylko wzbogacić. Pod warunkiem oczywiście, że nie będziemy czytać literatury rosyjskiej zamiast literatury ukraińskiej, gruzińskiej czy innych literatur od stuleci tłumionych przez Rosję.

To ja raz jeszcze, uparcie: czy cała ta dyskusja, cała nasza rozmowa, nie jest dzisiaj nieprzyzwoita? Internetowy „Dwutygodnik” opublikował niedawno poruszający tekst ukraińskiego pisarza Andrija Lubki pt. „Wojna, nie czas na literaturę”.

– To wspaniały tekst, jeden z najważniejszych, jakie się ostatnio ukazały. Lubka mówi, że kiedy rosyjskie czołgi rozjeżdżają ci życie, kiedy rakiety rozrywają ci ciało, nie będziesz się przecież zajmować literaturą. I ma rację. Ale trochę dalej od linii ognia czy nawet między atakami już niekoniecznie tak jest. Serhij Żadan, żyjąc w Charkowie, pisze na Facebooku swój dziennik wojenny. Olga Bergholz w oblężonym Leningradzie czytała „Wojnę i pokój”. Wat w celi na Łubiance chłonał „W poszukiwaniu straconego czasu”, nie z nudów i nie po to, żeby uciec od rzeczywistości: powieść Prousta pomogła mu zrozumieć uwięzienie, przeżyć je.

Rosja Putina to tyrania ze snów Ordo Iuris, Ziobry i Jędraszewskiego

I to właśnie ten Prilepin, przemawiając niedawno ze sceny podczas koncertu na Łużnikach, który był de facto wiecem poparcia dla rosyjskiej inwazji, powiedział: „Puszkina, Gogol i Dostojewski dziś byliby tutaj z nami”.

– A Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił. Prilepin publicznie chępił się mordowaniem Ukraińców w Donbasie, więc to go stawia poza nawiasem jakiegokolwiek rozmowy.

Co innego Siergiej Lebiediew, autor wspaniałej powieści „Granica zapomnienia”, badacz i dekonstruktor rosyjskiego kultu Pobjedy. Po wybuchu wojny opublikował w zachodniej prasie tekst, w którym zwraca uwagę na przenoszony w Rosji z pokolenia na pokolenie „imperialny rasizm”, praktycznie nietknięty przez krytyczną refleksję. To jest właśnie to, co wybiło szambem u Puszkina, w wierszu Brodskiego „Na niepodległość Ukrainy”, w wojennej mowie Putina. W ujawnieniu i dekonstrukcji tego rasizmu Lebiediew widzi najważniejsze zadanie dla Rosjan takich jak on.

Wyciągniemy z tego lekcję i dla Polaków?

– Tak, my też moglibyśmy czytać literaturę rosyjską w takim kluczu, bo przecież nadal hołubimy mit o „przyjaciółach Moskalach” walczących z caratem, Stalinem czy Putinem, kochamy te wyobrażenia. Nie dostrzegamy, że ani męczeńska śmierć w łagrze, ani bunt wobec samodzięrzawia w dowolnej historycznej formie wcale nie są jeszcze gwarancją, że dany pisarz czy aktywista rosyjski nie ma w sobie tego imperialnego rasizmu, o którym mówi Lebiediew. Miał go w sobie i Lermontow eksterminujący rdzennych mieszkańców Kaukazu, i Solżenicyn ze swoją symboliczną podróżą z Władowostoku do Moskwy, i Brodski bluzgający jak ostatni żul przeciw Ukrainie oddziela-



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

* Renata Lis

• Pisarka i tłumaczka. Autorka książek: „Ręka Flauberta”, „W lodach Prowansji. Bunin na wygnaniu”, „Lesbos” (wszystkie ukazały się w wydawnictwie Sic!)

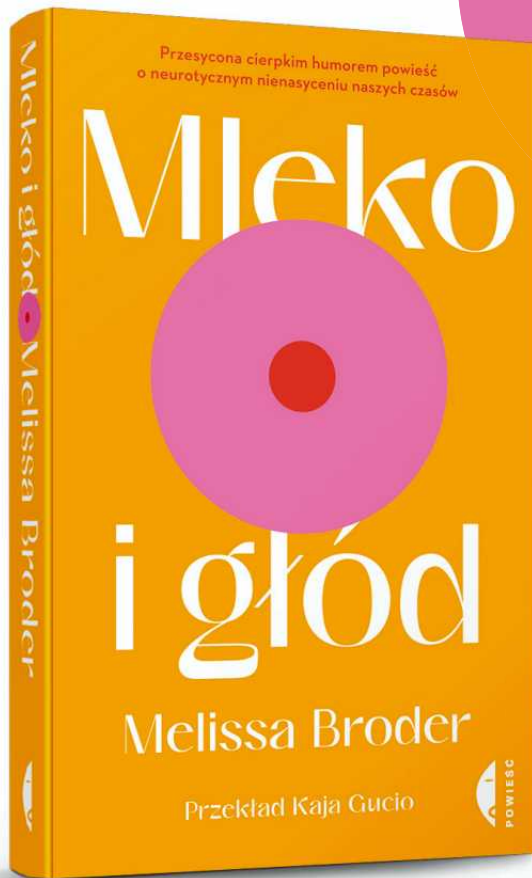
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki
„Mleko i głód” Melissy Broder



Mleko i głód to prowokacyjna, odważna powieść o naszych pragnieniach i potrzebach.

Melissa Broder bezpruderyjnie pisze o pożądaniu, apetycie i seksie, całość doprawiając sarkazmem i licznymi odniesieniami do kultury i religii.

To także ważny głos we wciąż aktualnej dyskusji o kobiecych ciałach, zmieniającym się kanonie piękna i o tym, ile jesteśmy w stanie poświęcić, by czuć się akceptowani przez otoczenie.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Mleko i głód” Melissy Broder
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

LAPTK22

Aby skorzystać z kodu:

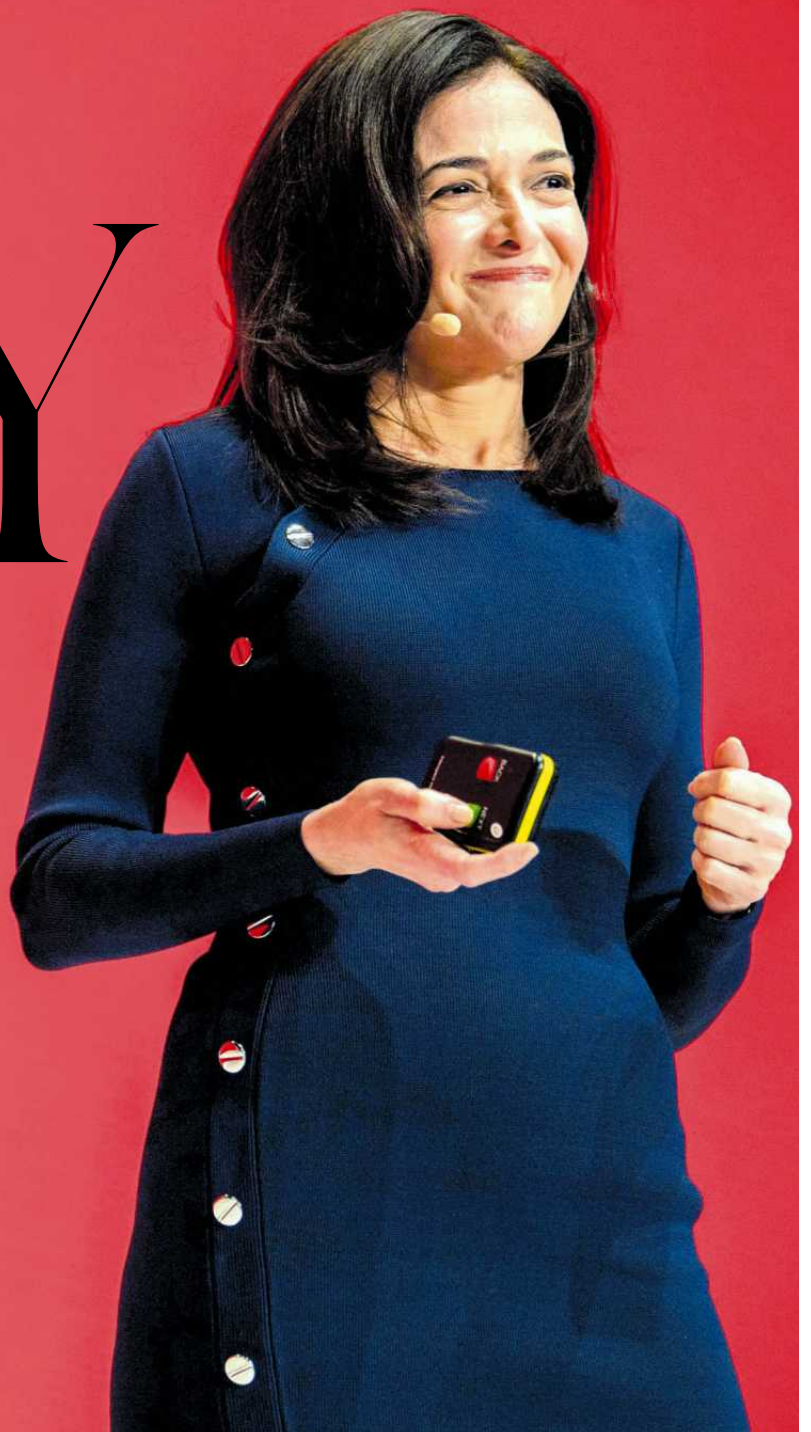
- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176931

TYFUSOWĄ MARY

...która przenosi wirusa kapitalizmu inwigilacji.
Tak nazwano Sheryl Sandberg, gdy została wiceprezeską Facebooka



Katarzyna Wężyk

Piękne przyjaźnie rodzą się nie tylko na pustynnych lotniskach, z samolotem z Ingrid Bergman znikającym za horyzontem. Ta miała swój początek na świątecznej imprezie u Dana Rosen-sweiga, zawodowego dyrektora z Krzemowej Doliny, w grudniu 2007 roku. Mark Zuckerberg, którego uczelniana aplikacja do oceny atrakcyjności koleżanek – boys will be boys, jak mawiano w 2003 – właśnie dostała pierwsze poważne inwestorskie pieniądze i rosła jak na drogach, potrzebował kogoś, kto ogarnie wszystkie te nudne korporacyjne sprawy typu „ale jak właściwie nasz genialny serwis ma na siebie zarabiać”. Sheryl Sandberg od siedmiu lat rozkręcała sprzedaż w Google’u i zaczynała się rozglądać za czymś nowym. Zuckerberg się przedstawił, zaiskrzyło – „godzinę przegadaliśmy przy drzwiach” – i umówili się na kolejne spotkania, by porozmawiać o szczegółach współpracy.

Nie była to oczywista przyjaźń. Zuckerberg miał 23 lata, irytującą aurę wunderkinda, który zna się na potencjalnie bardzo zyskowej i przyszłościowej dziedzinie, więc może być dowolnie arogancki, i nigdy nie zarządzał żadną większą organizacją. Sandberg jest od niego o 15 lat starsza i całe życie była hiperambitną grzeczną dziewczynką: same szóstki na świadectwie, małżeństwo tuż po studiach, wpływowi mentorzy, no i świadomość, że kobieta, żeby dojść na szczyt, musi pracować dwa razy ciężiej

niż mężczyzna – i nigdy, powtarzam nigdy, nie pozwalać sobie na arogancję. Garderoba Zuckerberga sprowadzała się do bluz z kapturem z logo Harvardu i amerykańskiej wersji kłapek Kubota, Sandberg wyglądała, jakby nawet spała w spódnicach za kolano, obcisłych, ale nie za obcisłych sukienkach tubach, kaszmirowych kardiganach i szpilkach. Jego tzw. umiejętności społeczne nie odbiegają od stereotypu programisty, ona emanuje profesjonalnym ciepłem, pamięta imiona i perfekcyjnie kontroluje przekaz. Mark pracuje po nocach, Sheryl o piątej rano zaczyna odpowiadać na e-maile.

Ale po sześciu tygodniach spotkań – „to było jak randkowanie”, powiedział „New Yorkerowi” mąż Sandberg Dave Goldberg – Zuckerberg znalazł swoją COO (chief operating officer, szefową operacyjną), numer 2 w Facebooku. Miała odejść po pięciu latach – na stanowisko CEO innej dużej firmy ewentualnie do polityki – zostanie czternaście. A gdy ogłosi, że odchodzi, media będą pisać o jej „kontrowersyjnym”, a w najlepszym razie „skomplikowanym” dzieciństwie.

Sheryl Sandberg urodziła się 28 kwietnia 1969 roku w Waszyngtonie. Jej ojciec Joel był okulistą, matka Adele rzuciła pracę nauczycielki, by zająć się wychowaniem trójki dzieci. Sheryl nie sprawiała rodzicom kłopotów: uczyła się świetnie, zero nastoletnich ekscesów, rozważa i konsekwencja. Adele wspominała, że córka zbuntowała się raz: powiedziała, że matka nie jest gotowa pozwolić jej dorosnąć. Adele przyznała jej rację.

Studia? Oczywiście te najlepsze: Harvard, dyplom z ekonomii (pierwsza na roku), potem MBA. Na studiach założyła grupę Women in Economics and Government, ale nie dlatego, że była wtedy feministką – na przełomie lat 80. i 90. feministki to były te sfrustrowane, nieogłębione nóg, psujące zabawę brzydulo, których nikt nie lubi – ale, jak mówiła, po prostu dlatego, że chciała, żeby więcej kobiet robiło dyplomy z nauk politycznych i ekonomii. Magisterkę – o tym, jak ekonomiczna nierówność przyczynia się do przemocy domowej – pisała u Lawrence’a Summersa: chodziła na jego wykłady i siedziała cicho jak myszka, ale na egzaminach dostawała pierwsze lokaty. Summers pamiętał o zdolnej studentce i gdy w 1991 roku został głównym ekonomistą Banku Światowego, zatrudnił ją w researchu. Bank akurat zastanawiał się, czy warto umarzać długi Rosji. Summers zlecił Sandberg zbadanie tematu, a ta, zamiast ruszyć do biblioteki, zadzwoniła do Richarda Pipesa, autora bestsellerów o rosyjskiej historii, zadała mu to samo pytanie, a w raporcie spisała wnioski. Szef był pod wrażeniem.

W 1995 roku Summers dostał pracę w administracji Clintona – najpierw wice, potem sekretarza skarbu – i znów pociągnął zdolną, pracowitą jak mróweczka i bezwzględnie lojalną Sandberg za sobą. Zdążyła ona w międzyczasie wyjść za mąż – zgodnie z radą mamy, tuż po studiach, bo potem wszyscy odpowiedni facci są już zajęci; nie pojechała też na stypendium do Europy, bo tam, uznała, trudniej o odpowiedniego kandydata – i się po roku rozwieść.

Nie miała jeszcze trzydziestki, gdy została szefową sztabu jednego z najważniejszych państwowych urzędników. Na zebraniach zawsze siadała przy stole konferencyjnym i do tego samego zachęcała koleżanki, które częściej wybierały krzesła stojące przy ścianie.

Gdy w 2001 roku do Białego Domu wprowadził się republikanin George W. Bush, Sandberg zmieniła sektor publiczny na prywatny, a Waszyngton na Dolinę Krzemową. Skusił ją Google („nie bądź idiotką, to jest rakietą, wskakuj na pokład”, przekonywał jego szef Eric Schmidt), wtedy jeszcze nie synonim wyszukiwarki, tylko trzyletni start-up bez biznesplanu. Została wiceprezeską od sprzedaży i operacji online, a jej dział szybko zaczął przynosić zyski. „Zmieniła internetową wyszukiwarkę w wiodący cyfrowy biznes reklamowy”, podsumował „Guardian”.

A potem przeszła do Facebooka i zrobiła to samo. Shoshana Zuboff nazwała Sandberg nową „Tyfusową Mary”, która przenosi wirusa kapitalizmu inwigilacji.

Po sześciu tygodniach rozmów Zuckerberg i Sandberg ustalili podział obowiązków. On miał skoncentrować się na tworzeniu produktu, ona przejąć dziedziny, którymi kreatywny geniusz nie miał ochoty się zajmować: sprzedaż reklam, zarządzanie, komunikacja, zatrudnianie i zwalnianie oraz lobbying. Oprócz bardzo szerokiej jak na numer 2 władzy zaproponował też bardzo dobre pieniądze. Sandberg chciała je z miejsca przyjąć, ale szwagier poradził, żeby tego nie robiła: żaden mężczyzna na jej pozycji nie

wziąłby pierwszej oferty. Powiedziała więc Zuckerbergowi, że skoro firma potrzebuje jej zdolności negocjacyjnych, kiepsko by je zareklamowała nie negocjując wynagrodzenia. Ostatecznie dostała udziały w Facebooku – gdy wszedł na giełdę, zrobiły z niej miliarderkę – ale bez miejsca w zarządzie. Zuckerberg tłumaczył później, że „mamy mały zarząd” i „nie patrzymy na pleć” (pewnie dlatego zasiadali w nim sami mężczyźni), a Sandberg lojalnie zapewniała, że nie jest to dla niej priorytet.

38-letnia COO wchodziła do klubu dużych chłopców: dwudziestoparoletnich, głównie białych mężczyzn, którzy bardzo szybko zaczęli zarabiać bardzo duże pieniądze. Odnieśli sukces dzięki zdolnościom, wykształceniu i ciężkiej pracy – i przywilejowi, bo czarne dziewczyny z biednych rodzin jakoś tak rzadziej studiują na Harvardzie, ale o tym merytokratyczna legenda wygodnie zapomina – więc uważali, że nie tylko pozjadali wszystkie warte zjedzenia rozumy, ale i zmieniają świat. Sandberg miała być, jak ją z uporem godnym lepszej sprawy nazywały media, „dorosłą w pokoju”, odpowiedzialną mamuszką/nauczycielką, która powstrzyma niesfornych chłopaków, jeśli zapędzą się za daleko, zaprowadzi reguły i posprząta, gdy nabroją. Młodzi geniusze w kłapkach, w przeciwieństwie do dorosłych kobiet w ołówkowych spódnicach, mają bowiem wizę – a raczej: Wizję – i nie zawsze są praktyczni.

Kulturę panującą w firmie najkrócej podsumowuje pierwsze motto Facebooka: „Move fast and break things”, „działaj szybko i psuj rzeczy”. Zuckerberg zmienił je w 2014 roku, gdy zaczynało się okazywać, że jedną z tych zepsutych rzeczy jest prywatność. Za to ostatnie w znacznej mierze odpowiada Sheryl Sandberg.

Zuckerberg zatrudnił ją po to, by platformę, która w rubryce „misja” deklarowała „danie ludziom możliwości dzielenia się i sprawianie, że świat będzie bardziej otwarty i połączony”, zmieniła w dojną krowę dla inwestorów. Szybko uznała, że możliwości są dwie: albo oplata subskrypcyjna, albo reklama. Zuckerberg tę pierwszą odrzucił – Facebook przecież ma być agorą, tylko taką lepszą, bo obejmującą cały glob, ma budować porozumienie ponad podziałami i pokój na świecie, a dostęp do agory nie powinien zależeć od zasobności portfela. Sandberg postawiła więc na reklamę. Możliwość umieszczania na Facebooku opinii o czwartym sezonie „Stranger Things” i wrzucanie zdjęć z wakacji na Instagrama było i jest darmowe, a to oznacza, że towarem jesteśmy my, użytkownicy. Placimy, tworząc darmowy контент w postaci statusów, komentarzy i fotek, ale też dając serwisowi dostęp do naszych preferencji, zachowań i społecznych sieci. A platforma sprzedaje te dane reklamodawcom.

Pierwsze lata w firmie to pasmo sukcesów jej dyrektorki operacyjnej: już po dwóch latach Facebook zaczął przynosić zyski, po trzech liczba jego użytkowników wzrosła dziesięciokrotnie, do 700 milionów. Media nazywały Sandberg „ewangelizującą networkerką” i „królową skalowania” (zmieniania start-upów w giganty). W pionierskich czasach mediów społecznościowych mogła z kamienną twarzą i profesjonalnym entuzjazmem w głosie zapewniać, że „próbujemy zmieniać świat i to się nam udaje” czy „mamy naprawdę duże ambicje, aby uczynić świat bardziej otwartym i przejrzystym miejscem. Definiujemy nasze aspiracje bardziej w kategoriach tej misji niż w kategoriach dążeń firmy”, a dziennikarze cytowali to bez ironicznego komentarza.

Jej pozycję wzmocniło wystąpienie na Ted Talk w 2010 roku – jego szkic wysłała Glorii Steinem; nestorka drugiej fali feminizmu była zachwycona – do dziś obejrzało ponad 11 milionów razy. Sandberg zatyłowała je „Dlaczego mamy tak niewiele kobiet-liderek”. Problem, uznała, tkwi w sa-

mych kobietach: otóż za szybko się podają. Rozwiązania, uznała, są trzy: siadaj przy stole (czyli myśl jak mężczyzna: raczej przeceniaj swoje kompetencje, niż ich nie doceniaj), niech twój partner będzie prawdziwym partnerem (domowe obowiązki dzielcie równo) oraz „nie odchodź, zanim odejdiesz” (nie rezygnuj z kariery, kiedy zaczynasz myśleć o dziecku). „Myślę, że świat, w którym połowa państw i połowa firm będzie kierowana przez kobiety, będzie lepszym światem”, zakończyła.

Powyższe tezy rozwinęła trzy lata później w „Lean In” – polski tytuł „Włącz się do gry” – i wywołała globalną dyskusję: czy

■
Pierwsze motto Facebooka brzmiało: „Działaj szybko i psuj rzeczy”. Zuckerberg zmienił je w 2014 roku, gdy zaczynało się okazywać, że jedną z tych zepsutych rzeczy jest prywatność

Sandberg jest nową twarzą feminizmu? Kobieta, która daje nam przyzwolenie na bycie „rozpychającymi się babami”? Ikona postfeminizmu? A może neoliberalizmu opakowanego w feministyczny papierek i sprzedawanego w pakiecie ze szpilkami i tuszem do rzęs? Promuje równość i kobiecą ambicję czy głównie siebie?

Sandberg trafnie zidentyfikowała mentalne przeszkody blokujące kobietom drogę do awansu: nieśmiałość, strach przed publicznymi występami, syndrom oszustki, brak przekonania, że awans – i wszystko inne – mi się po prostu należy, bo jestem fantastyczna, niedoceniając własnej wartości. Słusznie też zauważa, że sukces i bycie lubianym są „pozytywnie skorelowane u mężczyzn i negatywnie skorelowane u kobiet”. Ale nawet jeśli owe bariery i uprzedzenia wynikają z patriarchy – socjalizacji do wyglądanania, nieodzywiania się, seksizmu na uczelni i w pracy, systemowych przeszkód w łączeniu macierzyństwa z karierą – rozwiązywanie, uznała Sandberg, jest indywidualistyczne, nie kolektywne: to ty masz się zmienić, nie system dający fory mężczyznom. „Dopóki kobiety nie są tak ambitne jak mężczyźni, nie osiągną tyle, co oni”, mlotkowała. Chcesz wejść na szczyt, musisz nauczyć się grać w męską grę, pamiętając jednak o ograniczeniach własnej płci: uśmiechaj się, nie bądź agresywna, nie jęcz, mów „my”, nie „ja”, a negocjując awans, nie przypominaj szefowi o dysproporcji kobiet na wysokich stanowiskach, tylko o własnych kompetencjach. I pamiętaj, że decyzją, która ma największy wpływ na twoją karierę, jest „wybór właściwego partnera”. „To jak negatyw Mae West: złe dziewczyny tracą awanse, a dobre dziewczyny idą tam, gdzie chcą, zdaje się mówić”, podsumowała publicystka „Guardiana” Helaine Olsen.

Sandberg to bogini samopomocy, wcielona Ideologia Americana, wersja żeńska: mniej arogancka, tak samo maniakalnie przekonana, że wszystko – OK, niemal wszystko, ale nawet z niespodziewanych tragedii możesz wyciągnąć pożyteczną lekcję – zależy od ciebie. I że jej problemy, wyzwania i rozwiązania są uniwersalne: dopiero w kolejnych wydaniach książki zaczęła dostrzegać kobiety niebiałe, nieheteroseksualne i takie, które nie planują mieć dzieci.

Wiceszefowa Facebooka promowała bardzo wygodną dla status quo tezę, że choć kobiety wciąż mierzą się z instytucjo-

nalną dyskryminacją, to jednak „o wiele za często w tej rozmowie skupiamy się na obwinianiu innych, a nie dość na osobistej odpowiedzialności”. Zmianie systemu czy nawet kwestionowanie go nie ma sensu: dużo skuteczniejsze jest dostosowanie się i granie na siebie („Rozumiem paradoks doradzania kobietom, aby zmieniły świat poprzez przestrzeganie jego stronniczych zasad i oczekiwań. Wiem, że to nie jest idealna odpowiedź: to środek do pożądanego celu”). Parytety, uważała, są niepotrzebne: przecież nie chcesz, żeby się ludzie zastanawiali, czy dostałaś tę pracę, bo jesteś najlepszą osobą na to stanowisko, czy dlatego, że trzeba było wypełnić kwoty. „Jeśli nie wierzysz w istnienie szklanego sufitu, nie musisz”, radziła; strukturalne problemy to zasadniczo wymówka dla tych, którym nie chce się nad sobą pracować. Wreszcie, nie ma co rozpamiętywać tych wszystkich okazji, gdy padłaś ofiarą seksizmu, to tylko niepotrzebnie cię zdoluje, lepiej zając się czymś pożyteczniejszym, na przykład samorozwojem.

Problem w tym, że szklany sufit magicznie nie zniknie tylko dlatego, że w niego nie wierzysz, podobnie z seksizmem, molestowaniem i mobbingiem. A skupienie się na samorozwoju zamiast rozliczeniu sprawców takiego zachowania sprawia, że jest ono bezkarne i się powtarza – COO już pewnie nie dotknie, ale młodsza programistka dalej musi się z nim zmagać. „Lean In” to nie feministyczna rewolucja, tylko neoliberalny poradnik, jak przebić się w patriarchalnej kulturze, nie zmieniając tej kultury. Jak być wyjątkiem potwierdzającym regułę, maskotką w męskim klubie. Jak polityczne kwestie redystrybucji władzy i równości płci sprowadzić do osobistych problemów, które rozwiąże zastrzyk wiary w siebie i tupet.

Sandberg słusznie zauważa, że kobiety ogranicza lęk, że jeśli odniosą sukces, to nie będą lubiane. Nie widzi, jak bardzo ogranicza ją sama: „Lean In” to dokładnie ten rodzaj feminizmu, który lubią mężczyźni u władzy: nie zmusza ich do wprowadzenia żadnych zmian, za to całą odpowiedzialność za w miarę równą reprezentację płci zostawia na barkach samych kobiet.

■
Sandberg słusznie zauważa, że kobiety ogranicza lęk, że jeśli odniosą sukces, to nie będą lubiane. Nie widzi, jak bardzo ogranicza ją samą

W 2015 roku Sandberg była na szczycie. „Lean In” sprzedała się globalnie w ponad czterech milionach egzemplarzy, Zuckerberg wreszcie wpuścił ją do zarządu Facebooka, „Forbes” umieścił na liście najpotężniejszych kobiet świata, a waszyngtońskie plotki głosiły, że w administracji Hillary Clinton – to, że sekretarz stanu wygra wybory z tym klaunem Donaldem Trumpem było wtedy pewne – czeka na nią ciepła posada. I wtedy, nieoczekiwanie, na atak serca zmarł mąż Sandberg. Małżeństwem byli od 11 lat, mieli dwójkę małych dzieci. Do pracy wróciła dziesięć dni po pogrzebie. Po miesiącu napisała na Facebooku o swojej żalobie. A po dwóch latach wydała książkę „Opcja B. Jak radzić sobie z traumą po stracie, stawiać czoła trudnościom i odzyskać radość życia”.

„Opcja B.” to kolejne ćwiczenie z amerykańskiego indywidualizmu i wyciągania się z bagna za własne sznurów-

ki. Śmierć małżonka to oczywiście tragedia, ale żaloba może być okazją do „post-traumatycznego rozwoju”. Trzeba tylko, w miarę możliwości, unikać „trzech p: personalizacji, powszechności i permanencji”, prowadzić listy – zapisywać dobre rzeczy, które ci się przydarzyły, albo rzeczy, które sprawiają ci radość – i odbudować wiarę w siebie. A na końcu tego czarnego tunelu znajdziesz lepszą osobę, mądrzejszą, bardziej ceniącą życie.

W tym samym czasie kończyła się dobra passa Facebooka. Platforma, która miała umożliwiać otwartą komunikację, nieskrępowaną wymianę idei i poglądów oraz likwidować uprzedzenia przez nadanie twarzy Obcym i Innym, okazała się idealnym narzędziem do tendencji wręcz przeciwnych: szerzenia nienawiści i fake newsów, tworzenia baniek informacyjnych i utwardzania w nabytych już przekonaniach.

Podczas wyborów w 2016 roku Rosja wykorzystała Facebooka do kampanii dezinformacyjnej. Cambridge Analytica uzyskała dostęp do danych 87 milionów użytkowników, które wykorzystywała do precyzyjnego targetowania reklam politycznych; z jej usług korzystał sztab Trumpa. Mjanmarscy nacjonaści na Facebooku nawoływali do zabijania muzułmańskiej mniejszości Rohingya; platforma tolerowała te komunikaty. Świetnie też wiedziała, jak negatywny wpływ ma Instagram na stosunek nastolatków do własnego ciała, i nic z tą wiedzą nie zrobiła. Wreszcie to za pomocą Facebooka zwolennicy Trumpa organizowali marsz na Kapitol 6 stycznia 2021 roku.

To głównie Sandberg – miękka siła, mistrzyni networkingu – tłumaczyła się z polityki firmy. Odpowiedź zawsze była taka sama: zwlekać z wyjaśnieniami, zaprzeczyć odpowiedzialność lub co najmniej ją pomniejszyć, wreszcie przeprosić za niezamierzone błędy i obiecać poprawę. Z każdym kolejnym skandalem upadały zarówno resztki mitu założycielskiego Facebooka, jak i pozycja Sandberg. Zuckerberg to ją obwiniał o kiepską pracę.

Na początku czerwca Sandberg poinformowała, że jesienią odchodzi z funkcji szefowej operacyjnej koncernu Meta. Chce się skupić na działalności charytatywnej, dzieciach, no i ślubie z Tomem Bernthalem.

Tyle powody oficjalne. Te nieoficjalne to rosnące niezadowolenie Zuckerberga ze swojej numer 2, no i przejście do Metaverse, czyli „mobilnego internetu jutra”, który ma być „cyfrowym odwzorowaniem świata fizycznego na wszystkich jego poziomach”. Metaverse to zabawka inżynierów, specjalistka od sprzedaży nie miała tu wiele do zaoferowania. Wreszcie, według „Wall Street Journal”, Sandberg miała wykorzystywać zasoby firmy do własnych korzyści: promocji książki, wspierania fundacji, a nawet organizacji ślubu.

Odchodzi wciąż jako numer 2, i to nie w momencie triumfu, ale kryzysu firmy, co zmniejsza jej szanse na zostanie numerem 1 w podobnie potężnej korporacji. Wyłącza się z gry, by poświęcić swój czas rodzinie i dobroczynności, tradycyjnie kobiecym dziedzinom. Zostawia Dolinę Krzemową, w której wciąż ze 150 największych firm tylko niespełna 5 proc. ma u steru kobiety, fundusze venture capital są zdominowane przez mężczyzn, a założycielki firm mają dużo mniejsze szanse na znaczące doinwestowanie. Ba, w samym Facebooku jej następcą jest mężczyzna, a w czwórcie zastępców Zuckerberga nie ma żadnej kobiety.

Cóż, jak powiedziała o receptach Sandberg Michelle Obama: „That shit doesn't work all the time”. ●

Adam Michnik poleca: O dwóch rosyjskich pisarzach

TACY WESELI. WIĘC DLACZEGO TACY SMUTNI?

Budowa nowego świata potyka się o „wydawanie zwłok od 3-ciej do 4-tej”

Wiktor Szenderowicz*

Wada serca. Na urodziny Michaiła Zoszczenki

Wesołość nie opuszczała nas nigdy” – tak zaczyna, spokojnie i na smutno, swoją „Niebieską księgę” Michaił Zoszczenko [1894-1958].

Przez wiele lat udawał satyryka. Ironista NEP-u, by tak rzec. Smutny pan o melancholijnym usposobieniu wcielił się w szarego człowieka i bajkopisarza, odnosząc dzięki temu oszałamiający sukces. – Kładź nazad! [Z opowiadania „Arystokratka”].

Zoszczenko skłania do śmiechu precyzją psychologicznego ujęcia, mieszaniami rażącej nowomowy z gwarą przedmieść i lekkim przesuwaniem sensu słów. Zoszczenkowski inwalida, któremu komunalni współlokatorzy rozwalili łeb w kuchennej bijatyce, leży na podłodze ZASMUCONY [„Nerwowi ludzie”]. Inwalida leży, wokół beznadzieja. Wre budowa socjalizmu, a autor – Buster Keaton radzieckich czasów – przygląda się z kamienną twarzą. Stoi i udaje Greka – a co ja takiego powiedziałem?

Owszem, powiedział.

Według Arystotelesa śmieszność bierze się z kontrastów. Budowa nowego świata potyka się o „wydawanie zwłok od 3-ciej do 4-tej”, a klasa panująca o pacjentów, których zapomniano wypisać, więc „szwendają się po salach i oddziałach, czytając karty informacyjne w nogach łóżek”.

Autor tych opowiadań ukazuje smutną twarz, ale jest w tym drugie dno. Nie, to nie radziecka satyra – „walka z tymi, którzy przeszkadzają nam w budowaniu...” – to o samo budowanie chodzi. O sam nasz kochany socjalizm. I o jego budowniczych.

„Kim są jego bohaterowie, o czym on pisze? – pyta surowo radziecki krytyk. – Sami pijacy, kaleki, inwalidzi, wszędzie bójkę, burdy...”

Radziecka krytyka nie dostrzegła w opowiadaniach Zoszczenki obrazu heroicznej



• Lata 30., Michaił
Zoszczenko grymasi
nad jabłkami

FOT. IGNATOVICH / SPUTNIK VIA AFP

**Jego nieprzystawalność do
epoki ludojadów nie była zrazu
oczywista. Ale przejrzał go
główny ludojad. „Wulgarny
odszczepieniec, degenerat”
– tak go ocenił Stalin**

epoki. Wielka szkoda, bo ona jest tam w pełnym rozkwicie. Antropolog umie odtworzyć oszalałe oblicze epoki z obnażonej śmiechem nagiej czaszki.

Zoszczenko żył w kleszczach melancholii, sam uważał swoją melancholię za chorobę. Jako miłośnik Freuda i Pawłowa szczerze wierzył, że jej źródłem nie jest świat zewnętrzny, tylko trauma dzieciństwa. Że postrzeganie świata można naprawić pracą nad sobą. O tym była jego najważniejsza, jak sądził, książka „Przed wschodem słońca”.

A świat wokół śmiał mu się ciągle w twarz i produkował „kosmiczny smar”.

Jego nieprzystawalność do epoki ludojadów nie była zrazu oczywista, warto też zauważyć, że o wiele większą przenikliwością niż naiwni, wdzięczni czytelnicy Michaiła Zoszczenki wykazał się główny ludojad. „Wulgarny odszczepieniec, degenerat” – w emocjonalnej ocenie Stalina pobrzmiwa szczera nienawiść. Ojciec narodów coś usłyszał w intonacji jego opowiadań, coś rozpoznał w umyślnie naiwnych fabulach.

„Niebieska księga” była próbą zmiany perspektywy, porozmawiania o ludzkiej naturze jako takiej, roztropnego odejścia od codziennego – zaminowanego na 360 stopni – kosmaru. Zrelacjonowania tym samym naiwnym tonem beznadziejności zgola historycznej.

I znów to naiwne mruganie oczami – teraz oczywiście wszystko u nas jest zupełnie inaczej niż u nich, a jeśli coś jest tak samo, to są to „burżuazyjne przeżytki”. I znów gorzki śmiech, przez który przebijają jawny smutek.

I nagle pośród tej klasowej mimikry wybuch skrywany (czyżby przed wszystkimi?) bunt, cytat z Gumilowa [Nikołaj, poeta, mąż Achmatowej, zabity w 1921 r. przez bolszewików] o śmierci w asyście notariusza i lekarza. A były lata 30.

Wyleczyć się nie sposób.

„Mija już oto 15 lat, jak w miarę naszych sił (...) śmiechem swoim rozweselamy licznych obywateli, którzy pragną widzieć w naszych słowach to właśnie, co pragną widzieć, a nie coś poważnego, pouczającego lub też co doskwiera im w życiu. I nasza słabość charakteru sprawia zapewne, że cieszymy się z tego stanu rzeczy”.

Jaka dramatyczna drwina, jakże brawurowa spowiedź! Wszystko, ani chybi, przez brak charakteru! Nie inaczej, autor domyśla się, co z nim zrobią „obywatele”, gdy w końcu rozpoznają w towarzyszu Zoszczence nie gawędziarza z gatunku „a zdarzyło się raz, że...”, tylko kogoś, kto na serio wpięprza się w ich życie.

No i rozpoznali. Kazali kajać się przed budowniczymi socjalizmu i błagać o litość. Zoszczenko, odkąd popadł w nielaskę, nie chciał „wpięprzać się” i widząc znajomych, przechodził na drugą stronę ulicy – wołał nie stawiać ich w niezręcznej sytuacji. Po werdykcie Żdanowa [Andriej, ideolog, nadzorca kultury] witanie się z nim i przyjacielska pogawędka były ryzykowne.

Pod koniec życia szukał desperacko kompromisu i chciał się w nim schronić – pozostać radzieckim pisarzem, nie tracąc tego, co dla niego najważniejsze, ludzkiej godności. Oficer, kawaler Orderu św. Jerzego, nie godził się z oskarżeniem o tchórzostwo.

Ale kompromis okazał się niemożliwy. Wyznanie poszczególnych grzechów nie wystarczyło rozszerzonej mateczce „Zofii Własiewnej” [eufemistyczne określenie władzy radzieckiej], żądała totalnego publicznego upokorzenia! Skłonienia głowy przed jej osądem: „Zoszczenko wywraca na nice swoją podłą, nędzną duszę”. Ukrzyżowany musiał podziękować Cezarowi.

Ale nie miał już na to siły. Był uczciwym człowiekiem, co okazało się wadą serca, której nie da się pogodzić z życiem.

Stenogram wypowiedzi Zoszczenki, obrabianego latem 1954 r. na zebraniu leningradzkiego oddziału Związku Pisarzy, to przykład wielkiej mowy pod gilotyną. Wesołość w końcu go opuściła – jakaż musiała to być ulga nie musieć się dłużej ukrywać!

„Nie mam planów na przyszłość. Żadnych. Nie zamierzam o nic prosić! Nie potrzebuję waszej łaski, waszego Druzina, ani waszych inwektyw i krzyków. Jestem bardziej niż zmęczony! Przyjmę każdy los inny niż ten, który jest moim udziałem”.

Kim był ów Druzin, który dzięki temu stenogramowi wszedł do historii rosyjskiej literatury? Nikim. Jednym z tych, którzy zabijali Michaiła Zoszczenkę.

Smutnego człowieka, który umiał piąć śmiesznie.

Jego język stał się naszym. Nekrolog Michaiła Żwanieckiego

Przez pół wieku przerzucaliśmy się jego słowami.

Więź, powiadasz? Tak, to ona, hasło i odzew zrozumiałe dla każdego Rosjanina.

„W porządku, Grigorij?” [odzew: „Wspaniale, Konstantin”].

Zna odpowiedź, znaczy swój.

Innych wspólnych haseł prawie nie mamy. On i Wysocki, a nad nimi Puszkina, mróz i słońce, cudowny dzień.

Jak to z nim było? Michaił Żwaniecki [1934–2020], autor estradowych scenek i monologów – znakomity, a jednak jeden z... – nagle siada i pisze wielkimi kulfonami na kartce papieru o przemijającym życiu. Zapiera dech w piersiach! Zabawne, zarazem nieznośnie smutne. „I nie zapyta mama, co jadłeś dziś, mój mały?”.

Dla mnie zaczęło się od tego. Od tego – i eseju ku pamięci nauczyciela języka rosyjskiego, w którym już potężnie i zwycięsko pobrzmiwała muzyka żwanieckiej mowy, której odtąd nie sposób pomylić z niczym innym. I wtedy stało się jasne – geniusz.

Pisał dla Rajkina? No cóż, można pisać i dla [aktora Arkadija] Rajkina. Prześwietny gwiazdor estrady, wszyscy tarzali się ze śmiechu? A jakże! Piewca Odessy – oczywiście, ale od potocznej „odeskiej” intonacji do specyficznej „żwanieckiej” melodyki jak stąd do nieba...

Po prostu – zaledwie – wielki rosyjski pisarz, który wziął się znikąd, prawie nielegalnie – z taśm magnetofonowych, z estrady. Wyzywająco prowincjonalny, z tą swoją teczką i nawykami, niezbyt wykształcony, kontestujący wszystkie szkoły i zasady. Dowód może nie na istnienie Boga, ale niepojętego kosmosu ludzkiej natury!



• Rok 2016, Ukraina, Michaił Żwaniecki w Dnipro
FOT. CAVAN IMAGES / ALAMY STOCK PHOTO

Żwaniecki, wielki rosyjski pisarz, który wziął się znikąd. Prowincjonalny, niezbyt wykształcony. Dowód może nie na istnienie Boga, ale niepojętego kosmosu ludzkiej natury

W końcu „pisał ręką”. Jakby spadało z nieba prosto do ręki! Widziałem kiedyś, jak pisze swoje bazgroły i sam śmieje się, przeczytawszy. Przysięgam, nie do końca rozumiał, skąd to się brało. A jaka różnica.

Jego dar go przerastał, a on o tym wiedział i czule go strzegł. „W życiu” różnie z nim bywało, ale wobec swego wyjątkowego daru był Żwaniecki do końca uczciwy, a wszystko inne widział, jak sądzę, trochę niewyraźnie, jak tło fotografii, która nie potrzebuje tła. Był prawdziwym „instrumentem języka”! Ta formuła Brodskiego pasuje do niego jak ulał.

Drugi, zapewne jeszcze nie do końca dla nas zrozumiały, nie tyle wzlot, co powolny awans pisarza Żwanieckiego zaczął się wkrótce po jego 60. urodzinach – jakby w opozycji do zdobytej sławy. Ci, którzy oczekiwali od uwieńczonego wszystkimi laurami satyryka nowej „Barki” i „Gorzelní”, musieli sięgać po stary repertuar. Najlepsza twórczość „późnego” Michaiła Michajłowicza nie rozmienia się na cytaty i nie ma milionów wyświetleń na YouTube.

Jak pisał Stanisław Jerzy Lec, „sam fakt, że ktoś uprawia satyrę, demaskuje go jako optymistę”. Optymizm się skończył, łyżka szura po dnie. Lapidarne jak u Żwanieckiego podsumowanie smutnego mędrca,

kunsztowne, niepowtarzalne rozłożenie słów na papierze. Grała w nim stale muzyka mowy, słowa płynęły z nieba wprost do ręki.

Media donoszące o śmierci „satyryka Żwanieckiego” strzeliły zgodnie tam, gdzie ptak przelatywał ćwierć wieku temu.

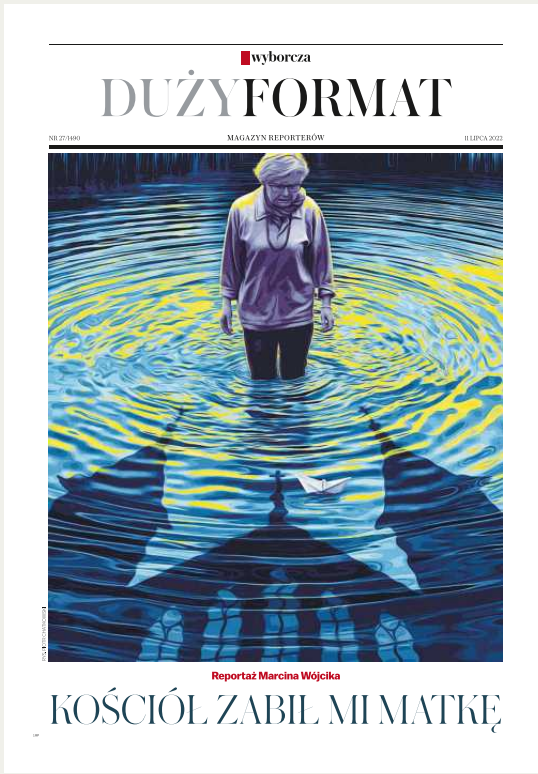
Śmierć pozwala geniuszowi otrząsnąć się z bezsensu przyzwyczajęń, irytacji i okoliczności, być wśród nas tym, czym było się naprawdę – muzyką, śmiechem, mądrością, czułością, smutkiem i szczęściem.

„Dzięki losowi za tę znajomość, za jego osobowość, postrzępione nerwy i wspaniały, czysty i ostry język rosyjski – za jego język, który stał się naszym. Na wieki wieków, amen!”.

*Wiktor Szenderowicz

• ur. w 1958 r., rosyjski satyryk, pisarz, publicysta, prezenter telewizyjny i radiowy. Od lat jeden z najostrzejszych krytyków Putina, przeciwnik napaści Rosji na Ukrainę. Większość objaśnień od tłumacza. Tytuł „Wyborcza”.

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 KOŚCIÓŁ ZABIŁ MI MATKĘ

Zaślepiły ją
lata katolickiej
indoktrynacji

2 MEKKA NUDYSTÓW W KRAJU KATOLIKÓW

Co musisz wiedzieć
o Chorwacji

3 OSOBY Z NEURÓŻNORODNOŚCIĄ

Te dzieci po prostu
takie są, to nie jest
zła wola

BĄBLE W GŁOWIE I NA BRZUCHU

Poczułem, że pomimo różnic, które dzielą Polaków, to w sytuacjach skrajnych potrafimy się zachować przyzwoicie

Z

Z **ŁUKASZEM MAŁKIEWICZEM**, MUZYKIEM, PRODUCENTEM, ZNANYM JAKO RAPER **MAŁPA**, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Myśli pan, że lęk przed wojną przewartościuje nasze myślenie o świecie w stronę większego współczucia?

– To doświadczenie ma na nas krótkoterminowy wpływ. Jak tylko minie, to, niestety – jak myślę – wszystko wróci na stare tory. Pewnie jesteśmy bardziej empatyczni niż 50 czy 100 lat temu, ale wydaje mi się, że cały czas nie dość, aby zapobiegać np. wojnom w przyszłości. Wojna w Ukrainie dzieje

się tak blisko nas, że to w nas pracuje.

Mówi pan równie pesymistycznie jak w swojej piosence, że jesteśmy „głupi w ch...”.

– Myślę, że to nie dotyczy naszego społeczeństwa, ale w ogóle ludzi. Przecież tyle już było tragedii, które niczego nas nie nauczyły, więc nie rozumiem, dlaczego teraz miałyby być inaczej. Nie wierzę w to. Katastrofa klimatyczna dzieje się już właściwie za naszymi oknami, ale jestem sceptyczny w myśleniu, że ludzkość się kończy – chyba jest raczej na bardzo początkowym etapie swojego rozwoju.

Spodziewał się pan tego zrywu Polaków wobec Ukraińców?

– To było bardzo budujące i wzruszające po tych latach PO-PiS-u, który próbuje nas zresztą dość skutecznie podzielić na dwa obozy. To był pierwszy taki moment, że poczułem, że pomimo różnic, które są widoczne gołym okiem, w sytuacjach skrajnych, kiedy to potrzebne, potrafimy się zachować przyzwoicie.

Ten odruch był spontaniczny, bezwarunkowy i piękny. Natomiast obawiam się, że to będzie działało, dopóki na własnej skórze nie odczujemy konsekwencji tych działań, ale jak tylko poczujemy, że to nam coś zabiera, gdy będziemy rywalizować z Ukraińcami o pracę, to znów wróci to złe. Bo o wszystko będziemy rywalizować. Tak było z Polakami w Anglii, na początku byliśmy witani z otwartymi ramionami, bo byliśmy potrzebni, a kiedy nasza obecność zaczęła sprawiać problemy lokalnym społecznościom, to byliśmy mniej przychylnie witani. Wiem, bo spędziłem tam trochę czasu. To był wakacyjny wyjazd, ale sam czegoś takiego doświadczyłem.

Czwarta płyta „Bóg nie gra w kości” jest bardzo osobista. Autoterapia?

– Tworzenie może być formą terapii, ale nie wiem, czy w moim przypadku, bo czasami to rozdrapywanie ran, które mogłyby się zbliznić, pisanie o tym przy-



FOT. SYLWIA SZYPLIK

„Zdaję sobie sprawę,
że powinienem pewnie
szukać innego terapeuty,
ale ile, k..., można
chodzić po terapeutach?”



wołuje nieprzyjemne wspomnienia. Nie robię muzyki, żeby leczyć siebie. Nie piszę na określone tematy, bo czuję, że muszę się na jakiś temat wypowiedzieć. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, kiedy zaczynam pisać, to własne doświadczenia czy obserwacje tego, co się dzieje wokół mnie. Niekoniecznie musi mnie to bezpośrednio dotyczyć. Nie robię tego po to, żeby się poczuć lepiej, bo nie czuję się lepiej.

Skąd tytuł „Bóg nie gra w kości”? Wierzy pan?

–To zależy od tego, jaką książkę w danym momencie czytam (*śmiech*). Na pewno nie jestem wierzący w tradycyjnym rozumieniu. Nie uważam się za katolika, nie identyfikuję z żadną religią, bo jest dla mnie zaprzeczeniem idei Boga to grupowanie się czy grodzenie dogmatami.

Mam wrażenie, że im jestem starszy, tym jestem mniej wierzący. Teraz też jest tak, że niepopularne jest mówienie, że się wierzy w Boga, a wśród naszych znajomych o bardziej liberalnych poglądach to nawet przypała. No jak można wierzyć w takie głupstwa? Natomiast w jakąś formę energii to już nie jest głupie (*śmiech*), to jest dobrze widziane.

A jest pan lewakiem?

– Wskazówka w moim przypadku przechyla się zdecydowanie na lewą stronę, ale lewakiem? Tzn. przez osoby, które używają tego słowa jako pałki, to jak najbardziej.

Interesuje się pan świadomie polityką?

– Biorę udział w wyborach, nie opuściłem żadnych. Staram się interesować, chociaż mam świadomość, że wiele osób interesowanie się polityką postrzega jako oglądanie całymi dniami stacji informacyjnych. Staram się bardziej. To temat irytujący, bo większość ludzi ma świadomość, że ktoś przecież musi rządzić. Jednak przedawkowywanie polityki bywa męczące i łatwo jest popaść w wątpliwości, czy ma sens.

Jesteśmy w Toruniu, mieście znanym głównie z działalności ojca Rydzyka.

– Dużo podróżuję i to faktycznie pierwsza osoba kojarzona z moim rodzinnym miastem, już dawno wyprzedził Mikołaja Kopernika. Nie wydaje mi się natomiast, żebyśmy jako torunianki i torunianie na co dzień myśleli o Rydzyku więcej niż mieszkańcy Sieradza czy Gdańska. Rydzyk – poza swoją inwestycją na obrzeżach miasta – nie jest w stanie sprawić, że będziemy bardziej konserwatywnym miastem. Chociaż mam świadomość, że władze Torunia się z nim układają. I pewnie się z nim liczą, skoro chcą wygrywać wybory, zarówno te na szczeblu samorządowym, jak i krajowym.

Jak przekonać młodych ludzi do głosowania?

– Nie wiem, czy ktoś jest ich w stanie do tego przekonać. Jediną opcją na ich zmobilizowanie jest zabranie im swobód i wolności. Dopiero tak mocny strzał w morderę przy okazji zakazu aborcji był potrzeby, żeby młodzi zrozumieli, że to o nich chodzi.

Musimy dostać kolejny mocny strzał, chociaż PiS się, niestety, wiele nauczył i podejrzewam, że będzie ostrożniej strzalał.

To, co jeszcze mogą popsuć, żeby młodzież wkurzyć?

– Mimo, że mam te 37 lat, to z racji zawodu, który wykonuję, mam ciągle kontakt z osobami trochę młodszymi lub dużo młodszymi od siebie. Staram się być na bieżąco ze sprawami, które są dla nich istotne. Mam wrażenie, że to, co mogłoby ich szczególnie zabość, to odebranie im



NIEKTÓRE MOJE UTWORY CHOWAM PRZED TATĄ, rozmawiam z moją siostrą, żeby mu nigdy ich nie puściła

wolności i swobody wypowiedzi w internecie. Ten świat realny nie ma już dla nich większego znaczenia. Jest dla nich nieciekawość.

Czy to nie przerażające?

– Dla mnie nie. Wyobrażam sobie, że moi rodzice mogliby się spotkać 20 lat temu z twoimi rodzicami i mówić o nas dokładnie to samo.

Bardzo się bronię, kiedy widzę, jak moi znajomi mówią, że teraz to młodzież jest najgorsza. Zawsze tak było. Każde pokolenie myśli o sobie w sposób szczególny.

Obecnie młodzież jest taka sama, może inaczej się ubiera, z innych narzędzi korzysta, ale pragnie tego samego, chce być wolna i szczęśliwa. Kiedyś bawiliśmy się na trzepaku, dziś dzieciaki bawią się w internecie. Za 20 lat pewnie internet też już będzie zabytkiem, a wjedzie inna technologia. No i dzisiejsi 20-latkowie będą to samo mówić o swoich dzieciach.

Ciekawe, swoją drogą, czy za kilka miesięcy nie będzie można publikować memów z papierem.

A złe strony internetu?

– Zrobił dużo złego – wszyscy na nas patrzą, a jak ludzie na nas patrzą, to warto, żeby widzieli to, co dobre, a nie to, co złe. Próbujemy więc wyglądać lepiej, być szczęśliwsi niż w rzeczywistości. To potem ma odbicie w życiu realnym, bo jeśli w internecie jestem okazem szczęścia, to potem głupio rozmawiać o tym, że jednak tak to nie wygląda. Dlatego ludzie się tak często zamykają i nie przyznają, że jest im źle. Niepopularne jest bycie brzydkim i smutnym, więc się swoimi problemami nie dzielimy.

Raper śpiewa o potrzebie miłości, o potrzebie bycia z drugim człowiekiem, to się raczej w rapie nie zdarza...

– Nie jest to szczególnie popularne, bo w rapie przecież trzeba być twardym.

Tzn. trzeba wyglądać na twardego, a nie wiedzieć czemu mówienie o uczuciach jest uznawane za jakiś przejaw słabości. Męczyzna w ogóle społecznie ma mieć rolę tego, który jest twardy i nic go nie wzrusza.

A jakim Małpa był dzieckiem?

– Dobrym, bezproblemowym. Miałem olbrzymie problemy, o istnieniu których moi rodzice, niestety, nie wiedzieli. A może i dobrze, bo gdyby wiedzieli, to byłoby im jeszcze ciężiej, pewnie nie byłoby w stanie nic z nimi zrobić. Kto 30 lat temu prowadziłby chłopca do terapeuty? Kto by za to płacił? Nie stwarzałem większych problemów wychowawczych, w szkole może nie byłem jakiś wybitny, ale dawałem radę. Na podwórku, mimo że okoliczności były raczej nieciekawe, to jakoś zawsze starałem się unikać kłopotów i złego towarzystwa.

Klip do „Drogiego dresu” nakręciliście w biednej dzielnicy Torunia, w której spędził pan dzieciństwo, przy współpracy ze Stowarzyszeniem Dzieciom i Młodzieży Wędka im. każdego Człowieka. Dlaczego?

– W tym klipie występują mieszkańcy tej dzielnicy i osoby skupione wokół Wędki. Ci drudzy wiedzieli, o czym jest utwór. Właściwie wiedział o tym Wojtek, spiritus movens tej organizacji, któremu temat tego utworu stał się bliski. Jest szczególnie bliski tym dzieciakom. Osoby z dzielnicy z moich lat dzieciństwa nie chciały wiedzieć, dla niektórych to nie miało znaczenia, liczyło się tylko, że można za paczkę fajek wystąpić w klipie. Dla dzieci stamtąd ciekawe było to, że dzieje się coś, czego wcześniej nie doświadczyły. I że będą w telewizji.

Miałem obawy, czy temat utworu ich nie zniechęci, nie postawi w złym świetle, ale myślę, że tak nie było. Z częścią tych

osób mam kontakt i wiem, że to było dla nich ważne.

Ci ludzie, mimo że większość społeczeństwa ma ich za patologię, to mają świadomość, że nie do końca są sobie winni, tego, w jakiej sytuacji się znaleźli. Dlaczego mają się tego wstydzić? Może dlatego, że porównuje się ich do innych. Są pewne standardy, które powinniśmy spełniać, i to nie dotyczy tylko jakiegoś tam majątkowego statusu, ale wszelkich sfer naszego życia, i jak ktoś odstaje, to wytykają go palcem.

We wstępie do „Drogiego dresu” mówi pan: „Mówią, że możemy przenosić góry i że nie ma żadnego znaczenia, skąd jesteś, bo wszystkich obowiązują te same reguły i każdy z nas może dojść, dokąd zechce”.

– Ale jest w tym dużo sarkazmu. To coachingowe pieprzenie, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Bo nie możemy przenosić gór. Miejsce, w którym nagraliśmy ten klip, to bardzo małe osiedle, kilka bloków, które bardzo skutecznie są wysiedlane, bo pewnie jakiś deweloper się czai, bo to bardzo atrakcyjna działka. Zostało tam już niewiele rodzin, sporo czasu i wysiłku mi zajęło, aby kogoś spotkać i zaprosić do teledysku. Kiedy chodziłem tam przed zdjęciami, to nikt nie chciał się zgodzić, bo ludzie się wstydzą swojej biedy.

A jak mówiłem, że chciałbym z kamerą wejść do mieszkania, to nie było opcji i się nie dziwiłem. Zmieniło się, kiedy zaczęliśmy kręcić i się przekonali, że nie ma wielkiej ekipy, planu filmowego, i to głównie dzięki dzieciakom, które namówiły mamę, żeby z nimi stanęła w kadrze.

Oni nie mieli zielonego pojęcia, kim jestem, bo mieszkałem na tym osiedlu między 5. a 15. rokiem życia. Celem mojej mamy było, żebyśmy się stamtąd wyrwali. Poświęciła na to całe swoje krótkie życie i jej się to udało. Przeprowadziliśmy się 100 metrów dalej, na drugą stronę ulicy, która jest już zupełnie innym światem, wyizolowanym.

Chcieliśmy tym klipem pokazać, że to, że są z tej ciemnej bramy na Starówce czy Bydgoskim Przedmieściu, to nie stoi na przeszkodzie, by mogli zrobić w życiu coś ciekawego.

A ten najtrudniejszy czas w pana życiu? Depresja, o której pan rapuje...

– Najtrudniejsze momenty nastąpiły, jak już byłem dorosły, i były konsekwencją tego, co się działo w dzieciństwie. Mam jednak wrażenie, że jako dziecko radziłem sobie lepiej, bardziej bezrefleksyjnie. Oczywiście miałem świadomość, że wyglądam inaczej, że moi rodzice wyglądają inaczej, że moje mieszkanie wygląda inaczej niż moich koleżanek i kolegów. Natomiast nie myślałem o tym tak dużo jak w momencie, kiedy już byłem dojrzałym facetem. Powaliło mnie to, dosłownie.

Wiedział pan od początku, co się dzieje?

– Nie miałem nigdy tak, że miesiącami nie wychodziłem z łóżka, ale zacząłem się mocno izolować od ludzi. W moim przypadku ta kiepska kondycja psychiczna odbiła się mocno na moim fizycznym zdrowiu. Jak już grałem koncerty, to przez kilka lat zmagalem się z chorobą, która dawała objawy somatyczne, i to takie skrajne. Ciężki czas. Miałem bóle żołądka.

Nie pozwalały grać koncertów?

– Myślę, że odwołaliśmy ze 30. Bywały też takie, pamiętam w Zielonej Górze, że poczułem się źle podczas podróży. Źle się z tym czułem, bo kolega przez to stracił dużo pieniędzy. Zagrałem, ale przerywałem, aby wybiec do kibla i zwymiotować, wracałem na scenę i grałem dalej.

Miewałem takie epizody, od kilku dni do dwóch tygodni, takiego ciągłego, ostrego bólu żołądka połączonego z wymiotami.

Bywało, że mnie to dosięgało na kilka dni przed koncertem albo w drodze na koncert, bywało, że po koncercie. To były ekstremalne sytuacje.

Otoczenie wiedziało?

– Sam wtedy nie wiedziałem, z czym się borykam, lekarze też nie. To trwało mniej więcej trzy lata, zanim zostałem skierowany do psychiatry.

Ta choroba po prostu pewnego dnia przyszła, obudziłem się rano z ostrym bólem brzucha, pamiętam, że tego dnia miałem grać w Szczecinie. Koncert odwołałem, kolejny w Łodzi następnego dnia zagrałem, ale wyłądownałem po nim w szpitalu na kroplówce. Przez te trzy lata biegałem po lekarzach i miałem przeróżne diagnozy: zespół jelita drażliwego, helicobacter, refluks. Gdy stałem już nad grobem, totalnie zniechęcony wizytami u lekarzy, straciłem całkowicie wiarę, że ktoś jest mi w stanie pomóc, to trafiłem jeszcze do lekarki, która stwierdziła, że mam chyba raka trzustki. Zabrali mnie do szpitala, okazało się, że to nieprawda i jedyne, co mam, to zapalenie żołądka – efekt tygodniowych wymiotów – i wychodząc z tego szpitala, dostałem skierowanie do psychiatry.

I to był początek końca tej choroby.

Śłużba zdrowia trzy lata szukała bezskutecznie powodów pana złego samopoczucia?

– Jak trafiłem do szpitala, to pierwsze, o co mnie zapytano, to tatuaze – na pewno mnie ktoś otrul. Byłem z nimi szczerzy. Dużo wtedy paliłem trawy i powiedziałem o tym. Podczas wypisu uznali to za najważniejszą informację: pacjent nalogowo palący marihuanę. To mnie zabolalo, bo w moim odczuciu nie miało żadnego znaczenia, tym bardziej że marihuana pomagała mi ten ból wytrzymać – i jeszcze gorące prysznicze, które rozluźniały żołądek i przynosiły ulgę. Chociaż trawa „zostawia ślady jak sanek płoża”, jak mawiał klasyk, a po prysznicach miałem bąble, bo lałem na brzuch już tak gorącą wodę, że się poparzyłem.

Wtedy trafiłem do psychiatry, dostałem leki i po kilku miesiącach byłem zdrowy. Mam jednak z tyłu głowy, że to może wrócić.

W utworze „Mech” rapuje pan o tym lęku?

– Wiem, że to nie koniec, bo zostawiło ślady w psychice, wspomnienia, które są trudnym bagażem.

Czuje się pan artystą?

– Wolę myśleć i mówić o sobie, że jestem twórcą albo muzykantem, bo jak to tak – raper muzykiem? (*śmiech*).

Długi czas rapował pan o samotności.

– Mam wrażenie, że zawsze dbałem o relacje, chociaż miewałem lepsze i gorsze momenty.

Nadal najlepiej się bawię, kiedy jestem sam albo w bardzo wąskim gronie sprawdzonych ludzi, przy których czuję się swobodnie. Najgorsza nie była samotność, tylko poczucie straty miłości, poczucie pustki.

Zrezygnowałem z chodzenia na terapię, kiedy zrozumiałem, że nie przynosi efektów. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że powinienem pewnie szukać innego terapeuty, ale ile, k..., można chodzić po terapeutach?

Chciałem, żeby ktoś mi pomógł, a nie próbował na mnie tej czy innej metody. Zaczęło mnie to po prostu wkurzać. Przez wiele lat przesadzałem z marihuaną i wiem, że jestem osobą, która łatwo wpada, dlatego długo się broniłem przed psychiatrą, bo wiedziałem, że to się skończy braniem leków. Nie wiem, czy pomogły, czy odstawienie trawy, a może wszystko? Pomoc, której teraz potrzebuję, zapewniają mi bliscy.

Zawiódł mnie trochę ten cały system, miałem czasami wrażenie, że terapia jest

bardziej dla terapeuty niż dla mnie, w sensie, że to jest dla niego jakieś wyzwanie, fajna zabawa: mam tu takiego zepsutego, spróbuję z nim jakieś nowe rozwiązania. Czulem się często jak królik doświadczalny.

Dlaczego to jest zły pomysł mówić osobie: „będzie dobrze”?

– To nie jest złe. Złe jest wtedy, kiedy jest bezrefleksyjnym klepaniem frazesu, który nie ma żadnego potwierdzenia w rzeczywistości, tym bardziej jak ktoś przeżył bardzo traumatyczną rzecz. Taka osoba wie, że słowa nie mają żadnej mocy, bo nie przynoszą ulgi. Dużo większą przynosi cisza i bycie obok osoby, która wspiera. Dużo bardziej doceniam ten moment, że kiedy zmarła moja mama, to najbliżsi koledzy przyjechali do mnie do domu, miałem 21 lat, siedzieliśmy przez dwie godziny na placu zabaw i nikt się wtedy nie odezwał słowem. I to było piękne, bo ja niczego więcej wtedy nie potrzebowałem. Na pewno nie zapewnienia, że czas leczy rany i inne takie teksty. Ważne było, że są przy mnie ludzie, przy których nie wstydę się płakać, i tyle.

Mam wrażenie, że frazes „będzie dobrze” często wypowiadają ludzie, którzy nie bardzo wiedzą, jak się zachować.

Czego symbolem jest „Mech”, gdybym miała poprawnie odczytać metaforę płynącą z tego utworu?

– Myślę, że to taki brud pod paznokciami, niby się wykapałaś, ale coś zostało i trudno to wydobyć.

Myśli pan, że depresja to skutek braku rozmowy o uczuciach z rodzicami?

– Wiem, dlaczego nie dzieliłem się takimi problemami z moimi rodzicami, i jest to smutne, ale uważałem, że mają poważniejsze problemy. Np. takie, że jest nam zimno i trzeba kupić węgiel albo że jest ciemno, bo nie został opłacony rachunek za prąd, albo że trzeba paszтетowej kupić, żeby mieć na kanapkę do szkoły. To, że było mi smutno, to był najmniejszy problem. Żeby była jasność – nie winię o to rodziców, bo ich nikt tego nie nauczył. Nie wiedzieli, że dziecko trzeba zapytać, jak się czuje, bo ich też nikt nie pytał. Mojego tatę mama lała pasem przez całe życie, a on mnie nigdy nie uderzył. Mimo że sąsiedzi to robili i mógł, bo to było zupełnie normalne w tamtych czasach, że jak dziecko było niegrzeczne, to się wyciągało pas.

Bardzo się pan odsłonił na tej płycie?

– Dla słuchacza to pewnie dobrze, dla mnie być może nie. Dla moich bliskich na pewno nie.

To bolesne. Niektóre moje utwory chowam przed tatą, rozmawiam z moją siostrą, żeby my nigdy ich nie puściła, mimo że nie mówię wprost, jakie błędy popełnił. Mógłby to tak odebrać i chociaż byłoby to zasadne, to nie chcę mu robić przykrości. ●

Małpa, właściwie Łukasz Małkiewicz

• ur. w 1985, raper. Zadebiutował w 2009 roku bardzo dobrze przyjętym albumem „Kilka numerów o czymś”. Kolejna płyta – „Mówi” z 2016 roku – osiągnęła status platynowej. W 2017 roku wydał minialbum we współpracy z Mielzkym i duetem producenckim The Returners. Trzecia płyta to album „Blur” wydany w 2019 roku. 30 kwietnia 2022 roku miała swoją premierę czwarta płyta artysty „Bóg nie gra w kości”

Czy kiedyś mężczyźni, którzy zostawili Julii P. otwartą furtkę, będą w stanie przyznać się do błędu?

Dwa wyroki, które zmieniły wszystko

Czyż

„Tego samego dnia wracałem pociągami do Krakowa i spotkałem w przedziale ks. Pieronka (wówczas nie był jeszcze biskupem). Zapytał mnie o to, jaki wydaliśmy werdykt, a kiedy mu to przedstawiłem, odpowiedział w sposób, który zupełnie mnie zaskoczył: wyrażdziście Kościołowi wielką krzywdę. Mam te słowa cały czas w pamięci. I rzeczywiście, to był chyba bardzo poważny błąd” – to słowa prof. Andrzeja Zolla z wywiadu w serwisie eKAI. Rzecz dotyczy werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie wprowadzenia religii do szkół na początku lat 90. Prof. Zoll był wtedy jednym z sędziów Trybunału, jeszcze nie prezesem. Trybunał orzekł wówczas, że przepis wprowadzony przez ówczesnego ministra edukacji prof. Henryka Samsonowicza nie narusza konstytucji.

dzielał przyjemnie naiwne nadzieje profesora. Wszystko to konserwatywny katolik ocenia bardzo niekonserwatywnie, co czyni wywiad ważnym i potrzebnym.

Najciekawszy dla mnie fragment dotyczy orzeczenia TK w sprawie aborcji z 1997 r. Prof. Zoll był przewodniczącym składu, który to orzeczenie wydał, a późniejszy wyrok Trybunału Julii P. tłumaczy tak: „W roku 2020 Trybunał powołał się na nasz werdykt i można byloby powiedzieć, że my szliśmy w tym samym kierunku. Otóż – nie w tym samym. Dlatego, że nasz wyrok opierał się na przeświadczeniu o konieczności odróżnienia spraw prawnych od kwestii moralnych. Jeżeli bowiem doprowadzimy do tego, że prawo będzie identyczne z moralnością uznawaną przez większość społeczeństwa, to mamy fundamentalizm, co doprowadza w końcu do przekreślenia demokracji.

Prof. Zoll: Stwierdzaliśmy, że dobro, które koliduje z życiem płodu, może mieć wartość większą. Mieliśmy tu na myśli życie matki

Tomasz Królak, który przeprowadza wywiad, jakby chciał się upewnić, czy dobrze rozumie: „Tak pan to dziś ocenia?”, a Zoll odpowiada zdecydowanie: „Z dzisiejszej perspektywy – tak. Bo, proszę zwrócić uwagę, to spowodowało »rozgrzeszenie« Kościoła od nauczania młodzi. To znaczy, Kościół został »oderwany« od prowadzenia katechezy w kościele, w parafii, w salce parafialnej. A to była pewna łączność tych młodych ludzi z Kościołem”.

Nie jest łatwo przyznać się do błędu, który zaważył nie tylko na przyszłości całego naszego społeczeństwa, ale również na przyszłości Kościoła w Polsce jako wspólnoty. Zwłaszcza dla kogoś, kto się z Kościołem bardzo mocno utożsamia.

Ale nie ten wątek najmocniej mnie poruszył, tak samo jak nie wątek pedofilii w Kościele, zwrotu majątków kościelnych albo synodalności, co do której po-

W naszym orzeczeniu powiedzieliśmy także, że życie traktujemy jako dobro chronione od chwili poczęcia, ale nie znaczy to, że ta ochrona jest jednakowa w całym okresie rozwoju. Stwierdziliśmy zatem, że dobro, które koliduje z życiem płodu, może mieć wartość większą. Mieliśmy tu na myśli życie matki. Ale powiedzieliśmy jedno: nie można sytuacji socjalnej stawiać wyżej od życia”.

Rozumiem sposób myślenia prof. Zolla, chociaż to nie jest łatwe, i żeby go zrozumieć, potrzebowałam pomocy zaprzyjaźnionego adwokata. Rozumiem, że tamten wniosek Alicji Grześkowiak i orzeczenie TK dotyczyły prawa do aborcji ze względów socjalnych. Ale czy nie jest tak, że tamto orzeczenie zostawiło uchyloną furtkę interpretacyjną, w którą w 2020 r. Julia P. przywaliła z kopa, wywalając ją razem z framugą i zawiasami? I czy kiedyś w końcu mężczyźni, którzy o tym decydowali, będą w stanie przyznać się do tego błędu? Przynajmniej tyle? ●

Magdalena Czyż



Autorem wielu haseł jest **Michał Nogaś**

Polskie komedie

FOT. ADAM KOZAK

ŁUBU, DUBU I JOGI BABU!

Moje pierwsze wspomnienie o polskich komediach? Lata 80., kolonie w górach, w Poroninie. Byłem w wieku nikczemnym bardzo (rocznik 1976). W ramach atrakcji zorganizowano seans kinowy dla wszystkich, a w repertuarze była „Seksmisja” Juliusza Machulskiego.

Bileterzy z racji mojego skromnego dorobku wiosen – liczyłem ich naprawdę niewiele – nie chcieli mnie wpuścić do środka, ale wówczas cała sala zaczęła głośno domagać się, bym wszedł, i bileterzy w końcu ustąpili.

Do dziś to moja ukochana komedia. Nawet kiedy uczyłem się do matury, to w tle leciała „Seksmisja” (zdałem, podziało). I pewnie gdybym się mocniej skupił, odtworzyłbym wszystkie dialogi z pamięci.

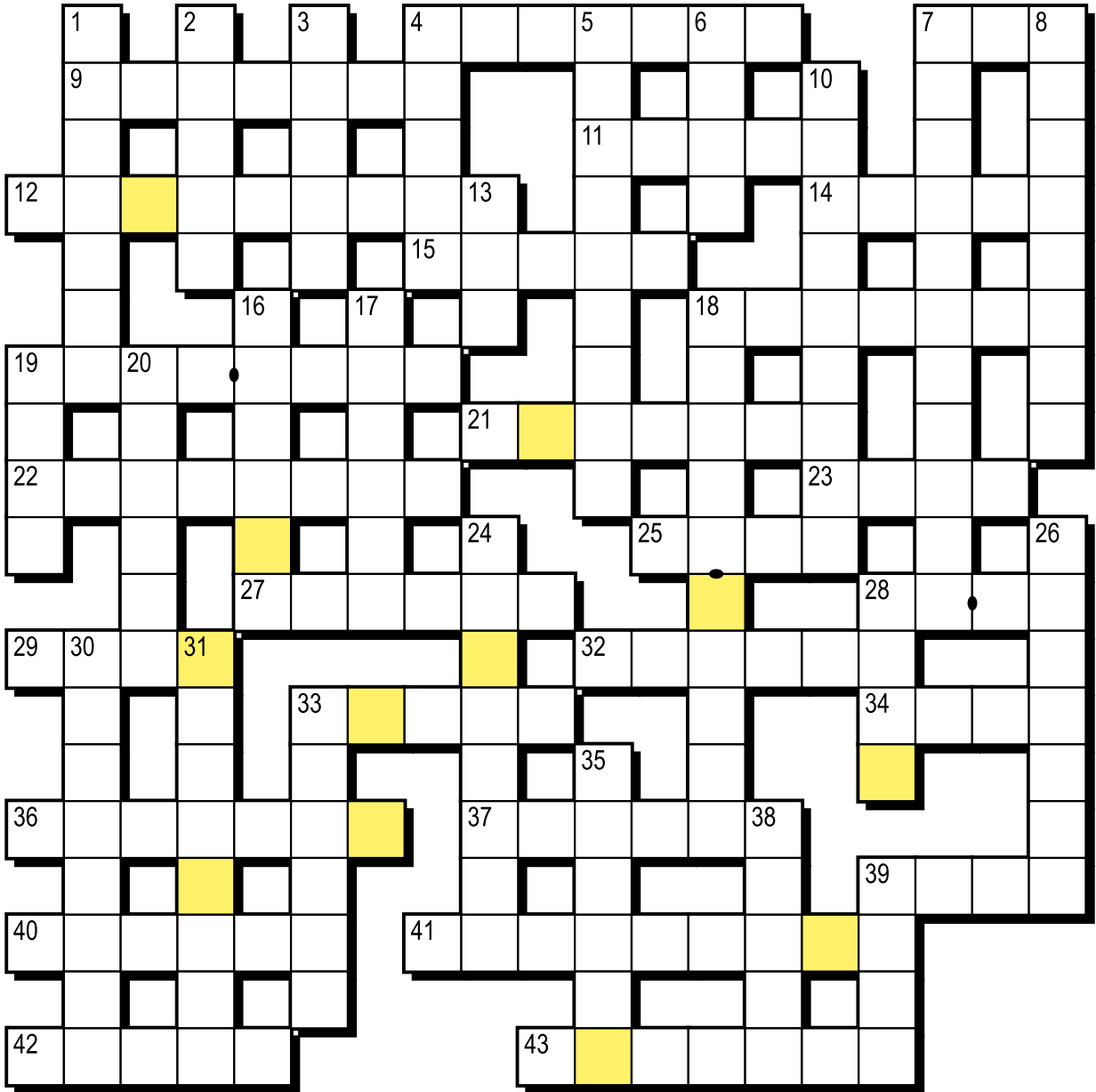
Dzisiejsza Weekendówka za tematyczny pretekst wzięła sobie jednak inną kultową polską komedię – „Rejs” Marka Piwowskiego. Otóż proszę Państwa jutro, 10 lipca, miną 53 lata od dnia, w którym padł pierwszy klaps na planie tego filmu. Z inżynierem Mamoniem, Sidorowskim, Kaowcem i Poetą po raz pierwszy spotkałem się w liceum, kiedy obejrzelśmy „Rejs” w ramach lekcji języka polskiego. Znów dawnych wspomnień czar...

Ow klaps to doskonała okazja, by zrobić sobie sprint, a raczej maraton przez polskie komedie, od „Giuseppego w Warszawie” przez „Samych swoich” po „Poranek kłota”.

O ułożenie haseł do komediowej Weekendówki poprosiliśmy Michała Nogasia, który w trybie pilnym, ekspresowo i na poduszkach dostarczył dla Was pięć filmowych zagadek. Mam jednak przeczucie, że wszyscy tak dobrze znacie te filmy, że nie będziecie mieli żadnych kłopotów z rozwiązaniem. A wtedy to się dopiero zacznie. Wywiady, autografy, wizyty w zakładach pracy... ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 8 z 2.07:
ŚWIERSZCZYK



POLSKIE KOMEDIE

Hasła **Michała Nogasia** oznaczono inicjałami **(MN)**. Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

Poziomo:

- 4)** porcje „Zmienników”, „Świata według Kiepskich”
- 7)** Ludwik, aktor (w „Misiu” Zdzisław Dyrman, zasadniczo)
- 9)** Stanisław Tym w „Rejsie”
- 11)** Na niej Mariano Italiano
- 12)** główna postać filmu, np. Katarzyna Solska w „Koglu-moglu”
- 14)** ... okoliczności, niejeden w komedii „Pokaż, kotku, co masz w środku”
- 15)** „Pawiany wchodzą na ściany”
- 18)** „Nie ma mocnych” lub „Listy do M.”

- 19)** film z dwoma granatami w świątecznym ubraniu
- 21)** „... awaryjne”, z Bożeną Dykiel w roli pani naczelnik gminy
- 22)** trener śpiewający do szafy (MN)
- 23)** Lamia z „Seksmisji”
- 25)** ustawiony przez Lagunę („Piłkarski poker”)
- 27)** o zaoraną miedzę – w filmie 19 poziomo
- 28)** angielski czasownik odmieniany przez Adasia Miauczyńskiego („Dzień świra”)
- 29)** Platon do picia (MN)
- 32)** „Prasłowiańska ... chroni w swych konarach plebejskiego uciekiniera”
- 33)** syn państwa Jankowskich z serialu „Wojna domowa”
- 34)** nie ma jej bez ognia

- 36)** „Lis, wilk, kuna, koń, wydra, ... zając – to są zwierzęta, które żyją w Polsce” („Chłopaki nie płaczą”)
- 37)** „Samiec twój wróg!”
- 39)** szedł po nich Bohdan Łazuka („Nie lubię poniedziałku”)
- 40)** np. 1313 na drzwiach żółtej taksówki („Zmiennicy”)
- 41)** Elżbieta, wystąpiła w filmach „Giuseppe w Warszawie”, „Żona dla Australijczyka”
- 42)** oj, był nim Piotruś z komedii „Kogel-mogel”
- 43)** Kargule i ...

Pionowo:

- 1)** Irena Kwiatkowska lub Ewa Błaszczyk
- 2)** Udawał Brzeczyszczykiewicz (MN)

- 3)** komedia z Siarą, Wąskim i Lip-skim
- 4)** odlepiło się temu misiu
- 5)** ... generała, w komedii „C.K. Dezerterzy”
- 6)** z Januszem Gajosem w roli arcybiskupa Mordowicza
- 7)** „W mordę jeża!” to ... Arnolda Boczka z serialu o Kiepskich
- 8)** eliksir powiększający, hejkum kejkum (MN)
- 10)** miasto nad Wisłą (nie chodzi o Kluczbork)
- 13)** „...! To nie wypada!”, przedwojenna komedia
- 16)** „I nie mówcie, że nie macie synka, bo w każdej chwili mieć możecie (sprawdzić, czy nie ...)”
- 17)** Furman z serialu „Alternatywy 4” lub Wolański z komedii „Kogel-mogel”

- 18)** „Spójrz, jak oni się ruszają! Te ..., te gesty rękami!” (a polski gangster nie ma luzu)
- 19)** rozpruty przez Kwintę
- 20)** „... tu jest jakby luksusowo...”
- 24)** H., który zagrał w „Polskim gównie”, oklaski! (MN)
- 26)** baczki Kilera
- 28)** tam Witia kupił kota za rower i dwa worki pszenicy
- 30)** Mamoń z „Rejsu”
- 31)** Ryszard z „Misia”
- 33)** ... statku „Neptun”, miejsce akcji komedii Marka Piwowskiego
- 35)** ... Cyganki, ziszcza się w komedii „Brunet wieczorową porą”
- 38)** Marian Koniuszko, czyli ... Piórecka
- 39)** „A w słuchawce: radio ..., proszę czekać”

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play